T R Z E Ź W O Ś Ć

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I ODRODZENIA NARODU,
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ",
ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,
KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW
I WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM
i INNYMI NAŁOGAMI „MENS".

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 11—12 LISTOPAD—GRUDZIEŃ 1935 Rok X

WSPÓŁCZESNE KIERUNKI ŚWIATOWEGO RUCHU PRZECIWALKOHOLOWEGO [1]).

Kryzys ekonomiczny, którego brzemię odczuwa świat cały, wywarł wpływ również głęboki i na ruch przeciwalkoholowy, docierając do jego najrozmaitszych dziedzin. Z jednej strony spowodu trudnych warunków, spożycie alkoholu zmniejszyło się w wielu krajach, z drugiej—działalność towarzystw przeciwalkoholowych została częściowo sparaliżowana poważnemi trudnościami ekonomicznemi. Zewsząd nadchodzą sprawozdania, że wobec braku odpowiednich środków, trzeba było pracę ograniczyć. Jednak sądzę, że w krajach północnych, zwłaszcza w Szwecji i w Finlandji, które najszybciej się podniosły z kryzysu ekonomicznego, nastąpiła pewna poprawa w tym zakresie. Działalność towarzystw abstynenckich znacznie się ożywiła, przy jednoczesnem pewnem niewielkiem zwiększeniu spożycia napojów alkoholowych, będącem objawem polepszenia się sytuacji ekonomicznej.

P. Dr. Robert Hercod należy bezsprzecznie do rzędu najwybitniejszych działaczy przeciwalkoholowych na terenie międzynarodowym; od szeregu lat stoi on na czele Międzynarodowego Biura do walki z alkoholizmem w Lozannie, jest założycielem i redaktorem dwutygodnika „L'Abstinence" oraz wraz z Dr. Gabriel'em (Wiedeń) i Dr. Gläss'em redaguje kwartalnik „Forschungen zur Alkoholfrage" (Etudes sur la question de l'alcool).

Dr. Hercod jest niezmordowanym działaczem i główną sprężyną wszelkich międzynarodowych poczynań w dziedzinie walki z alkoholizmem; jest pełnym taktu, znajomości rzeczy i poświęcenia organizatorem Międzynarodowych Kongresów Przeciwalkoholowych. Jego wytrawne zdanie jest wyrocznią nieodwołalną.

Wysoce wykształcony, polyglota (posiada 16 języków), świetnie zna stosunki międzynarodowe — to też niejednokrotnie występował w sprawach walki z alkoholizmem na terenie Ligi Narodów w Genewie.

Prawdziwy przyjaciel Polski, kilkakrotnie odwiedzał nasz kraj w sprawach międzynarodowego ruchu przeciwalkoholowego, lub w celu zapoznania się z naszym ruchem przeciwalkoholowym, (m. in. brał czynny udział w IX Polskim Kongresie Przeciwalkoholowym w Wilnie w r. 1930).

Jego przychylności i poparciu zawdzięczamy w dużym stopniu fakt, że najbliższy Kongres Międzynarodowy odbędzie się w r. 1937 w Warszawie.

To też szczęśliwi jesteśmy, że możemy podać artykuł p. Dr. Hercod'a, na naszą prośbę specjalnie dla „Trzeźwości" napisany.

Red.

Lecz to nie o tym stanie przejściowym, wynikającym z chwilowych trudności materjalnych pragnę obecnie zabrać głos — lecz raczej mówić będę o kierunkach aktualnych i bardziej ogólnych w naszym ruchu przeciwalkoholowym.

Od lat kilku wysuwa się na plan pierwszy fakt wycofania się prawodawstwa przeciwalkoholowego, zwłaszcza ustaw prohibicyjnych, oraz zakazów lokalnych.

Jeżeli porównamy sytuację prawną z 1922 r. z obecną, to zobaczymy ogromną różnicę.

W 1922 r. Rosja miała jeszcze prohibicję, na papierze przynajmniej.

W Finlandji w ciągu lat trzech panował system prohibicyjny.

Norwegja miała zakaz sprzedaży wódki.

W Szwecji w 1922 r. odbył się plebiscyt za, lub przeciw prohibicji, w którym zwycięzcami zostali wprawdzie przeciwnicy prohibicji, lecz większość ich głosów wynosiła tylko 30.000.

W Niemczech zamierzano wprowadzić prohibicję wódki i opcję lokalną dla wina i piwa.

W Szwajcarji referendum w sprawie opcji lokalnej co do napojów dystylowanych zostało ogłoszone z powodzeniem.

We Włoszech prawo ochrony matki i dziecka zabraniało podawania napoi alkoholowych, nawet wina młodzieży z zakładów wychowawczych.

Polska posiadała swe daleko idące prawo o opcji lokalnej.

I przedewszystkiem Stany Zjednoczone Ameryki Północnej potrafiły nadać prawo prohibicyjne 120 miljonom ludności.

Cóż obecnie obserwujemy?

Rosja powróciła do systemu monopolowego, jak za czasów carskich.

Finlandczycy w grudniu 1931 r. dużą większością głosów odrzucili prohibicję.

Głosowanie w Norwegji w 1926 r. ujawniło fakt, że obywatele dość już mają zakazu sprzedaży wódki.

Szwajcarja w głosowaniu ludowem, przeprowadzonem na podstawie referendum, odrzuciła opcję lokalną.

Szwecja z programów towarzystw abstynenckich skreśliła prohibicję.

W Niemczech już się więcej nie mówi, ani o prohibicji wódki, ani o opcji lokalnej.

Prohibicja Stanów Zjednoczonych przetrwała najdłużej.

Widzimy więc cofnięcie się na całej linji. Czemu to należy przypisać?

Przedewszystkiem jest to następstwem nadmiernego optymizmu zarówno ze strony ruchu przeciwalkoholowego, jak i ze strony rządów. Łudzono się, że opinja publiczna jest dostatecznie uświadomiona, by wykonywać prawa przeciwalkoholowe, a tak, niestety, nie było. Zastosowanie całkowitej prohibicji w Stanach Zjednoczonych i w Finlandji, a częściowej w Norwegji, okazało się znacznie trudniejszem, niż sądzono początkowo. Nadużycia stały się liczne, a rezultaty nie w takich rozmiarach, jakich oczekiwano.

Trzeba również wziąć pod uwagę wybujałość nastawień egoistycz-

nych ponad duchem solidarności społecznej. Wojna, mimo całego okrucieństwa, była szkołą poświęcenia, to też zbyt mocno napięte emocjonalne pierwiastki domagały się pewnego odprężenia. Marzono już tylko o radości, o radości egoistycznej, nie zastanawiając się nad dalszemi konsekwencjami, a zaś napoje alkoholowe przedstawiały dla wielu źródło owej radości „par exellence“ beztroskiej.

Chaos panujący w ogromnej części Europy, atmosfera moralnego niepokoju, klęska ekonomiczna i niepewność jutra, wzniecały uczucie pewnego fatalizmu. Mówiono, że nie warto walczyć o nowy lepszy świat, skoro jesteśmy na drodze do nieuknionej zagłady.

Wreszcie należy podkreślić, że jednocześnie ostatnie lata wykazują energiczną ofenzywę kapitału alkoholowego. Producenci i sprzedawcy napoi alkoholowych, nastraszeni prohibicją amerykańską, sądzili, że nadeszła ich ostatnia godzina i skoncentrowali całą swą energję, by się skutecznie przeciwstawić grożącemu niebezpieczeństwu. Jeśli w interesie społeczeństwa jest zmniejszenie spożycia napojów alkoholowych, to interes fabrykantów leży w tem, by to spożycie nie tylko zostało utrzymane, ale by stale wzrastało.

W niektórych krajach kapitał alkoholowy zorganizował się specjalnie, by uczynić wyłom w prawodawstwie przeciwalkoholowem i otrzymać pewne złagodzenie jego postanowień. Międzynarodowa Liga Przeciwprohibicyjna, która jest faktycznie ligą przeciwko wszelakim poważnym metodom, ograniczającym spożycie, zorganizowana w Lozannie, zawdzięczając poparciu rządowemu, odegrała dużą rolę w ruchu wstecznym. Później powstał w Paryżu Międzynarodowy Urząd przyjaciół wina, reprezentujący państwa produkujące wina, który propagował wzmożenie spożycia wina na całym świecie i który w tym celu zaproponował bojkot tych państw, które, nałożywszy wysokie cła na wwóz wina, tem samem w sposób pośredni przyczyniają się do zmniejszenia jego spożycia.

Gdyby wycofanie się prawodawstwa przeciwalkoholowego oznaczać miało jednoczesne osłabienie i zobojętnienie dla ruchu przeciwalkoholowego, byłoby to nieszczęściem do nienaprawienia. Ale, wbrew trudnościom, wysuniętym na początku tego artykułu, organizacje przeciwalkoholowe potrafiły utrzymać się przy swej pracy, a nawet odważnie stawić czoło grożącym przeciwnościom. Przystąpiły one do zrewidowania swych programów i doszły do przeświadczenia, że, uciekając się do środków natury prawnej, gdy opinja publiczna w swej znacznej większości nie była jeszcze należycie przygotowana, popełniły błąd taktyczny. Zrozumiano w całej pełni, że masy, owe ofiary przesądów alkoholowych, muszą być przedewszystkiem uświadomione należycie, a wówczas dopiero reforma prawodawcza będzie mogła mieć istotne zastosowanie — zabrano się więc z całym naciskiem do pracy wychowawczej, nadając jej pierwszorzędne znaczenie w walce z alkoholizmem.

Z pewnością nauczanie przeciwalkoholowe nie było nigdy całkowicie zaniedbywane, ale na pewien czas straciło swą intensywność, — zwłaszcza nie zdawano sobie sprawy, że nowe czasy wymagają nowych metod pracy, że argumenty, wywierające wpływ na naszych ojców i być może i na nas w młodości, nie przemawiają już do młodzieży współczesnej. Musimy się więcej liczyć z jej potrzebami i pragnieniami, z jej dążeniami

do niezależności i samodzielności, z jej zamiłowaniem do sportu, by przystosować do tych wymagań nowe metody pracy. W wielu krajach zrozumiano już te rzeczy i zabrano się intensywnie do roboty.

Pamiętając o tem wszystkiem, nie powinniśmy jednak całkowicie zaprzeczać skuteczności poczynań prawodawczych, jak to robią niektórzy, pod wpływem przeżytych niepowodzeń. Zawsze będziemy potrzebować dobrych praw przeciwalkoholowych, wymagających uświadomionej opinji publicznej, co jest niezbędne dla ich poważnego i należnego realizowania. Zawsze będzie pewna mniejszość w społeczeństwie, znajdująca się poza zasięgiem naszej propagandy, którą na drodze prawodawczej trzeba będzie zmuszać do zastosowywania się do naszych uchwał. Kołysanie się nadzieją, że jedynie systemem wychowawczym doprowadzimy świat do stanu tak umiarkowanego używania alkoholu, że nie trzeba będzie stosować żadnego prawodawstwa, byłoby wielkim błędem. Słusznie twierdzą niektórzy, że prawa bez obyczajów są nic nie warte — ale jednocześnie nie możemy zapominać, że obyczaje są bezsilne, o ile nie mają oparcia w prawodawstwie.

Należy z wielką radością podkreślić fakt, sygnalizowany z wielu stron, że młodzież zaczyna brać coraz żywszy udział w ruchu przeciwalkoholowym. Wnosi ona do pracy ducha rewolucyjnego, lekceważenie przeszłości i jej weteranów; lecz mniejsza o to, gdyż ruch społeczny reprezentowany wyłącznie przez głowy siwowłose, skazany jest na rychłą zagładę.

To odrodzenie działalności naszego ruchu przez młodzież daje się zauważyć zwłaszcza na północy. To samo widzimy również wśród młodzieży Stanów Zjednoczonych, która wprost porywa swą propagandą, stanowiącą kontrast ze stereotypową akcją starszego pokolenia. Pragnę tu również podkreślić zasługi walecznego zastępu polskich skautów, zachowujących całkowitą abstynencję.

Życzymy pełnego powodzenia inicjatywie wice-prezesa światowej Ligi Przeciwalkoholowej, D-ra Weeksa z Londynu, założenia międzynarodowej Ligi młodzieży abstynenckiej, której celem byłoby nie tylko praktykowanie abstynencji, ale i s ł u ż b a sprawie, gdyż tak nam brak bardzo owych czynnych szermierzy ruchu przeciwalkoholowego.

W chaosie kilku lat ostatnich, pod wpływem depresji, spowodowanej upadkiem prohibicji w Stanach Zjednoczonych, zdawało się, że zasada abstynecji zupełnej, owej opoki dla walki z alkoholizmem, została naruszona. Byli tacy, którzy ożywieni najlepszemi intencjami twierdzili, że minął już czas abstynencji, i — że znacznie więcej można zdziałać drogą mądrego umiarkowania, które staje się najwyższą zasadą. Na szczęście nie słuchano tych głosów syrenich. Zasada abstynencji zupełnej, głoszona przez ojców naszych, nie tylko w celu uzdrowienia pijaków, lecz i dla osiągnięcia wpływu na najszersze masy ludności, pozostaje i nadal w całej swej pełni niezmieniona i obowiązująca. Rzecz prosta, szczęśliwi jesteśmy ze współpracy szczerych naszych sprzymierzeńców z grona umiarkowanych, tak jak my odczuwających nędzę, powodowaną przez alkoholizm — tem nie mniej, nie możemy się wyrzekać zasady, która z ruchu przeciwalkoholowego uczyniła wielki ruch społeczny, ogarniający i najbardziej wydziedziczonych.

Zwracam również uwagę na jeszcze jedną cechę charakterystyczną współczesnego ruchu przeciwalkoholowego, a jest nią zwrot ku pracy realnej. Odwracamy się od roztrząsań teoretycznych, które tak nas emocjonowały trzydzieści lat temu. Chcemy pracować i wypełniać praktyczne zadania, które mamy przed sobą. Sprawa uzdrowienia alkoholików, początkowo będąca na pierwszem miejscu w programie pracy, później została usunięta na plan dalszy w krajach anglo-saskich, a nawet w krajach północnych i germańskich. Obecnie jest inaczej. Zdajemy sobie sprawę, że niegodnym współczesnych stosunków byłby fakt pozostawienia chorego alkoholika bez pomocy, a więc tolerowania jego nieuniknionej zguby, nie usiłując nawet uczynić z niego pożytecznego członka społeczeństwa. Uczeni badają psychologję alkoholików, by móc wywierać na nich wpływ pożądany i skuteczny. Otwierają się nowe zakłady po miastach, organizuje się opieka nad alkoholikami, otaczająca staraniem wszystkich, którzy są na złej drodze.

Uwydatnia się również praca nad reformą restauracyj. Ujawnia się słusznie zgubny wpływ szynku na zdrowie i moralność szerokich warstw. Ale trzeba również zdawać sobie sprawę, że szynk jest do pewnego stopnia koniecznością społeczną, ogniskiem dla osamotnionych, miejscem, w którem człowiek, istota towarzyska, pragnie się spotkać ze swemi bliźnimi. Niebezpieczeństwo szynku stanowi fakt sprzedaży napojów alkoholowych, trzeba więc otwierać restauracje i hotele bezalkoholowe, czyli, jak to się nazywa w Szwajcarji, „maison de commune" bezalkoholowe, czyniące zadość potrzebom towarzyskim i nieprzedstawiające spowodu braku alkoholu owego niebezpieczeństwa.

Wreszcie we wszystkich krajach, nie tylko południowych, ale nawet i północnych, zagadnienie zużytkowania bezalkoholowego owoców nabiera coraz większego znaczenia. Służy ono higjenie i względom ekonomicznym kraju, gdyż przetwarzanie soku owocowego na napoje alkoholowe jest prawdziwem marnowaniem cennych składników odżywczych; jednocześnie ułatwia prowadzenie walki z alkoholizmem nie tylko przez dostarczenie napoju zdrowego i smacznego, ale również i przez fakt łagodzenia oporu, jaki napotykamy w naszej pracy wśród właścicieli winnic i wieśniaków (produkujących wino). Opór ten zmniejsza się stale w miarę zrozumienia, że ruch przeciwalkoholowy bynajmniej nie zmierza do zniszczenia winnic i hodowli jabłek, lecz przeciwnie, propaguje spożywanie owoców surowych, lub soków niefermentowanych. W Szwajcarji i w Niemczech uświadomienie pod tym względem jest już tak znaczne, że do gruntu uległ przemianie stosunek warstw rolniczych do ruchu przeciwalkoholowego. W Szwajcarji zwłaszcza zbliża się chwila, w której obok mleka, cydr słodki, a nie piwo i wino, stanie się narodowym napojem — wierzymy, że do tego samego dojdą i inne narody.

Ten krótki przegląd kierunków ruchu przeciwalkoholowego budzi, zdaje mi się, wrażenie krzepiące. Istotnie, są ciemne plamy na ogólnem tle naszej pracy, ale bynajmniej nie należy zbytnio ich uwypuklać—wrodzony mój optymizm każe mi na nie patrzeć, jak na chmurki przelotne, które znikną pod wpływem pięknego, letniego słońca. W każdym razie cienie te rozjaśnią się niewątpliwie o tyle, że Kongres Międzynarodowy

w Warszawie w 1937 r. da narodowi polskiemu i wszystkim jego uczestnikom pokrzepiające wrażenie, że ruch nasz jest objawem pociągającym i zdrowym, zdążającym niewątpliwie ku ostatecznemu zwycięstwu.

Lozanna.

Dr. R. Hercod.

Przetłumaczyła Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska.

ANTYALKOHOLIZM WIELKIEGO CZŁOWIEKA.

Cieniom Augusta Forela.

Wielkość człowieka należy mierzyć ideą, jakiej on służył. Istnieją latarnie, w których płonie ogień idei i świeci wiekom po śmierci ludzi.

Takim człowiekiem był *August Forel*, b. profesor psychjatrji uniwersytetu zurychskiego, który zmarł 28 lipca 1931 r. Był dyrektorem kantonalnego zakładu dla psychicznie chorych „Burghölzli" w Zurychu, w którym to zakładzie zetknął się po raz pierwszy z obowiązkiem leczenia alkoholików.

Po śmierci Forela zostały ogłoszone jego pamiętniki pod tytułem „Rzut oka na moje życie"[1]). Ostatnim rozdziałem tych pamiętników jest jego testament, który kazał on odczytać najstarszemu synowi w krematorjum przy spaleniu zwłok.

„Niech każde z was, drogie dzieci, widzi swój najwyższy ideał i swój najdroższy obowiązek w tem, żeby dołożył kamyk do społecznej budowy, będzie to dobre i pożyteczne przezwyciężenie się, którego żadne z Was nie będzie żałowało... Potrzebny jest do tego niewzruszony optymizm... Niech żyją szczęśliwie nasi potomkowie na podstawie coraz wyższego społecznego ideału, pracy i poświęcenia dla dobra, na gruncie postępu nauki, prostoty obyczajów, trzeźwości, rozumnego doskonalenia rasy, pokoju, ogarniającego wszystkie narody ziemi, słowem — na gruncie tego wszystkiego, co zmierza do pomnożenia szczęścia, radości życia i społecznych uczuć — poświęcenia, obowiązku i miłości, jak również postępów naszego poznania wewnętrznego życia, naszych dzieci i ras ludzkich, dostępnych dla cywilizacji... Miejmy wolę ku temu, a zdołamy to osiągnąć, gdy ustaną wojny i będą usunięte napoje wyskokowe... Powstrzymanie się od alkoholu wskazało mi jeden z najlepszych sposobów, jak osiągnąć w krótkim stosunkowo czasie rozumne, ciągle postępujące naprzód uszlachetnienie naszej rasy, dzięki czemu nabrałem znów wiary w przyszłość ludzkości. Poświęciłem jej bez rachunku i bez zwątpienia wiele moich sił, ale zawdzięczam jej również wiele, zarówno dla mnie, jak i dla moich najbliższych... Niech każdy z was, w miarę swoich zdolności, dokłada swój kamyk do budowy lepszej i szczęśliwszej ludzkości"[2]).

Jak rozwinęła się ogromna działalność Forela w sprawie zwalczania alkoholizmu, uczą nas jego pamiętniki.

Jako dziecko jeszcze, pomagał przy winobraniu i mógł już wówczas obserwować „piękne" obyczaje pijackie. Najlepsi i najbardziej inteli-

---

[1]) Forel. Ruckblick auf mein Leben. 1935. Europa-Verlag. Zürich.

[2]) Według tłumaczenia Z. L. w Nr. 26 1935 Wolnomyśliciela Polskiego.

gentni oficjaliści ojca z powodu ciągłego nadużywania wina marnieli. Nie ma on wogóle zamiaru mówić o ordynarności i o erotyzmie, który przejawiał się wówczas wskutek pijaństwa.

Pani, u której mieszkał Forel, gdy był w szkole w wieku lat 12, posiadała winnice i codziennie dawała swoim lokatorom butelkę wina... Młody Forel początkowo znajdował ,że to jest zadużo, ale przyzwyczaił się tak prędko do wina, że pół flaszki przy każdym posiłku wydawało mu się za mało. W tym czasie abstynencja w Szwajcarji była wogóle nieznaną, a „picie" uważano za przyrodzoną konieczność... Upił się wówczas już ze trzy —cztery razy... Skutkiem codziennego używania alkoholu u tej pani, zauważył u siebie obniżenie możności pracy, które to obniżenie zupełnie wyraźnie uświadomił sobie przed wyjazdem z Lozanny. Dopiero w Zurychu przyszedł do przekonania, że w Lozannie uniknął sposobności stania się alkoholikiem. W r. 1865 sam on się jeszcze zajmował zbiorami wina swego ojca. Przypomina sobie zupełnie dokładnie ekscesy podczas winobrania. W monachijskiej klinice psychjatrycznej, gdzie, po skończeniu medycyny, był asystentem, pierwszy raz (r. 1876) natknął się na sprawę alkoholizmu. Bezustannie obserwował, jak upijano się w samej klinice i jak chorzy wyleczeni z drżączki pijackiej (delirium tremens) wprost z zakładu udawali się do szynku. Profesor patrzył na to fatalistycznie, on zaś nie mógł się z tem pogodzić. Na oddziale klinicznym znajdował się stary pijak, Augustin, który po trzeźwemu był przyzwoitym człowiekiem. Wypijał on stale spirytus, potrzebny do robót stolarskich... Forel pomówił z nim poważnie i zaczął za jego zgodą dosypywać siarki do tego spirytusu, ażeby mu obrzydzić smak. Udało mu się zrobić z tego chorego prawie abstynenta... To wywołało podziw w całem Monachjum. Był to raczej wypadek, bo samego postawienia sprawy abstynencji sam Forel nie rozumiał. Na krótko przedtem jakiś Anglik nadesłał kwestjonarjusz w sprawie alkoholizmu w Bawarji, chwaląc zupełną abstynencję.

Forel, pełen jeszcze przesądów w tej sprawie, odpowiedział mu, że w Bawarji niema alkoholizmu, „bo się pije... tylko piwo..." Przez całe lata potem robił sobie wymówki z powodu tej nierozsądnej odpowiedzi i wstydził się jej. Dziwi się, jak można było się nie zorjentować w straszliwych skutkach spożywania piwa w Bawarji, mając to codziennie przed oczyma: „Jak przesąd robi człowieka ślepym". Jego złe sumienie przyczyniło się potem do opisanej sprawy z Augustinem.

Forel został docentem w Monachjum. Przemawianie należało do jego słabych stron i nie mógł on wyobrazić siebie, jako docenta przed wykładem. Przed pierwszym wykładem z anatomji mózgu ogarnął go tak straszny lęk, że wypił przed nim kieliszek wódki, aby dodać sobie odwagi — stara nieśmiałość opanowała go bowiem zupełnie... Zjawił się na wykład przed kilkoma studentami, którzy wydali mu się katami. Wyjąkał swój wykład. W przebiegu jego zauważył zaprzestanie stymulującego wpływu wódki, która go więcej porażała, niż dodawała mu ognia... Przed następnym wykładem już się miał na baczności i wódki nie pił.

I oto wypadkowo zdarzył się fakt decydujący, który miał ogromne znaczenie dla jego przyszłego życia. Było to podczas odwiedzin szwagra jego w r. 1884. On sam mianowicie miał od czasów monachijskich zwy-

czaj stalować sobie buty dokładnie dopasowane do nogi. W Zurychu nie mógł znaleźć odpowiedniego szewca. Któregoś dnia zjawił się szwagier z tryumfującą miną i oświadczył, że udało mu się znaleźć takiego szewca. Zaznajomił się więc z tym szewcem, który mieszkał nawet w pobliżu zakładu. Omówili obstalunek. Szewc mu się bardzo spodobał i starym zwyczajem z kantonu Vaud, Forel postawił mu szklankę wina. Ale szewc z uśmiechem odmówił i zaznaczył, że jest abstynentem. Abstynent! To właśnie, czego on, Forel, bardziej szukał, niż odpowiednich butów. Umówił się więc z nim odrazu, że będzie posyłał mu, jako zarządcy sekcji Błękitnego Krzyża w pobliskiej dzielnicy, swoich alkoholików. Szewc z przyjemnością się zgodził. — „Będę przysyłał tylko lepszych", mówił Forel, „bo mam również i nieuleczalnych gałganów, którzy są mniej lub więcej psychicznie nienormalni". „Przysyłaj pan wszystkich, sprobujemy" — odpowiedział szewc. Szewcem tym był Jakób Bosshardt, przyszły kierownik wzorowego w Szwajcarji zakładu dla alkoholików w Ellikonie. Od tego czasu zaczął Forel posyłać na posiedzenia sekcji Bosshardta swoich alkoholików z zakładu w towarzystwie pielęgniarzy. Bosshardt rozwinął w najbliższych miesiącach niezwykły i zupełnie bezinteresowny zapał w ratowaniu alkoholików z zakładu. I patrzcie — Forel przekonał się, że pewna ich ilość została trwale uleczona, czego on sam dopiąć nigdy nie mógł. To dało mu dużo do myślenia. „W sprawie tej był jakiś haczyk". Bosshardt był człowiekiem religijnym, a system Błękitnego Krzyża łączył ratowanie alkoholików ściśle z chrześcijańskiem nawracaniem. Po odpowiedniem przygotowaniu musieli pacjenci przed całem zgromadzeniem składać publiczne zeznanie o łasce Boskiej i o grzeszności poprzedniego życia. To nawrócenie się grało tam znacznie większą rolę, niż sama abstynencja. Forel chodził z żoną na te zebrania i przekonał się, że zbiorowy przykład abstynencji i niezmierne poświęcenie się kierownika sekcji jest główną osią całej organizacji. Wreszcie nadeszła na niego decydująca chwila. Szczery abstynent Bosshardt przyjmował w dalszym ciągu jego chorych z zakładu i wielu z nich uleczył. On zaś ciągle się musiał wstydzić, że, jako psychjatra, stoi w tej sprawie poza zwykłym szewcem. Czegoś musiało jemu, jako psychjatrze, brakować i on sam zdawał sobie w czterech piątych z tego sprawę. Kiedy 1.VI.1886 zjawił się znowu do niego Bosshardt w sprawie porozumienia się co do jednego pijaka, powiedział do niego Forel: „Panie Bosshardt, nie wiem, jak mam Panu dziękować za pańskie pełne poświęcenia i skuteczne starania się o naszych chorych — ja jestem mianowany dyrektorem zakładu przeznaczonego dla leczenia chorych, a pan jest zwykłym szewcem. Jak to się staje, że ja nie uleczyłem dotychczas trwale ani jednego alkoholika, a pan ma w tym kierunku takie powodzenie?" Na to uśmiechnął się ze zrozumieniem Bosshardt i odpowiedział: „To jest zupełnie proste, panie dyrektorze, ja jestem abstynentem, a pan — nie".

„Doprawdy, ja czuję to już oddawna", odpowiedział Forel, „i wstydzę się pocichu, że dotychczas nie miałem odwagi zdobyć się na to. Mam przesąd, że to mnie osłabi, że to zaszkodzi, bo ja wiem, memu zdrowiu, że się wreszcie rozchoruję na żołądek. Ale teraz — koniec. Daję panu moją rękę, że od dzisiaj jestem abstynentem". Bosshardt ucieszył się bardzo i zapewnił go, że stanowczo nie poniesie on żadnej szkody na zdrowiu. „Tego samego dnia podpisaliśmy — moja żona i ja — obietnicę

abstynencji na dwa lata. żona moja wstąpiła do Błękitnego Krzyża. Zdarzenie to muszę uważać za całkiem nowy okres w mojem życiu".

Jeżeli dotychczas pił on przy jedzeniu szklankę wina, to teraz woda czysta wydawała mu się dosyć mdłą i poszukiwał on jakiegoś trunku zastępczego. Jest to zwykłe zdarzenie u świeżych abstynentów. Na początku abstynencji nie zauważył wielkich zmian. Prędko jednakże zupełnie ustały migreny, na które poprzednio bardzo cierpiał. Bóle w okolicy serca (kardialgje) trwały jeszcze przez pewien czas, ale i one stopniowo ustały. Po kilku tygodniach zauważył rzecz zdumiewającą: od kilku lat cierpiał coraz bardziej na t. zw. piasek nerkowy i spodziewał się w najbliższej przyszłości napadu podagry. Uważał to za dziedziczną dolegliwość ze strony matki i z fatalizmem czekał na atak. Teraz jednak po kilku tygodniach abstynencji piasek zupełnie zniknął, co go też niezmiernie ucieszyło. Odzwyczaił się zupełnie w przeciągu jednego lub dwóch miesięcy od swego wina. Po krótkim czasie śmiał się on sam z lęku, który w swoim czasie miał, że z powodu abstynencji stanie się słabym, nieszczęśliwym, albo chorym. Z powodu własnej abstynencji występował daleko pewniej względem alkoholików w zakładzie i twierdzenie Bosshardta stawało się dla niego coraz bardziej zrozumiałe.

Na początku miał dosyć trudu w przeciwstawianiu się zdziwieniu i szyderstwu kolegów i publiczności w Zurychu. Miał jednak przyzwyczajenie w sprawach, w których miał zupełnie jasne zdanie, występować energicznie i nie dbać o zdanie innych. To mu pomogło w tej sprawie bardzo znacznie.

Z czasem poznawał na sobie samym coraz większe zalety abstynencji. Po migrenach ustąpiły jego kurcze żołądkowe. Zdolność do pracy zwiększyła się u niego niesamowicie. Czuł się znacznie bardziej odpornym i nie bał się żadnej pracy, nawet ekscesów pracy nocnej, które poprzednio wywoływały migreny i bóle serca.

Abstynencję wziął on na siebie jako czysty obowiązek etyczny. Stało mu się jednak jasnem, że przytem bez poprzedniego zamiaru zdobył i wielki zysk i wielką siłę. Wszelkie powątpiewania i wahania się z pierwszego okresu minęły zupełnie. Zaczynał obejmować całą wielkość tego zagadnienia i zapalał się do niego coraz bardziej. Pierwsza jego praca z tej dziedziny miała tytuł „Słowo w sprawie alkoholizmu", w której to pracy opisał powodzenie leczenia alkoholików w zakładzie i zastanawiał się nad całą sprawą zwalczania alkoholizmu.

W Zakładzie, zacząwszy od lipca 1887, sam osobiście zajmował się leczeniem alkoholików

Pomimo, że Forel bardzo podziwiał Bosshardta, nie podobał mu się jednak jednostronnie religijny kierunek Błękitnego Krzyża. Chciałby on i niewierzących i ateistów leczyć od alkoholu, a jedynie wierzących kierować do Błękitnego Krzyża. Brak mu było religijnie neutralnego stowarzyszenia.

Abstynencję jego uważano w kołach rządowych za szalone dziwactwo i wątpliwie kiwano na nią głową.

W r. 1887 zwróciła się do Forela angielka miss Gray z prośbą urządzenia międzynarodowego zjazdu przeciw nadużywaniu alkoholu. Pomimo trudności uległ tej prośbie. Kongres ten został przez niego zorganizowany. Po kongresie czuł się już ściśle związanym z ruchem absty-

nenckim. Dwie potrzeby wydawały mu się palące: przedewszystkiem — stworzenie zakładu dla alkoholików, jako stacji doświadczalnej i zarazem jako placówki dla uzyskania stopniowego zaufania i zrozumienia ze strony publiczności. Po drugie — myśl o stworzeniu socjalno-higjenicznej, niezabarwionej religijnie, organizacji abstynenckiej, dla stworzenia której nie miał nawet ani kawałka drzewa. Wówczas miał on już jasną decyzję: jeżeli w Zurichu ma powstać zakład dla leczenia alkoholików, to musi on, jako dyrektora, pozyskać Bosshardta. Ale przecież komitet nigdy się nie zgodzi na to, żeby to był szewc. Musiał więc on trzymać ten plan w ukryciu i naprzód zająć się stworzeniem komitetu. Prawnik jeden poradził mu stworzenie instytucji dobroczynnej, upoważnionej do wyboru swoich urzędników, ale wspieranej przez państwo i gminy. Komitetowi postawił zaś Forel następujący warunek: „pozwalam się pouczać przez komitet we wszystkich innych sprawach, ale wymagam, aby wybór kierownika zakładu pozosatwiono mnie samemu, bo ta sprawa jest ściśle związana z moim zawodem i pomyślność całej sprawy zależy od wyboru właściwej osoby". Bosshardt został kierownikiem zakładu.

1.VII.1888 upłynęło dwa lata od czasu, kiedy Forel z żoną zgodzili się na własną abstynencję. Wówczas postanowił zrobić doświadczenie nad samym sobą i przez miesiąc pić znowu dwie szklanki wina dziennie, jak poprzednio, aby przestudjować na sobie działanie wina, a potem już przez całe życie pozostać nadal abstynentem. Po pierwszej szklance wina czuł się porządnie zamąconym. Powtórzyło to się jeszcze dwa albo trzy razy, potem — znów się przyzwyczaił do tej porcji wina. Nie zauważył w tym miesiącu żadnych u siebie zaburzeń, bo nie miały one czasu się jeszcze rozwinąć, ale nie było mowy o tem, aby czuł się pod wpływem alkoholu „lepiej i silniej". W miesiąc potem — dnia 1.VIII.1888 z radością podpisał z żoną zobowiązanie do abstynencji na całe życie.

W r. 1888 przeprowadził przez zakładową komisję dozorującą przepis, dozwalający na wydawanie personelowi pielęgniarskiemu w zakładzie odpowiedniej gotówki zamiast 4 dcl. wina. Po skasowaniu alkoholu podczas uroczystości zakładowych nastąpił spokój i przyzwoitość: można było zapraszać coraz więcej chorych i pozwalać im się bawić do północy.

Powoli zaczęto się interesować zagadnieniami alkoholizmu i przestawać uważać abstynentów za warjatów. Jeden z redaktorów nazwał jednakże jeszcze w swem piśmie Forela „najbardziej zwarjowanym ze wszystkich warjatów w całem Burghölzli".

Zakład dla alkoholików w Ellikonie zaczął się pięknie rozwijać. Forel raz na miesiąc odwiedzał zakład i ustalał rozpoznania. Wydawano skrupulatnie opracowane roczne sprawozdania.

W r. 1894 brał Forel udział w Zjeździe przyrodników w Wiedniu. Był on na przyjęciu u dworu. Na sali jakiś stary arcyksiążę obchodził, według ceremonjału dworskiego, uczonych, zadając każdemu jakieś banalne pytanie. Na trybunie skrzętnie notowali wszystko dziennikarze. Forelowi wpadło do głowy użyć rozmowy z arcyksięciem dla propagandy antyalkoholowej. Zaczepiony przez arcyksięcia jakimś nic nie mówiącym frazesem, kropnął on cały wykład przeciwalkoholowy. Sztywny arcyksiążę, przy jego gadaniu bez końca, zdębiał. Przemówienie to na drugi dzień było wydrukowane we wszystkich gazetach. Chociaż ten jego ka-

wał może się wydawać naiwny, ale przyczynił się napewno, jako pierwsza próba, do rozwoju ruchu abstynenckiego w Austrji.

W r. 1895 organizował, pracując od 8 rano do 11 wieczór, międzynarodowy kongres przeciwalkoholowy w Bazylei. Odbywało się na tym Zjeździe starcie pomiędzy zupełnymi abstynentami, a umiarkowanymi.

1 stycznia 1906 r. Forel przy przejeździe powozem przez niezamknięty przejazd kolejowy o mało co nie został przejechany przez pociąg. Odszukawszy dróżnika znalazł go zupełnie pijanym. Na wniesioną skargę, dostał on 14 dni zawieszenia w służbie. „Bachus żąda dla swych wyznawców okoliczności łagodzących", zauważa przytem ironicznie Forel.

Na drodze, która go przy zwalczaniu alkoholizmu czekała, nie mógł on liczyć wyłącznie na lekarzy, musiał zejść do ludu. Postanowił on założyć w Zurychu Związek Dobrych Templarjuszy. 7.I.1892 związek ten liczył w całym świecie około 500 tysięcy członków.

Od r. 1892 żył on w bezustannem przepracowaniu. Więcej robić, niż on, było absolutnie niemożliwością. Nie mógł sobie absolutnie dać rady z ciągle zwiększającemi się pracami i zadaniami: dyrekcja zakładu, profesura, naukowy i praktyczny rozwój hipnotyzmu, sprawy abstynencji, Ellikon, stowarzyszenia abstynenckie — Zakon Dobrych Templarjuszy, etyka społeczna, sprawa prostytucji, mrówki i inne prace naukowe. Wszystko to przewyższało siły jednego człowieka.

Ustąpił więc z Burghölzli.

Po 5 latach pobytu w Monachjum i 24 latach w Zurichu, wycofał się Forel do swego rodzinnego kantonu. Z racji osiedlenia się w Yvorne, w tej osławionej okolicy winnic, stał się on przedmiotem wielu żartów. Jego samego śmieszyła zmiana winnicy na ogród jarzynowy i owocowy. Tutaj nie przestawał się zajmować sprawą alkoholową, w tym czasie już ogromnie rozrosłą. Przedtem już przyjmował duży udział w tworzeniu się restauracyj bezalkoholowych w Zurichu i bezalkoholowych domów ludowych w Szwajcarji.

27.V.1905 r. na posiedzeniu Wielkiej Loży Szwajcarskiej I. O. G. T. (Zakonu Dobrych Templarjuszy), t. j. Zarządu Głównego Szwajcarskiego Tow. walki z alkoholizmem, Forel — w sensie większej wolności wewnętrznej, a nie w sensie wzgardy dla czyjegoś wyznania — wprowadził do loży religijnie neutralny rytuał. Każda Loża mogła wprowadzić ten rytuał na zasadzie uchwały $^3/_5$ członków.

Forel dużo podróżował i stale był w rozjazdach. W Niemczech na przykład miał 30 odczytów w różnych miastach w przeciągu 28 dni.

25.V.1912 r. dostał napadu apoplektycznego z porażeniem częściowem prawej kończyny górnej i zaburzeniami mowy.

Poprawił się częściowo po tym napadzie i umiał przystosować się do tego „poapoplektycznego końcowego odcinka" swego życia. Wybuchła wojna. Widzimy starego, sparaliżowanego Forela na czele ruchu pacyfistycznego w Szwajcarji. To on odpowiada publicznie listem do Haeckla na znaną odezwę profesorów niemieckich. Kiedy raz wydała mu się jakaś sprawa z dziedziny ruchu pokojowego poważną, postanowił osobiście pojechać pomimo swego „kalekiego" stanu do Holandji. Wziął więc starym zwyczajem swoją torbę podróżną, plecak i pojechał (14.IV.15) trzecią klasą do Hagi.

Zmarł on 21 lipca 1931 roku.

„Labor improbus omnia vincit“ — kończy Forel. — „Spełnił on“, jak to sam stwierdza, „swój obowiązek“. „Niech żyje zakaz alkoholu i wszelkich innych narkotyków na całym globie ziemskim na tle neutralnego politycznie i religijnie podłoża“.

Syn Forela w ostatniem słowie do pamiętnika ojca zaznacza, że obszar życia, nad którym unosi się wielki duch tego, który go nakreślił, należy do kamieni węgielnych naszej epoki.

W ostatnich latach Forela odwiedził go Emil Ludwig. W pamiętniku swoim pisarz ten tak opisuje tę wizytę[1]).

„...Na górze wyszedł na nasze spotkanie 80-letni starzec — mała, pokrzywiona, lecz mimo to krzepka postać, napół sparaliżowana... ale stojącą mocno na nogach. Doszurgał się bliżej, podał nam rękę, w której pozostała jeszcze władza, i pchnął nas z lekką niecierpliwością w stronę pokoju. Przywitanie moje przerwał i ogarnął mnie wielkiem, wilgotnem, przeszywającem serce spojrzeniem...

...Pan pije? — Tylko czasem? — Tacy są najgorsi. — Nie, — Pan musi stanowczo odstawić alkohol, on rujnuje połowę ludzkości...

Wciąż na nowo, gdy sam, niby gnom ze zgiętemi plecami, uwijał się pośród dokumentów swego życia, odzywał się jego ochrypły, stanowczy ton. Nie pytał o nic, nie słuchał też naszych odpowiedzi. Niezwykle skomplikowana, pozornie prosta maszyna, przez pół wieku wypromieniowująca działanie w świat, zdawała się tu dobiegać kresu, jeszcze wciąż w rozpędzie...

Kiedy pożegnaliśmy się, pozostał na górnej kondygnacji schodów. Uszedłszy parę stopni wdół i nie słysząc szurgania jego pantofli, domyśliłem się, że stoi tam jeszcze wciąż. Odwróciłem się przeto, chcąc się jeszcze raz ukłonić, i wówczas dostrzegłem znowu to wielkie, wilgotne, zwierzęce spojrzenie, jakiem objął nas w pierwszej chwili...“

Ten krótki zarys daje możność każdemu orjentowania się w przekonaniach przeciwalkoholowych u wielkiego człowieka od chwili ich wypadkowego powstania do wcielenia się w całą osobowość w pełni jej bogatego rozwoju i płodnej działalności. Takie przekonania przeciwalkoholowe stają się powoli ciałem i krwią psychiki człowieka.

Płomień tej idei nie zagasł po śmierci Forela, ale pali się w dalszym ciągu... [2])

Dr. Jan Nelken,
b. I asystent kantonalnego zakładu dla psychicznie chorych „Burghölzli“ w Zürichu.

ZAZDROŚĆ, JAKO AFEKT PATOLOGICZNY NA TLE ALKOHOLIZMU.

Przestępstwa, dokonywane pod wpływem zazdrości, zdarzają się bardzo często i należą do zjawisk bardzo ciekawych pod względem pa-

---

1) Emil Ludwig. Dary życia. Kraków — Warszawa. Wyd. „Panteon“. Przekład Wandy Kragen.

2) Aforyzm prof. Forela i wiadomość o nim, pod. przez Dr. Zajączkowskiego — patrz „Trzeźwość“ Nr. 9—11 z r. 1930. (Przyp. red.).

tologicznym. Mimo to jednak wypadki te były dotychczas mało opracowane tak przez prawników, jak i przez lekarzy-psychjatrów.

Przytoczę faktyczne okoliczności z dwóch spraw sądowych o za bójstwa, wynikłe na tle zazdrości.

26-letni gorzelnik N. był oskarżony o zabójstwo młodej dziewczyny M...

N., pochodząc z rodziny do pewnego stopnia patologicznej, gdyż matka jego była epileptyczką, był jednak dobrym i uczciwym pracownikiem, lubiany przez kolegów i tylko czasami lubił wypić.

Pewnego razu gospodarz polecił mu pilnować letniska, znajdującego się w odległości 20 km. od gorzelni. Na tem letnisku poznał N. córkę gajowego, młodą, 17-letnią sympatyczną i dość przystojną dziewczynę. Pokochali się i zbliżyli.

N. zmuszony był wrócić do swej pracy w gorzelni, a wkrótce przyjechała do niego ukochana. Kochali się bardzo, tak, jak mogą się kochać serca młode i gorące. N. prawie zupełnie przestał pić wódkę.

Bezskutecznie rodzice prosili córkę o powrót do domu, nadaremnie robili jej wyrzuty niemoralnego prowadzenia się; M. kochała swego chłopca gorąco, była mu oddana całą duszą, prowadziła życie skromne, bez zarzutu, zajmowała się wyłącznie gospodarstwem domowem, nigdzie nie bywała, znajomych nie miała wcale. Jeżeli kochanek wracał czasami do domu podchmielony, nie robiła mu z tego powodu żadnych nieprzyjemności.

Kochał ją również nie mniej i N., lecz w duszy jego zrodziło się straszne uczucie — zazdrość, aczkolwiek żadnych ku temu powodów nie było.

Zazdrościł on jej przeszłości, aczkolwiek jej przeszłość była czysta, jak kryształ. Zazdrościł i przyszłości, gdyż często nasuwały mu się myśli: „a co będzie, gdy mnie przestanie kochać? gdy mnie porzuci? gdy się odda innemu?"

Przychodziła mu myśl zawarcia z M. związku małżeńskiego, lecz i tu znowu powstało fatalne pytanie: a jeżeli i wtedy go porzuci?

Ten duch wątpliwości męczył go i w dzień i w nocy, dręczył go, nie dając spokoju, i doprowadzał do stanu nieprzytomności. Czarnych tych, posępnych myśli N. nie ujawniał nikomu, lecz chował je głęboko w swej zbolałej duszy. Tak upływał miesiąc za miesiącem. Nareszcie N. zdecydował się odesłać dziewczynę do ojca z tem, ażeby, po urządzeniu swego gospodarstwa, pobrać się z nią i zamieszkać we własnem gniazdku. Decyzja została wykonana. M. powróciła do ojca. N. pozostał na gorzelni. I znowu powstała u niego myśl, czy nie lepiej było rozejść się z M.; przecież ona tylko kochanką...

M. tęskniła, płakała, lecz powoli pogodziła się ze swym losem i spokojnie zamieszkiwała w domu rodzicielskim. Tymczasem, przemęczony wewnętrzną walką, spowodowaną uczuciem zazdrości, N. nie był w stanie dalej walczyć z sobą i zdecydował się pojechać i zobaczyć się z M. Urlop był krótki. N. widział się zaledwie dwa, trzy razy ze swoją kochanką, która obiecała odwiedzić go na gorzelni. Po powrocie N. nie przestawał myśleć o swojej kochance, lecz nastrój duchowy się nie zmienił. Po kilku dniach M. przyjechała i zanocowała u N.

Nie zważając na to, że byli razem — zazdrość męczyła N. Ciągle

walczyły z sobą dwie myśli: jedna — pobrać się z M., druga — rozejść się z nią nazawsze. Nagle przyszła mu do głowy myśl — zabić M.

Gawędząc z M., N. oświadczył jej, że nie może bez niej żyć, że nie może dopuścić myśli, ażeby ona należała do kogoś innego i że dlatego zdecydował ją zabić... „Cóż, zabij" — odpowiedziała M.

Taka odpowiedź ogromnie go przeraziła.

Następnego dnia oboje pojechali do ojca M.

Pierwszego dnia nastrój był bardzo przyjazny i pogodny.

N. twierdził, że szalenie kocha M., ta, że nigdy go nie opuści i wiecznie będzie do niego tylko należała. W ten sam dzień N. z ojcem swej kochanki wypił butelkę koniaku i dwie butelki wódki. żadnych incydentów nie było. Na drugi dzień wypili jeszcze dwie butelki koniaku. N. upił się do takiego stopnia, że prawie nic nie pamiętał, co się działo. Miał on przy sobie rewolwer i strzelał z niego do ścian mieszkania, do lustra i do obrazu św. Mikołaja.

Zupełnie pijany N. mówił ojcu, że się pobierze z jego córką, a tej ostatniej twierdził tylko, że ją zabije, gdyż nie może bez niej żyć. Wieczorem położyli się spać oboje razem.

W nocy przyjechali koledzy N., prosząc, żeby z nimi jechał na gorzelnię. M. zdecydowała się jechać z nimi i zapytała w jaką suknię ma się ubrać. „W żadną" — odpowiedział N., w tym samym momencie wystrzelił z rewolweru i zabił M. na miejscu.

Na zapytanie, co się stało, N. odpowiedział: „zabiłem M., pochowam ją i będę za to odpowiadał". Całował jeszcze ciepłe ręce zmarłej. Był przytem na pozór trzeźwy i spokojny, tylko oczy miał mętne.

Przed sądem N. tak się tłumaczył: miałem do wyboru trzy wyjścia: „ożenić się z M., porzucić ją, lub zabić".

„Ożenić się nie mogłem, albowiem sama myśl, że może ona być nie moją tylko, doprowadzała mnie do wściekłości... Zresztą jaki ja mąż? nie mąż, lecz dręczyciel i kat. Porzucić jej nie mogłem, gdyż kochałem ją nadewszystko i żyć bez niej nie mogłem. Pozostało tylko zabić — więc zabiłem".

Przestępstwo, oczywiście, zostało popełnione pod wpływem zazdrości, lecz czy chorego, czy też zdrowego człowieka?

Państwo X. mąż i żona sześć lat przeżyli spokojnie i szczęśliwie.

Mąż był człowiekiem energicznym, praktycznym, pracowitym, lecz o charakterze ostrym i brutalnym w stosunku do osób postronnych. Ta cecha charakteru ujawniała się zwłaszcza, gdy był w stanie nietrzeźwym, a miał on skłonność do używania trunków wyskokowych.

Małżonka natomiast była osobą dobroduszną, łagodnego usposobienia, lecz dość naiwną.

Po sześciu latach zgodnego współżycia, żona zwierzyła się mężowi, że przed wyjściem zamąż miała romans z pewnym panem C.

Przyczyną zwierzenia się małżonkowi była okoliczność, że ktoś rozpowszechniał wieści o tym romansie wśród znajomych; obawiając się przeto, aby mąż się nie dowiedział z innego źródła, zdecydowała się o tem opowiedzieć osobiście w sposób najbardziej ją uniewinniający.

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie na małżonka wywarło opowiadanie żony!

Każde wspomnienia o byłych chwilach szczęścia, każda pieszczota

żony została zatruta uczuciem zazdrości, albowiem wyobrażał on sobie, że takie same pieszczoty dawała ona komu innemu, a im dalej i głębiej sięgały wspomnienia, im bliżej dotyczyły pierwszych dni poślubnych, tem mocniej odczuwał mąż palące myśli, które wołały o pomstę względem byłego kochanka.

Zachwiała się wiara i zaufanie do żony; powstała wątpliwość, czy ona wszystko szczerze opowiedziała, nasunęło się przypuszczenie, że kobieta, która mogła oszukać przed ślubem, może oczywiście jeszcze lepiej i łatwiej oszukiwać po ślubie.

Takie myśli musiały zdenerwować męża i niewątpliwie wywrzeć wpływ na jego stan duchowy.

Oburzony temi wątpliwościami, ciągle żądał, aby żona mu opowiadała najsubtelniejsze, czasami nawet drastyczne, szczegóły współżycia z C.

Stosunki pomiędzy małżonkami pogarszały się z każdym dniem.

Zmęczony wątpliwościami mąż coraz częściej szukał uspokojenia duszy w kieliszku i w stanie podnieconym pod wpływem alkoholu, bądź łajał żonę najbrutalniejszemi wyrazami, bądź bił i znęcał się w okrutny sposób, żądając potwierdzenia prawdziwości jej słów przez C.

Nie mając sposobności spotkania się z C., żona wystosowała do niego list, prosząc go o stawienie się w określonem miejscu i czasie.

Kiedy C. się stawił, żona w obecności małżonka swego, opowiedziała szczegółowo o byłym jej stosunku z C., lecz w taki sposób, ażeby cały ciężar winy spadł na C., tudzież dodała: „pan obiecał w razie potrzeby ofiarować swe życie, teraz tego żądam“, i podała mu rewolwer.

Nagłość takiego żądania wywołała niechcący uśmiech na twarzy C.

X. uderzył w twarz C. i ze słowami: „Pan jeszcze się śmieje“, zadał mu sztyletem dwie śmiertelne rany, żona zaś wystrzeliła dwa razy z rewolweru, lecz chybiła.

Gdy X. dowiedział się, że ciężko zranił C., prosił go o przebaczenie, twierdząc, że stało się to wbrew jego woli, zupełnie niespodziewanie.

*

Zazdrość może powstać w dwóch wypadkach: a) gdy osoba ukochana daje powód do niedowierzania i b) gdy tego powodu nie daje.

Pierwszy wypadek jest więcej złożony i skomplikowany, drugi — prostszy. My mamy na względzie wypadki zazdrości, gdy osoba ukochana powodu do zazdrości nie daje.

Osnowa zazdrości tkwi przeważnie w naturze człowieka. Są ludzie, którzy już od urodzenia noszą w sobie pewien zarodek, lub, ściśle mówiąc, defekt niedowierzania i podejrzliwości. Są to neurastenicy wysoce wrażliwi, pozbawieni równowagi moralnej. Na tem podłożu, jak to stwierdza nauka psychjatrji, wytwarza się element niedowierzania, podejrzliwości i braku zaufania.

Tacy ludzie, obok uczucia miłości, doznają prawie jednocześnie całkiem innego jeszcze uczucia, uczucia strachu, — „a może ta osoba mnie zdradzi?“ Na tle takich ciągłych wątpliwości rozwijają się iluzje myśli, błędne pojęcia, błędne rozumowania, a co za tem idzie — błędne czyny. Obok tego jednak stoi prawda życiowa i rzeczywistość, uczucie miłości. Otóż w duszy człowieka powstaje walka dobra ze złem, miłości ze złośliwością, prawdy z fałszem, rzeczywistości z przejawem chorobliwej fantazji.

Zazdrość zmusza człowieka do chorobliwej nienawiści, do ciągłego podejrzewania kochanki o niewierność, do szpiegowania jej na każdym kroku. Cierpi on nie wskutek pewnych realnych faktów, które zakłóciły spokój jego duszy i wyprowadziły go z równowagi, lecz wskutek domniemań, wysuniętych z urojeń faktycznych chorej wyobraźni, wywołanych pewnemi okolicznościami, lub czynami ukochanej.

Dobre słowo, miłe spojrzenie ukochanej, skierowane do osoby trzeciej, już stwarza urojone obrazy hańbiącej zdrady. W duszy pozbawionego równowagi moralnej człowieka powstaje prawdziwe piekło. W tym okresie cierpi i przeżywa straszne męczarnie tylko osoba, która zazdrości, albowiem wszystkie te uczucia tłumi ona w sobie. Nazewnątrz nic się jednak nie ujawnia, w trybie życia codziennego trudno dostrzec jakichkolwiek zmian. Nikt z otoczenia nie podejrzewa nawet całego tragizmu życia tej osoby.

W takim stanie jednak człowiek długo pozostawać nie może. Szuka on wyjścia. Następuje to niespodziewanie, prawie nagle w stanie afektu, gdy wyładowuje zawartość zbolałej swej duszy. Wtedy następuje straszny dramat życiowy. Nieszczęśliwa ofiara traci już poczucie wszelkiej miary: kultura i wychowanie ustępują miejsca brutalnej, zwierzęcej naturze człowieka.

Pod wpływem urojeń zazdrości człowiek zdolny jest popełnić najcięższe przestępstwo, — zabójstwo, lub ciężkie uszkodzenie ciała.

Dokonawszy swego zbrodniczego czynu na tle zazdrości, sprawca odczuwa z początku pełne zadowolenie duchowe, lecz gdy po pewnym czasie odzyskuje przytomność, ogarnia go skrucha i nieraz usiłuje dokonać nawet samobójstwa. Główną i zasadniczą przyczyną urojonej zazdrości, jak to ustalili najpoważniejsi przedstawiciele nauki psychjatrji, stanowi dziedziczność patologiczna i zwyrodnienie, przeważnie na tle alkoholizmu. Znany psychjatra Marcel w swojej pracy „De la folie causeé par l'abus des boissons alcoholiques" (1847 r.) pierwszy zwrócił uwagę na urojenia zazdrości u alkoholików. Kraft Ebing i Werner oraz Proal i Villers[1]) twierdzą, że alkohol rujnuje organizm, wywołuje bardzo daleko idące zmiany w sferze psychicznej, rozstrój funkcyj intelektualnych, utrudnia proces normalnego „przetrawienia" wrażeń z zewnątrz, powoduje utratę zdolności do krytycznej oceny swoich czynów i co za tem idzie, powoduje, dzięki osłabieniu woli, bardzo szybką reakcję na doznane wrażenia, ułatwia ujawnienie rażących afektywnych wahań, jak gniewu, nienawiści i zazdrości.

Sprawca przestępstwa na tle zazdrości zawsze jest opanowany wyłącznie wyolbrzymionem uczuciem miłości, zemsty i gniewu, a niekiedy całą gamą sprzecznych uczuć, urojonych udręczeń i przeto niezdolny jest do panowania już nie nad samem uczuciem, lecz nad jego przejawami, nie jest w stanie pohamować się i popełnia zbrodnię[2]).

Wreszcie należy zaznaczyć, że przestępstwa, popełnione na tle zazdrości, cechuje nadzwyczajne okrucieństwo, przyczem zabójstwa często połączone są z samobójstwem sprawcy. *Stanisław Czerwiński.*

---

1) Praol: „Le crime et le suicide passionels". 1900; Villes: „Le delire de la jalousie" 1899; Moreau de Tours: De la force jalousie 1877.

2) Dr. Rafał Radziwiłłowicz: „Alkohologja"; Jaquet: L'alcoolisme.

MOLOCH.

(Szkic do scenarjusza).

Jeśli alkoholizm w okresach bogactwa i t. zw. „prosperity“ stanowi klęskę społeczną, to przyznać należy, że w stadjach nędzy powszechnej, wegetacji i zamierania wszelkich objawów życia, alkohol jest potwornym wykwitem, pochłaniającym nieraz ostatnie resztki zarobków i dobytku najbardziej upośledzonych warstw ludności.

Kto pije ten nie oszczędza, a że kto nie oszczędza, ten właściwie nie ma nic, więc pijaństwo jest tym, co go dobija, wykańcza. Chcielibyśmy w tym artykuliku, dalekim od teoretycznych wywodów, uzmysłowić czytelnikom, jak to w *praktyce* moloch, którego świątynią jest szynk, wyciąga z nędzy ludzkiej ostatek jej sił i zasobów.

— — — — — — — — — — — —

Zaczyna się od picia „dla przyjemności“, od picia z kolegami w soboty po wypłacie i pierwsza faza — najłagodniejsza — kończy się na tem, że spity robotnik, czeladnik czy pracownik umysłowy przynosi do domu uszczuploną tygodniówkę: zamiast 50 zł. — 45, czy jeszcze mniej. Krzywda żony i dzieci jest niewątpliwa, a cierpi na tem cały dom, gospodarstwo i życie rodzinne. Ale picie wciąga jednostkę, oddaną temu nałogowi, coraz bardziej, to też wkrótce pija się już nie tylko w soboty, ale i w inne dnie i przy każdej „okazji“. Alkohol wyciąga wtedy drapieżne szpony po coraz większą część ubożuchnego dorobku ludzkiego, a pośrednio wtrąca całą rodzinę w długi, bo żona, czy matka usiłuje początkowo w ten sposób łatać powstały przez wódkę deficyt. Długi te, które w tych warunkach nigdy nikomu nie zostają zwracane, mają swą skromną granicę: ani sklepikarz, ani gospodarz nie chcą i nie mogą kredytować dłużej jednostce, która pod żadnym względem zaufania nie budzi.

Do domu pijaka zaczyna zaglądać nędza.

Tymczasem z jednej strony zaczyna się zadłużanie w szynku, gdzie już pija się „na borg“, a z drugiej do izdebki pijaka zaczyna wkraczać głód. Niedożywiane dzieci karleją, posępnieją, nierzadko idjocieją.

A „tata“ wciąż pije, bo jednemu na sto udaje się zawrócić z tej drogi, gdy już na nią wkroczył.

Wkrótce nadchodzi moment, który na niejednym pijaku robi potężne wrażenie: zaczyna brakować na wódkę. Zatruty mózg zaczyna się silić nad wynalezieniem nadzwyczajnych źródeł dochodu na pokrycie zgubnej namiętności, ale że najmądrzejszy nic by w tej sytuacji nie wymyślił, więc i zapity staje przed nierozwiązalną zagadką.

Ale nieszczęsny nałóg robi swoje: *PIĆ TRZEBA!*

Nadchodzi drugi akt dramatu, gdy już nikt ani fundować, ani kredytować nie chce i gdy pijak, nie licząc się z nikim i niczem, coraz mniej z tygodniówki przynosi do domu. Na sobotę ma, ale do następnej tak długo! Pijak wpada w melancholję, zaniedbuje się w pracy, jest ponury, podejrzliwy, często opryskliwy i złorzeczący. Tego tylko potrzeba jego pracodawcy, który na zajęte przez pijaka miejsce ma 1000, a czasem i więcej kandydatów. Wymawia mu pracę.

Pijak traci pracę, ale nie traci ochoty do wódki. Dom staje się rui-

ną; żona zapracowuje się i coraz częściej przesiaduje poza domem, dzieci zaniedbane, bose i głodne chorują, czasem mrą. Nadchodzi pierwsza „bezrobotna sobota“, gdzie nie ma z czego „urwać“ na wódkę. Mus fatalny wpędza w ten dzień pijaka w tragiczne dlań położenie i cały ranek zatruwa mu myślą, co będzie o 4-tej w godzinie „tradycyjnego“ sobotniego pijaństwa???

Godzina ta zastaje go siedzącego ponuro na kuferku i klnącego wszystkiemu i wszystkim. Ani żona, ani żadne dziecko, ani nikt z sąsiadów nie śmie przemówić doń, bo grozi to karczemną awanturą, a nawet pobiciem.

Nagle w ponurych oczach pijaczyny błyska myśl! Wstaje, łapie z łóżka nędznego mizerną poduszczynę i z nią pod pachą idzie poszukać pieniędzy na wódkę. Zdobywa jakąś garść drobnych i idzie pić!

Równia pochyła powiększa swój kąt spadku. Nie pomogą już żadne hamulce; po jednej poduszce idą następne, potem stołki, potem garderoba wytarta i połatana... Gdy nadchodzi termin eksmisji komornik niema co wystawiać na podwórze, zamyka tylko zatęchłą izdebkę na skobel, kładzie na niej pieczęcie i... drugi akt skończony.

W trzecim niema już rodziny. żona popełniła samobójstwo lub poszła w świat, dzieci trochę pomarło, jedno tramwaj przejechał, jedno, najstarsze, siedzi w więzieniu. Został tylko on — pijak.

Włóczy się z kąta w kąt, probuje żebrać: niewolno, zaczyna kraść— to się lepiej udaje, ale wreszcie go łapią i pakują do kozy. Nie siedzi w więzieniu, bo jest chory, ale zajmuje miejsce — łóżko w szpitalu więziennym, ale i tam brak miejsca, więc jako nierecydywistę zwalniają go na urlop „zdrowotny“.

W więzieniu było jednak nieźle, w Cyrku, gdzie obecnie nocuje, jest gorzej. Z pierwszej bójki, jaka przed tym przytułkiem powstaje, nasz bohater wychodzi ze złamanem żebrem i krwotokiem płucnym. Idzie do szpitala, ale już „cywilnego“.

W szpitalu nagle, o dziwo! Jest jakieś towarzystwo, jakieś panie, jakiś profesor... Rozmawiają z nim o wódce, o pijaństwie. Chcą mu pomóc, może nawet pracę wynajdą. Ale przedewszystkiem musi się leczyć i zapomnieć o swoim strasznym nałogu. MUSI! Ano mus, to mus! Chory cierpi, bo do głodu wódczanego przyłączają się cierpienia fizyczne, żebro złamane, a oprócz tego ta niepojęta zagadka: teraz musi przestać? A po co go przyzwyczajali?? Teraz tak trudno, tak ciężko!

Przy troskliwej opiece i młodym jeszcze organizmie chory powraca do zdrowia. Następuje moment wypisania go ze szpitala. Dobre panie i stary profesor nie mogli mu wprawdzie dać pracy, ale wystarali się z „komitetu“ o kilka złotych, żeby choć przez tydzień miał się o co zaczepić. Rekonwalescent wychodzi ze szpitalnej bramy nieśmiały i osłabiony. Chce mu się jeść, ale i pić też, bo dawny nałóg nie wygasł jeszcze zupełnie.

Nasz pacjent wolnym krokiem wlecze się po ulicy, raptem słyszy, że woła go ktoś po imieniu.

Ogląda się. To towarzysz pracy, z jednego warsztatu, śmieje się do dawno niewidzianego kamrata.

— Jak się masz — woła. — Nieźle wyglądasz, chociażeś blady. Gdzieś się chował ?

Nasz bohater nie chce mówić, ani o Cyrku, ani o więzieniu, ani o „urlopie“, więc wspomina tylko o szpitalu.

Leżałem 3 tygodnie w szpitalu, ale już zdrów jestem.

— O rany, to nie wiesz nic o najnowszej nowinie?... A ucieszysz się!

Na twarzy wymizerowanego biedaka pojawia się rumieniec zainteresowania.

— No?

— Słuchaj: w ó d k a s t a n i a ł a!

— — — — — — — — — — — —

Na tem kończy się akt trzeci dramatu. Króciutki epilog rozgrywa się w kilka dni później — w prosektorjum.

Stanisław Biernacki.

NIEPRAWDOPODOBNE, A JEDNAK PRAWDZIWE.

W statystyce Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej ogłoszono poniższe cyfry zniszczonych towarów dla podniesienia cen. Ponieważ wyprodukowano ich za wiele, jest nadmiar, nie ma na nie kupca-nabywcy-spożywcy, przeto *ludzkość* pomaga sobie w tej biedzie, jak może i umie. A więc niszczy się t. zw. nadmiar produktów. W Brazylji od marca do grudnia 1934 r. zniszczono — *siedem miljonów siedemset pięćdziesiąt tysięcy worków kawy.* (Zapewne po 50 kg. worek). W Stanach Zjednoczonych A. P. w r. 1933 zabito i spalono *sześć miljonów dwieście tysięcy wieprzów i dwieście dwadzieścia tysięcy macior.* Kukurydzy zniszczono *dwa miljony ton.* W Los Angelos co miesiąc wylewa się do rynsztoków 200.000 litrów mleka. W Hartmondzie wylewa się *dziennie taką samą ilość mleka.* Zabito też *sześćset tysięcy krów mlecznych.* Zniszczono też miljon sześćset tysięcy sztuk pomarańczy w sierpniu ubiegłego roku w Kalifornji. *Pomarańcze gniły w stosie na kilometr długim, a osiemdziesiąt tysięcy drzew brzoskwiniowych wyrwano i zniszczono.* W Oregonie połowa zbioru gruszek doliny Rokul została zniszczona. W samej tylko zatoce Karszekasz *zniszczono czterdzieści tysięcy łososi.* Barany bije się w setkach tysięcy i zostawia sępom na pożarcie, pozwala się gnić na pniu dziesięciu tysiącom hektarów poziomek. W Indjach, na Ceylonie i w Indjach Holenderskich, produkcja herbaty została zmniejszona o 15%, a trzydzieści tysięcy ton herbaty wrzucono do morza. (London-Paris Ag) — przedrukował „Przekrój Tygodnia“ Nr. 19.

I cóż Wy na to, Najszanowniejsi Czytelnicy? Coś zaczyna się bardzo źle dziać na świecie, kiedy w czasie przeogromnej nędzy, głodu i chłodu, kiedy jest tylu głodnych starców, kalek i dzieci, ba, kiedy miljony ludzi obojga płci i w sile wieku, pełnych zdolności i chęci do pracy, nie mogą jej nigdzie dostać i nie mają za co kupić pożywienia i giną z głodu, niszczy się dobra gospodarcze w tak wielkiej ilości dla zadośćuczynienia martwej doktrynie ekonomicznej, którą wynosi się ponad ludzi żywych. Więc powtarzam, źle się dzieje na świecie wśród ludzi. Ale wśród tych klęsk jest „pociecha“ i to „wielka pociecha“. Oto wśród tego masowego, hurtownego niszczenia żywności wszelkiego rodzaju, nie czytamy o zniszczeniu, ani jednego litra *alkoholu*, ani wódki (jest jej tyle gatunków),

ani wina, rumu, koniaku, likieru i t. d., ani też nie czytamy, żeby wylewano do rynsztoków, czy do rzek, stawów, jezior, czy też zgoła do morza tylu a tylu beczek, czy antałków piwa, porteru, cydru i t. d., nie czytaliśmy też nigdzie, żeby palono na stosach jako paliwo wszelkiego rodzaju wyroby tytoniowe, lub też przeróżne narkotyki!! Tu niema *nadprodukcji*. Tu nie trzeba nic niszczyć, tu wszystko, cokolwiek się wyprodukuje-wytworzy, ludzie wypiją i wypalą. Tak, to prawda, to, niestety, smutna prawda. A skoro to prawda, tedy należy ją jaknajdokładniej oświetlić. Jest rzeczą ciekawą, że Stany Zjednoczone A. P. do niedawna były „suche". Pytanie: czy i wtedy niszczono ty[illegible]roduktów spożywczych? A drugie pytanie: ile też tam obecnie, kiedy jest „mokro", obywatele Stanów Zjednoczonych przepijają i przepalają? Bowiem, czy też nie ma związku przyczynowego między niszczeniem wszelkiego rodzaju produktów spożywczych, a wypijaniem ogromnej ilości wszelkiego rodzaju alkoholu! Kto wie, może to ci, co przepili, przepalili, w spożyciu masowem alkohol, nikotynę, oraz narkotyki i, zapłaciwszy za to, nie mieli za co kupić chleba, mięsa, mleka i owoców w potrzebnej im ilości.

Może to kosztem głodu zdobywa się środki na trunki, tytonie i narkotyki? I czy nie tu jest jądro sprawy kryzysu? Wiadomo, kryzys, to ciężkie zmartwienie, to kłopot, to zły, uporczywy frasunek, a nasze polskie przysłowie mówi: „*na frasunek — dobry trunek*". I stwarza się jakieś zaczarowane koło, z którego niema wyjścia. Wytwarza się coś w rodzaju przepastnego topieliska, w którem im więcej się nieprzytomnie depcze, tem się głębiej i beznadziejniej w topielisku zapada i tonie bez ratunku. Nie wielu stosunkowo u nas w Polsce, i w Europie i wogóle na całym świecie jest ludzi zamożnych, czy bogatych, którychby było stać na jedzenie do syta i na picie. Powtarzam, że takich jest mało. Masy, ludzie ciężko pracujący, muszą z wolą, czy bez woli wybierać. Albo jeść, chociaż bez wymysłu, lecz od stołu nie wstawać głodnym, (jak to sobie życzył p. F. Karpiński), albo też poprzestać na jednem: dużo pić, do tego palić, a mało i źle jeść.

To, co przytoczyłem wyżej, świadczy, że: ponieważ produkty spożywcze marnują się bezużytecznie w pogoni za ich podrożeniem, a następstwem takiej gospodarki jest, że tylko mała liczba spożywców może pić drogie trunki i jeść żywność, a masy, przepiwszy i przepaliwszy środki, nie mogą kupić drogiej żywności i aż ją niszczą, żeby jej było mało, aby podrożała. Zaczarowane koło, albo *topielisko*.

Ale zostawmy już na boku stosunki światowe. Zastanówmy się nad tem, co się u nas w naszym kraju, że tak powiem, w naszym domu, dzieje. My nie niszczymy u siebie żadnych produktów spożywczych, my mamy na to inne sposoby. I tak: my nasze produkty spożywcze, a zwłaszcza przemysłowe, u siebie w domu sprzedajemy jak można najdrożej, np. cukier 1 zł. za kilo kryształu, za to zagranicę sprzedajemy coś po 12, czy 13 groszy za kilogram. Zboża sprzedajemy u siebie tanio, przy wywozie zagranicę do niedawna dopłacaliśmy kupcom wywozowym po kilka złotych do centnara. Wywozimy i świnie i bekony i masło zagranicę, tylko jakoś niedrogo za to bierzemy. A że u nas jest kryzys, bezrobocie, przeto kurczy się spożycie wewnętrzne, organizacji zbytu prawie że niema w znaczeniu społecznem, przeto bogacą się wielcy pośrednicy, a masy ludowe nieporadne w totaliźmie państwowym głodują.

„Robotnik“ z dn. 18.X b. r. w kronice „Samobójstwa“ przyniósł taką wiadomość: 17.X. otruło się 9 osób, w czem jedna dziewczyna 16-to, a druga 17-to letnia. Najstarsza, mężatka, miała 33 lata. A więc wszystko to młodzież. „Robotnik“ z 25.X. b. r. pisze, że w Gnieźnie rodzina, składająca się z 4 osób: ojca, matki i dwojga dzieci, chciała zagłodzić się, bowiem głowa rodziny, ojciec, nie mógł wytrzymać żebraniny. Woleli więc śmierć z głodu, niż umierać „na raty“ przy żebraninie.

My się cieszymy, że węgiel nasz idzie zagranicę, sprzedawany za bezcen. A p. *Jerzy Michalski* w broszurze swojej „Wieś nie ma pracy“ pisze, że biedne małe wiejskie dzieci w Rzeszowskim powiecie, gdzie 60.000 ludzi nie ma co robić, ani co jeść, ani za co kupić opału, te oto małe dzieci, nagie, bo nie mają koszul, zawiązuje się w worki z sieczką po szyję i tak zimują.

Tak, my nie niszczymy produktów spożywczych. *My niszczymy materjał ludzki!*

Co zaś do alkoholu, to Polska wypija ostatnimi czasy 25 miljonów litrów wódki. Ma to wynosić po 0,78 litra na głowę, — i trzeba przyznać, że to byłoby niewiele. Ale po pierwsze, że pije mniej, niż połowa zaludnienia (dzieci, starcy i kobiety bardzo wiele nie piją), ogromnie dużo ludzi ubogich nie pije, bo nie ma za co (jest to cnota z potrzeby), ale na *przepity* bilans wpływa. Dalej, w latach 1928—9 wypijano tu 72 miljony litrów, prawie trzy razy tyle. A no, mieliśmy suto, to też pili ludziska i to *„zdrowo“*. Kryzys uderzył w alkoholizm. Tylko jeśli bogate społeczeństwa w złym systemie gospodarczym niszczą produkty spożywcze, aby je podrożyć na miejscu i nawet one nie mają na nie nabywców, — to my, przy taniości żywności, wywożąc ją zabezcen zagranicę, tu, w kraju widzimy objawy głodu i to, co głodowi towarzyszy, to jest skarlenie młodzieży i gruźlicę. A gdy to widzimy, to musimy stwierdzić, że 25 miljonów litrów spirytusu, to dla nas za wiele, że nas na to nie stać, że ci, co piją, to przepijają pożywienie, odzież i opał ludzi ubogich, oraz szkołę — naukę dziatwy. U nas, przy naszem ubóstwie i przy kryzysie, wypić 25 miljonów l. spirytusu, to występek, to szkodnictwo. Rozumie się, że z poczucia ludzkości nie powiem, że bogaty może pić, nie, tak ja nie powiem. Jest tysiące u nas potrzeb, pilnych, koniecznych, które trzeba załatwić, nie mamy nic na przepicie. Ale gdy widzimy, że ludzie ubodzy, że nędzarze, że głodni, że wydziedziczeni, zalewają troski swojego życia trucizną alkoholową, która ich dobija, to jest „bólów ból“. I widzimy, że to jest jedno z największych nieszczęść ludzkości. Kapitał alkoholowy operuje nie tylko wódką, pracując dla zysku, wytwarza różne gatunki towaru, zakłada wielkie fabryki-gorzelnie, oraz buduje olbrzymie browary, gdzie wyrabia piwo. Wódka i piwo — to są najbardziej u nas rozpowszechnione trunki, chociaż są ludzie, którzy mówią, że piwo jest napojem, to jednak ja twierdzę, że piwo, takie, jakie u nas jest w użyciu, jest trunkiem. A dlaczego? Dlatego, że napój gasi pragnienie i ku temu służy przedewszystkiem woda, oraz różne napoje bezalkoholowe, które po wypiciu nie powodują zamroczenia umysłu. A dalej napoje gaszą pragnienie, a piwo nie gasi pragnienia, przeciwnie, im więcej „piwosz“ pije piwa, tem więcej wzmaga się jego pragnienie. Stąd prosty wniosek, że piwo jest trunkiem, tylko jest w nim mniejszy procent alkoholu i dla upicia się trzeba go więcej wypić. Piwa wypijamy obecnie nieco więcej, niż trzy litry na

gardło, czyli około 100 miljonów litrów. W r. 1929, przed kryzysem wypijano trzy razy tyle, czyli około 300 miljonów litrów na rok, a że tu również dzieci i kobiety, albo wcale nie piją, albo piją bardzo mało, przeto lwią część tego płynu wlewają w gardła nałogowi piwosze, których znowu tak bardzo wielu niema. Za to oni wypijają bardzo dużo. Trunki droższe, t. zw. wykwintne, czyli wina, likiery, portery, koniaki i t. p. piją u nas tylko ludzie zamożni, bogaci i t. zw. „nowobogaccy", albo też utracjusze, lub złodzieje i bankruci, małpujący w drogich karczmach ludzi bogatych. Tak zwana „elita", różni „ptacy niebiescy", oczajdusze i aferzyści, w tych drogich karczmach, w wesołem towarzystwie udających wesołość cór Koryntu, przepijają najczęściej zdobyty zbrodnią, chociażby najpotworniejszą, łup, mówiąc przytem, że to jest „owoc pracy". My wiemy, że w obecnych czasach kryzysu, każdy uczciwy pracownik, ma zaledwie tyle, żeby z głodu nie umarł. A już wszystkich tych, którzy rozbijają się w drogich karczmach i tam tracą pieniądze, „zadają szyku", śmiało można zaliczyć nie do rzędu ptaków niebieskich, ale wprost do sępów.

Dobiegam końca moich *nieprawdopodobnych praw* i ich wyjaśnień. Życie powojennych społeczeństw poucza nas, że: ludzkość powojenna i znowu będąca w przededniu nowej wojny, niszczy produkty spożywcze, nie umiejąc ich prawidłowo rozdzielić, tak, żeby nie było głodnych, a przestaje je niszczyć dopiero wtedy, kiedy zostaną przetworzone w truciznę alkoholową, której nikt nie niszczy, ponieważ znajduje ona nabywców i spożywców nawet za bardzo wysoką cenę. A kiedy ludzie wydadzą pieniądze na drogą wódkę, piwo, tytoń i t. p. niepotrzebne rzeczy, to nie mają nawet za co kupić taniego chleba, mięsa, masła i t. p. I tak uprawia się ten bezmyślny C H O C H O Ł O W Y taniec: *„raz dokoła, raz dokoła"*. Ba, żeby raz, niestety, ten chochołowy taniec nie ma końca. Mówi się i pisze, że świat się cywilizuje, uobywatelnia, uczłowiecza, mówi się i pisze o postępie ludzkości, o locie jej wzwyż ku ideałom. Być może, a nawet widać, że jest postęp, ba, toż widzimy, że się wszędzie cywilizujemy. Tylko, niestety, człowiek, ten „pan stworzenia", w rozwoju swoim za ucywilizowaniem narzędzi podążyć nie może, zostaje w tyle, technika go wyprzedza. W ostatnich latach kilkudziesięciu zbudował rzeczy zdumiewające. Koleje — to archaizm, to starożytność. Telegraf — to stęchlizna. Aeroplany, radjo, no, i gazy trujące i cóż tam jeszcze, i masowe niszczenie żywności, i głodni ludzie, i kwitnący przemysł alkoholowy. Ale trzeba wierzyć, ale trzeba pracować, ale trzeba walczyć o lepsze jutro ludzkości, trzeba walczyć z alkoholizmem, jako z jednym z najgorszych wrogów ludzkości, trzeba walczyć o mózg i o serce ludzkości, trzeba wytrwale, uporczywie walczyć ze staremi nałogami, wyhodowanemi przez wieki i przez pokolenia, które nieświadomie zatruły krew pokoleń, a obecnie *już świadomie* czynią to samo.

Stare, zadawnione, t. zw. chroniczne choroby, są podobno łatwe do rozpoznania, a trudne do leczenia. Taką chorobą jest alkoholizm. Przyczyną tej choroby była niewiedza i chciwość, skutek, zatruwanie wciąż ludzkości, zwyradnianie rasy, osłabianie woli, zanik rozumu, zanik człowieczeństwa, wzrost przestępczości, idjotyzm, okrucieństwo, nienawiści rasowe, stanowe, wyznaniowe, czego dowodem są prawdziwe nieprawdopodobieństwa, które tu opisałem.

Tomasz Nocznicki.

HR. WITTE NA INSPEKCJI.

I

Hr. Witte, praojciec monopolu wódczanego wstał z grobu i odbywa podróż inspekcyjną po całej wielkiej Rosji.

Znane jest powszechnie powiedzenie hr. Wittego, gdy mu robiono zarzuty, że monopol wódczany rozpaja ludność i dezorganizuje państwo: „Na moj wiek chwatit“—coś jakby parafraza powiedzenia Ludwika XV „aprés nous le déluge“.

Po śmierci tych przewidujących polityków, rewolucja bolszewicka i wielka rewolucja francuska do fundamentów burzą i niweczą wznoszone przez nich budowle państwowe.

To też hr. Witte nie mógł uleżeć spokojnie w grobie i zaciekawiony, jak się ułożyły stosunki, przystąpił do rewizji monopolów w całej dawnej Rosji.

U Bolszewików dowiedział się, że jego reformy przyczyniły się w ogromnej mierze do zwycięztwa nad caratem. Wprawdzie Car Mikołaj II jednocześnie z rozpoczęciem wielkiej wojny zamknął monopol wódczany i zakazał produkcji i sprzedaży wódki, gdyż nawet ten ograniczony władca rozumiał, że pijana Rosja nie może zwyciężyć, ale skutki wieloletniego rozpajania ludności, tak głęboko wżarły się w społeczeństwo rosyjskie, że same zakazy okazały się niewystarczające, demoralizacja powszechna przyczyniła się do zwycięstwa Bolszewików i dopiero ci ostatni po zdobyciu władzy gorącym żelazem zaczęli wypalać skutki reform hr. Wittego.

Spożycie wódki zostało niezmiernie utrudnione, a spożycie samogonki surowo zakazane — za produkowanie i dostarczanie — (handel) samogonki, była stosowana kara śmierci.

Pod samym Petersburgiem w Finlandji, Estonji, Łotwie, hr. Witte przekonał się, że nie tylko niema już śladów zaprowadzonych przez niego monopolów, ale nawet zastał on tam dużo rozumnych i celowych rozporządzeń, zmierzających do jaknajdalej idącego ograniczenia spożycia alkoholu. Bardzo się tem wszystkiem biedny, stary hr. Witte zmartwił; pocieszył się dopiero, gdy przyjechał do Siewiero-Zapadnowo kraju i do Priwislinja — w krajach tych zastał monopol znacznie ulepszony, w porównaniu z tym hr. Wittego dawnym rosyjskim monopolem. W tych krajach niema już „kazionnych winnych ławok“ — które były otwarte tylko w ściśle oznaczonych godzinach, niema już państwowych urzędników sprzedających wódkę — tak zwanych „sidielców“, pobierających pensję i obojętnie odnoszących się do tego, ile wódki rozkupią, przeciwnie, taki „sidielec“ wolał siedzieć spokojnie i nie komplikować swoich raportów. W krajach tych, obecnie Polską zwanych, zamiast organizacji dawnej, bezwzględnie ograniczającej sprzedaż wódki — wprowadzono nowy system, oddano całą sprzedaż w ręce prywatnych przedsiębiorców, premjując tych, którzy sprzedadzą więcej wódki, a odbierając koncesje nieudolnym sprzedawcom. Tu na wszystkich wystawach sklepowych podziwiał hr. Witte ogromne asortymenty wyrobów monopolu państwowego, jedne butelki z lakiem czarnym, inne z czerwonym, a inne z białym — znawcy wytłomaczyli mu, że po kolorze laku można poznać gatunek wódki. Bardzo hr. Wittemu podobało się, że pomiędzy wielkimi

i średniemi butelkami były także i małe buteleczki, przypominające mu znane za jego czasu rosyjskie „mierzawczyki“, które, jak się dowiedział, nazywają się obecnie „mały spirytusik“, nazwę tę uznał za przyzwoitszą, delikatniejszą — przecież jest rzeczą znaną, że Polacy to naród delikatny.

Dowiedział się również, że urzędnicy monopolowi otrzymują premje za ilość sprzedanej w ich okręgu wódki, są więc premjowani za rozpajanie ludności, wszystko to bardzo mu się podobało i postanowił zapoznać się z głównym kierownikiem monopolu wódczanego na cały obecnie powiększony „Priwiślinskij kraj“. — Główny dyrektor monoplu spirytusowego, pan inżynier, przyjął bardzo lekceważąco hr. Wittego i oświadczył mu, że on zna lepiej sprawy monopolowe, że niema czasu na konferowanie z ministrami w dymisji, a, że całą sprawę wyłożył wszechstronnie i dokładnie w dwuch artykułach poczytnego polskiego dziennika, które wręczył hr. Wittemu, aby się z jego nowym programem hr. Witte mógł dobrze zapoznać. Rozmowę dyrektora z hr. Wittem podsłuchał jakiś mały urzędniczek, czy może nawet woźny monopolowy — tacy mali urzędnicy bardzo często słyszą to, co do nich nie należy i czego słuchać nie powinni. Złapał więc hr. Wittego na wychodnem i wsunął mu numer „Trzeźwości“, w którym podkreślił czerwonym ołówkiem artykuł Sceptyka. Hr. Witte wrócił do hotelu, kazał sobie podać butelkę lemonjady — sam hr. Witte alkoholu nie używa, a za młodu, jako student Odeskiego Uniwersytetu, należał do grupy abstynentów, i rozpoczął studja zebranego materjału. Dużo dziwnych i ciekawych rzeczy dowiedział się on z tych kilku artykułów, głęboko zaczął się nad niemi zastanawiać i przyszedł do wniosku, że wielka Rosja rozpadła się na części, z których, kto wie, czy nie da się jeszcze przy pomyślnych warunkach coś zlepić, wprawdzie prowincje Bałtyckie są względnie trzeźwe, ale rozdrobnione i słabe, z niemi można sobie jeszcze dać radę, trudniej byłoby może z krajem Prywiślinskim, ale, że kraj ten wraca do dawnych swoich zwyczajów z czasów Saskich, kiedy to Polacy mówili, że u nich dobrze się dzieje, że w ich kraju wszystkiego jest dosyć: „jedz tylko, pij, a popuszczaj pasa“ — i kiedy to w Polsce gospodarowali, jak u siebie w domu, Piotr, Katarzyna i Fryderyk, a tylko się z polskiej głupoty naśmiewali. W obecnej Polsce nie trzeba nawet popuszczać pasa, bo niema co jeść i zresztą nie ma nawet pasa, ale pić, to można, ile tylko dusza zapragnie, ile „wlezie“.

Hr. Witte zaciekawił się działalnością naszego Towarzystwa „Trzeźwość“ i obiecał do nas zajść i podzielić się wrażeniami z artykułów łaskawie mu przez dyrektora Monopolu udzielonych, o tem zapewne będę mógł napisać, o ile Witte dotrzyma danego przyrzeczenia.

II

Telefon: szwajcar hotelu „Bristol“ zapytuje, czy jest ktoś z zarządu Tow. „Trzeźwość“, gdyż hr. Witte chce nas odwiedzić. Odpowiadam, że z niecierpliwością oczekuję przybycia hrabiego i że zatelefonuję do innych członków zarządu, aby przybyli na tę ciekawą konferencję.

W niepełny kwandrans po tej rozmowie wchodzi do naszego biura wysoki, barczysty mężczyzna, z charakterystyczną siwą rosyjską brodą

(mała łopata) i o inteligentnem spojrzeniu siwych oczu. Przykre wrażenie robił tylko przełamany nos — ślad dawnej choroby.

Hr. Wittego spotkałem raz w życiu w r. 1890, czy 1891, na zebraniu filistrów, które odbywały się co roku 5 maja w dniu założenia uniwersytetu odeskiego, jeszcze jako ministra komunikacji; były to początki jego nadzwyczajnej karjery.

Na tem koleżeńskiem zebraniu, które odbywało się w pierwszorzędnej restauracji, jedli dużo, pili jeszcze więcej, anegdotki sypały się obficie, śpiewano, wygłaszano toasty, słowem, zwykła koleżeńska biba. Ale i tam znalazła się mała grupka abstynentów, resztki i niedobitki organizacji, zapoczątkowanej przez Wittego kilkanaście lat temu. Toastom nie było końca, a po spełnieniu toastów honorowych przypomniano sobie i naszą grupkę i po różnych żartach i przycinkach ktoś wzniósł toast na cześć abstynentów, który my spełniliśmy wodą. Witte również odsunął kieliszki i ze szklanką wody w ręku spełnił nasz toast, a potem serdecznie przemówił, podkreślając, jak wielkiem złem jest alkohol, ile strat i szkód przynosi on państwu w różnych dziedzinach, a w szczególności, jak jest niebezpieczny i szkodliwy w kolejnictwie. Po tem jego przemówieniu wszelkie docinki ustały, a kilku nadmiernie podnieconych alkoholem kolegów dyskretnie opuściło zebranie. W dalszym ciągu już prawie bez wina wesoła biesiada trwała jeszcze parę godzin.

Ani chwili nie przypuszczałem, że Witte przypomni sobie ten epizod, ale okazuje się, że nieboszczycy mają lepszą pamięć, niż ludzie żywi, to też Witte przy przywitaniu przypomniał mi to nasze spotkanie; rozmowa potoczyła się dość żywo i wesoło. Skarżył się Witte, że nikt go nie spotkał na dworcu, że nie mógł się dowiedzieć, kto obecnie jest generał-gubernatorem Warszawy. Telegrafował bez podania nazwiska i liczył się stem, że jak kiedyś Skałon, obecny generał-gubernator wyjedzie na jego spotkanie z sotnią kozaków, że odda do jego dyspozycji zamek, a sam wyniesie się do Belwederu. Tymczasem, na dworcu nie spotkał nikogo, a gdy się zwrócił do policjanta z zapytaniem po rosyjsku, co to znaczy,— ten mu odpowiedział spocztku po francusku, a potem po niemiecku, po rosyjsku zaś wcale nie mówił. Okazało się, że dyżurny na dworcu policjant znał jeszcze język angielski i esperanto, do języka zaś rosyjskiego sprowadził starszego policjanta lat 40 — 50, który znał bardzo dobrze język rosyjski, gdyż był w Petersburgu w gwardji. Wyjaśnienia, udzielone przez policjantów były dziwne i niezrozumiałe. Nie pozostało więc nic innego, jak wziąć zwykłą taksówkę i pojechać do zamku, ale tu u bramy stali jacyś żołnierze w kwadratowych rogatych czapkach i ci go do zamku nie puścili, a miejscowy policjant poradził ulokować się w hotelu i polecił Bristol. Witte nigdy nie przypuszczał, że autonomja w Priwislinskim kraju będzie tak daleko posunięta, że wpływy rosyjskie, przez tyle lat ustalane, tak prędko znikną. Jedyny ślad dawnego panowania, to monopol — wodka oczisczennaja. Dla Wittego, jako wiernego sługi caratu i wielbiciela jedynej niepodzielnej matuszki Rosji, to prawdziwa i wielka pociecha.

Rozpytywał się bardzo szczegółowo o działalność Tow. „Trzeźwość" i tu wyczuwało się dziwną rozbieżność w jego mowie i w jego myślach — w ten sposób widocznie układają się myśli u nieboszczyków. Witte, jako przekonany abstynent, jest naszym zwolennikiem, jako karjerowicz,

mógł wprowadzić monopol w Rosji, chociaż rozumiał jego szkodliwość, a jako wierny syn matuszki Rosji, dążący wszelkiemi siłami do jej wskrzeszenia w dawnych granicach, cieszy się bardzo, że w kraju, który najtrudniej do porozumienia z Rosją skłonić, rozpanoszył się monopol i tak mało robi się dla otrzeźwienia społeczeństwa.

O artykułach b. dyrektora monopolu Witte mówił z wielkim sarkazmem i dziwił się, że poważny i znany polski dziennik podobne artykuły drukuje. Uwagi i żarty „Sceptyka" (patrz „Trzeźwość" Nr. 10) powtarzał prawie dosłownie.

Rozmowa trwała dość długo i w miłym nastroju, ale najciekawszą jej część, a mianowicie krytykę dwóch artykułów b. dyrektora monopolu p. t.: „Czy monopol spirytusowy jest potrzebny?", drukowanych w „Kurjerze Porannym" z 24 października i 8 listopada muszę odłożyć do następnego numeru, gdyż zanadtobym przedłużył ramy tego artykułu, zresztą, będę musiał traktować tę sprawę poważniej, a tem samem zakończyć mój obecny flirt z nieboszczykiem hr. Wittem, wyzyskawszy tylko jego bardzo wyrobioną znajomość spraw monopolu spirytusowego. Witte ma bezsprzecznie trafny pogląd na spirytus, zwany inaczej — aqua vitae, czyli wodą Wittego.

Aleksander Iżycki.

LECZENIE NARKOMANÓW W STANACH ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

M. Fuller, delegat Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, złożył na posiedzeniu Komisji Doradczej Ligi Narodów do spraw opjum z dnia 25 maja 1935 r. następujące oświadczenie:

Dziś właśnie odbywa się uroczystość otwarcia pierwszego zakładu federalnego dla narkomanów, założonego w Stanach Zjednoczonych w Lexington w stanie Kentucky. Rząd reprezentuje p. Morgenthau, sekretarz w Ministerstwie Skarbu oraz miss Józefina Roche, zastępca sekretarza w temże ministerstwie. Przewodniczyć będzie Dr. Hugh S. Cunning „Surgeon General" z Departamentu Służby Zdrowia. Mowę inauguracyjną wygłosi Dr. Walter Lewis Treadway, „Assistant Surgeon General" z Departamentu Służby Zdrowia, dzięki któremu dzieło stworzenia zakładu leczniczego dla narkomanów zostało szczęśliwie doprowadzone do końca. Poniżej podajemy memorjał, opracowany przez D-ra Treadway dla użytku Komisji Doradczej Opjumowej.

„Zakład będzie dostępny dla publiczności w dniu otwarcia, jak również przez następne 3 dni, potem publiczność nie będzie dopuszczana. Wszystko zostało przygotowane tak, aby chorych można było przyjmować, począwszy od dnia 29 maja 1935 r. Poczyniono odpowiednie zarządzenia, aby móc przewieść około 250 narkomanów, więzionych przez federalną administrację penitencjarną. Prócz tego przyjęte będą osoby, warunkowo zwolnione przez właściwe sądy. Zwolnienie ich nastąpiło między innemi pod warunkiem, że zgodzą się na leczenie w Lexington do czasu wyzdrowienia. Zakład otrzymał ponadto liczne zgłoszenia dobrowolne o przyjęcie. Zakład w Lexington jest przeznaczony wyłącznie dla

mężczyzn, ale w bardzo niedalekiej przyszłości wykonane będą niezbędne dodatkowe roboty, umożliwiające przyjmowanie kobiet, dotkniętych narkomanją.

W chwili obecnej tworzy się drugi zakład w Fort Worth w stanie Texas. Plany już są przyjęte i kontrakt na budowę potrzebnych budynków będzie prawdopodobnie zatwierdzony około 1 lipca r. b.

Zakład w Lexington jest przeznaczony dla osobników, których leczenie przedstawia największe trudności, to zn. przeważnie dla więźniów. To też ze specjalną troskliwością zajęto się warunkami ich nadzoru. Zakład w Fort Worth będzie miał charakter zakładu bardziej otwartego; wskazują na to jego plany, w których przyjęto system pawilonowy i nadzór będzie mniej surowy, niż w Lexington. Nabyte doświadczenie wykazało, że jeśli przy pewnych kategorjach narkomanów najważniejszą sprawą jest roztaczany nad nimi nadzór, inne mogą korzystać z systemu bardziej liberalnego. Zakład w Fort Worth będzie zatem jakby dopełnieniem zakładu w Lexington.

Poświęcenie i otwarcie zakładu w Lexington są wyrazem zmiany nastawienia w metodach amerykańskich w stosunku do zagadnienia narkomanji. Tylko narkomani, według określenia ustawy, zezwalającej na stworzenie takich zakładów, będą mogli być w nich leczeni lub internowani, z warunkiem, że zastosują się do przepisów o przyjmowaniu chorych.

Określenie „narkoman" w rozumieniu wyżej wspomnianej ustawy obejmuje osoby, używające stale jednego ze środków odurzających, wywołujących nałóg i wyszczególnionych w ustawie, narażające równocześnie na szwank moralność, zdrowie, bezpieczeństwo lub spokój publiczny, lub które używają, względnie używały tego środka w takim stopniu, że zatraciły wszelką kontrolę nad sobą. Środki, wymienione w ustawie, są to opjum, liście koka, konopie indyjskie i ich pochodne, jak również pejotl w rozmaitych postaciach.

Otwarcie zakładu w Lexington dowodzi, że dla Rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej rozporządzenia, ograniczające handel środkami odurzającemi, nie są jedynemi sposobami, przy pomocy których chce on rozwiązać zagadnienie lekarskie i społeczne, jakiem jest narkomanja. Póki w kraju będą istnieli narkomani i póki istnieje obawa, że niektóre osoby popadną w nałóg skutkiem zetknięcia się z innymi narkomanami, którzy myślą tylko o tem, aby zapewnić sobie zdobycie zapasu tych środków, tak długo znajdą się zdeprawowane osobniki obojga płci, które będą chciały dostarczyć im tych środków, używając w celu zdobycia ich wszelkich sposobów, na jakie pomysłowość ludzka może się zdobyć. Obecność we wspólnotach amerykańskich osób, używających nałogowo środków odurzających, prowadzi do tego, że środki te, drogą przemytu lub innego oszustwa wwiezione do kraju, znajdują zawsze zbyt. Zagraża to legalnemu zaopatrzeniu w środki tego rodzaju, pierwotnie przeznaczone dla celów leczniczych lub naukowych. Zarządzenia porządkowe, mające za zadanie reglamentację i kontrolę wyrobu i rozdziału środ-

---

[1]) Protokół 20-ej sesji Komisji Doradczej Ligi Narodów do spraw handlu opjum i innymi środkami odurzającymi, odbytej w Genewie między 20-ym maja a 5-ym czerwca 1935 r. Nr. C. 277 M. 144. 1935. XI z dnia 3 lipca 1935 r.

ków odurzających, są równie skuteczne, jak te, które zmierzają do zapewnienia nadzoru, odosobnienia lub wyleczenia narkomanów w danej wspólnocie.

Odosobnienie i segregacja narkomanów w celu ich leczenia są potrzebne i celowe, gdyż zetknięcie ich z innemi osobami we wspólnotach amerykańskich stanowi niebezpieczeństwo utajone zwiększenia istniejącej narkomanji.

Zakład dla narkomanów w Lexington ma na celu polepszenie stanu zdrowia i wyleczenie przyjętych chorych, jak również przyzwyczajenie ich do nabrania zaufania do samych siebie. Prócz tego, nadzór, zarząd i dyscyplina w tym zakładzie zmierzają do zapewnienia ochrony jednostki i zabezpieczenia wspólnoty amerykańskiej.

Organizuje się tam warsztaty, które zatrudniają chorych podczas ich pobytu w zakładzie i zapewniają im wyrobienie zawodowe, oraz wyszkolenie. W zakładzie będą prowadzone doświadczenia dla ustalenia najlepszych metod leczenia i przeprowadzenia doświadczeń w tym kierunku. Wyniki będą podawane do wiadomości lekarzy i publiczności.

Funkcje, nadane tej instytucji, tworzą z niej pewnego rodzaju ośrodek zdrowia i badań, jak również ośrodek wyszkolenia, pracy, wyrobienia zawodowego i poprawy, do czego jeszcze należy dodać stworzenie norm nadzoru.

Znaczenie tego zarządzenia prawnego w stosunku do przestępców, którzy naruszyli prawa federalne, będzie łatwiejsze do zrozumienia, jeśli się zaznaczy, że kary więzienia wielokrotnie powtarzane były częściej nakładane na narkomanów, niż na wszystkie inne kategorje dorosłych więźniów. Otóż powtarzanie tych kar spowodowało, że zaczęto powątpiewać w skuteczność systemu, polegającego wyłącznie na stosowaniu kar więzienia w stosunku do narkomanów. Zapoznanie się z zagadnieniem narkomanji w jej skutkach dla ogółu ludności pozwoli najłatwiej ocenić wartość tego nowego systemu zakładów odwykowych. Studja tego rodzaju wykazały, że stałe używanie środków, wywołujących nałóg, jest rozpowszechnione w całych Stanach Zjednoczonych, że wszystkie grupy i klasy ludności w ten czy inny sposób odczuwają jej skutki, że rozmieszczenie narkomanów mniej więcej odpowiada geograficznemu rozłożeniu i gęstości zaludnienia wogóle i że zatrudnienie zawodowe, wiek, urodzenie, płeć, rasa, małżeństwo i wykształcenie nie stanowią czynników wyłączających. Nałóg używania środków odurzających przypomina zatem chorobę endemiczną, gdyż zagraża ogółowi ludności i stanowi zagadnienie zarówno lekarskie, jak i społeczne, dotyczące i interesujące zarówno władze lokalne, jak władze państwowe i szeroki ogół.

Dotychczas z punktu widzenia zarządzeń porządkowych narkomanja była traktowana prawie wyłącznie jako zagadnienie natury karnej i poprawczej, podobnie, jak to było ongiś z chorobami psychicznemi. Tworząc instytucję, jak opisana powyżej, należało brać pod uwagę, że wszelka poprawa porządku społecznego, moralnego, ekonomicznego lub handlowego przy kierowaniu narodem niepodległym ma swoje źródło nie w umyśle jednostki, lecz w całokształcie idei i pragnień pokoleń, żyjących we wspólnocie. Ruchy reformistyczne napozór wybuchają nagle, mają jednak głębokie podstawy w tradycjach i zwyczajach danej wspólnoty.

Miejsce, jakie zajmie obecnie ta instytucja w naszym systemie społecznym, jest wyrazem stałej ewolucji, ciągnącej się ponad trzy wieki. W ciągu tego okresu społeczeństwo starało się stworzyć skoordynowane normy porządku publicznego, aby rozwiązać trudności, z któremi zmuszone są walczyć społeczeństwo i jednostki, niezdolne przeciwstawić się niepowodzeniom lub przystosować się do zmiennych warunków współżycia. W miarę rozwoju ludności i tworzenia się wspólnot amerykańskich, w miarę jak cywilizacja i stosunki wzajemne stały się bardziej skomplikowane, jednostki czasowo odosobnione, mimowoli, po wyjściu szukają zbliżenia z innymi, stając się, dla rozmaitych względów, czynnikiem zaognień społecznych, względnie ciężarem dla społeczeństwa.

Ideą zasadniczą przy tworzeniu takich zakładów dla narkomanów nie jest wyłącznie danie im pomieszczenia i wyżywienia lub nawet leczenia indywidualnego. Wobec roli, jaką mają spełnić, instytucje te stają się z konieczności centrami leczniczemi, wyposażonemi we wszelkie urządzenia, jakich wymaga nowożytna wiedza lekarska i leczenie chorób fizycznych i umysłowych. Rola ich wykracza poza usługi indywidualne, oddawane osobom, przyjętym do tych zakładów, gdyż zakłady te nabierają cech większej specjalizacji w miarę ewolucji norm porządku publicznego, zmierzających do częściowego rozwiązania jednego z zagadnień, jakie stają przed społeczeństwem.

Instytucje te, przeznaczone do internowania i leczenia narkomanów, przyjmują formę specjalizacji, pozostającej w stosunku prostym do norm stosowania ustaw i zabezpieczenia wspólnot amerykańskich, obejmują również zagadnienia specjalne procedury karnej i poprawczej, zmniejszenie użycia środków odurzających w medycynie, poszukiwanie wiadomości bardziej ścisłych i zasadniczych co do natury narkomanji i zjawisk pokrewnych, wreszcie potrzebę instynktowną, zawsze żywą w narodzie amerykańskim, zapewnienia chorym i nieszczęśliwym opieki i nadziei powrotu do zdrowia.

podała *Marja Sokalówna.*

OGRODY DZIAŁKOWE, ICH ZNACZENIE SPOŁECZNE I ROLA W WALCE Z ALKOHOLIZMEM.

(Referat, wygłoszony w Tow. „Trzeźwość“ dn. 20.XI. 1935 r.).

Najładniejszą częścią miasta zachodniej Europy jest przedmieście. Duża ilość parków, zieleńców i kwietników cechuje tę część miasta. To też każdy obywatel ucieka z City (handlowego centrum miasta), lub też z fabryk, gdzie jest zatrudniony, na przedmieście. Jeśli sam nie jest posiadaczem domku z ogródkiem, to napewno dąży on do swego małego ogródka działkowego. Coraz częściej zdarza nam się słyszeć tę nazwę, nieraz jednak nie zdajemy sobie sprawy, co ona oznacza.

Ogrodem działkowym nazywamy obszar ziemi (od paru do kilkunastu hektarów), położony w obrębie miasta, w pobliżu osiedli mieszkaniowych, estetycznie ogrodzony (siatką, lub żywopłotem), podzielony na szereg ogródków, obejmujących 250 — 400 m². Ogródki oddzielone są szerokiemi alejami, które prowadzą do centrum życia ogrodu: na boisko,

miejsce zebrań, zabaw i półkolonji dla dziatwy miejskiej. Każdy z ogródków tworzy całość z altanką, zbudowaną przez właściciela, ogrodzony według obowiązujących dane towarzystwo przepisów.

Każdy posiadacz działki musi być członkiem wspólnej organizacji, opłaca minimalną zresztą składkę miesięczną (w razie utraty pracy bywa z niej zwolniony), musi regulować czynsz dzierżawny, którego wysokość waha się w granicach 1 — 5 gr. rocznie od 1 m^2. Działkowiec wpłaca go na ręce wybranego na dorocznem walnem zebraniu zarządu ogrodu działkowego. Zarząd reguluje wszystkie sprawy wewnętrzne i zewnętrzne, dotyczące całości ogrodu i poszczególnych jego członków.

To zespolenie ludzi przy pracy w ogródku ma duże znaczenie psychiczne. W duszy bowiem każdego człowieka tkwi silne pragnienie posiadania własnego, choćby najmniejszego kawałka ziemi. Każdy z nas, najbardziej zależny, chce być także niezależny — chce znaleść siebie.

Dlatego też tak bardzo wszyscy kochamy nasze małe ogródki działkowe.

Zbieramy się na nich wszyscy, złączeni wspólnemi zainteresowaniami, umiłowaniem przyrody, pragnieniem spędzenia rzadkich nieraz chwil wolnych we własnym małym ogródku. Najbardziej zaś, najsilniej łączy nas pragnienie bezpośredniego obcowania z naturą i słońcem.

Ogródek jest tym psychicznie silnym czynnikiem, podtrzymującym wiarę w trwałość i potrzebę systematycznego wysiłku i pracy.

Na terenie ogrodu działkowego koncentruje się życie właściciela i jego rodziny od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Roślina, jako istota żywa, wymaga stałej pielęgnacji, stałego zainteresowania. I odwdzięcza się właścicielowi ogródka obfitym plonem, i dawką dużej radości i szczęścia.

Jak wielkie może być zainteresowanie swoim ogródkiem, mogłam niejednokrotnie stwierdzić. Poznałam między innemi stolarza, który w wolnych chwilach, przez parę lat studjował style, by wreszcie upiększyć swój ogródek altanką własnego pomysłu. Drugi, ze znanych mi właścicieli ogródka, kolejarz, rokrocznie uszlachetniał różę na dębie, bo chciał otrzymać czarną różę.

Zetknęłam się wreszcie z posiadaczem działki, który godziny całe spędzał nad wyprowadzeniem pierwszego agrestu, obserwując jednocześnie współżycie mrówek i mszyc.

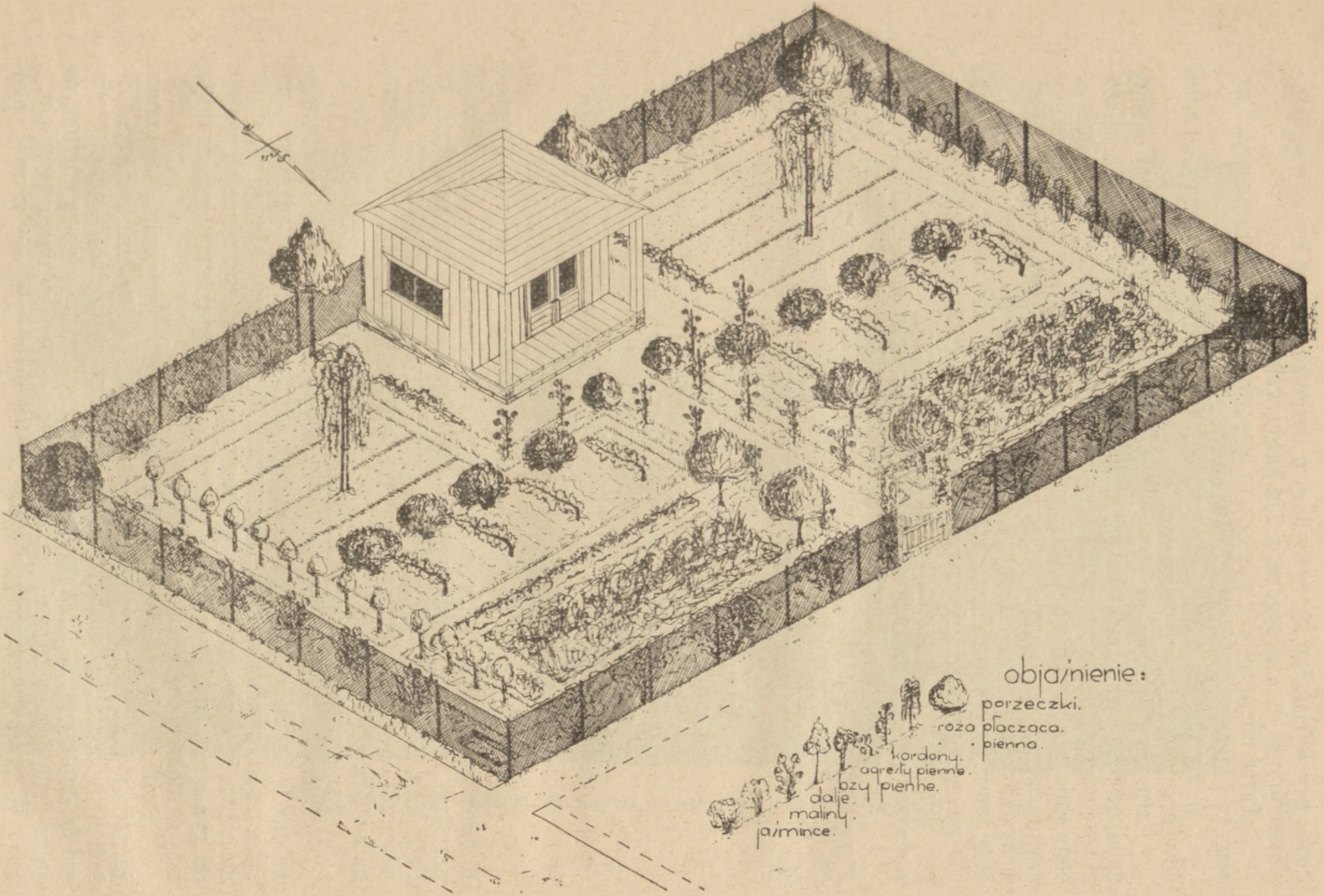
Z bytności w Poznaniu przypominam sobie rozmowę z jednym z działkowców. Był on zmuszony po paroletniej pracy w ogródku przenieść się na nowy teren, gdyż uprzedni ogród zabrano pod budowę. Intensywnie też na nim pracował, a mniej, lub więcej groźne przekleństwa towarzyszyły wysiłkom mięśni. Był to upalny dzień wiosenny. Zagabnęłam go dyplomatycznie, czy się opłaci tyle trudu wkładać w ogródek, gdyż nieurodzajny żwir, z jakim miał do czynienia na swoim terenie, wymagał dużego wysiłku.

„Pewnie, że się nie opłaci“, oświadczył zirytowany.

„Więc któż pana do roboty zmusza“, spytałam zdziwiona.

„Miałbym tę pracę rzucić teraz, gdy zaprobowałem owoców, warzyw i kwiatów z własnego ogródka?

Czasem to i zły jestem i zdaje mi się, że to wszystko na marne



Ogródek pokazowy. Wykonali uczniowie śred. szkoły agron. w Kijanach.

idzie, gdy jednak kwiaty zakwitną, a drzewka zaczną owocować, żona z dziećmi całe dnie tu spędza, a i ja każdą wolną chwilę.

Teraz nie głupim w pierwszym lepszym szynku przesiadywać. Czasami to i nocujemy całą rodziną w altance".

W niedzielę w całym ogrodzie wre, jak w ulu: działkowcy od rana do wieczora używają wywczasów.

Nic też dziwnego, że Międzynarodowe Biuro Pracy uznało ogrody działkowe za jedno z najlepszych urządzeń społecznych, godnych zalecenia we wszystkich państwach Europy, od chwili wprowadzenia 8-godzinnego dnia pracy. Praca na świeżem powietrzu, wypoczynek umysłowy, możność spożywania owoców i warzyw, radowanie się pięknem kwiatu— wszystko to sprzyja koniecznej higjenie codziennego życia. Wszak tak dużo mówi się o witaminach, solach mineralnych, zawartych w owocach, tak mocno propaguje się w państwach zachodnich moszcz bezalkoholowy, otrzymywany z produktów ogródka. A przeciętny obywatel, nie posiadający ogródka, z tych dobrodziejstw przyrody korzystać nie może.

Zrozumiało to Ministerstwo Opieki Społecznej i Fundusz Pracy, popierając akcję ogródków w Polsce tak energicznie, zrozumiały to także inne Państwa w Europie i oto statystyka wykazuje wciąż wzrost ogródków działkowych na całym świecie. Statystyka już z 1931 r. wykazała:

w Niemczech	1.400.000	działkowców
w Anglji	1.200.000	„
we Francji	400.000	„
w Belgji	60.000	„
w Austrji	33.000	„
w Luxemburgu	19.000	„
w Polsce	6.512	„
w Szwajcarji	2.800	„

Ogromnie popiera akcję również rząd Włoski. Na Międzynarodowy Kongres Ogrodów działkowych w Poznaniu 21-go września b. r. Włochy przysłały swego urzędowego delegata. W świetnych przemówieniach dr. Palladino, dało się niejednokrotnie podchwycić nutę ogromnego przywiązania do ziemi. Na miłości do owej „terra" mają się oprzeć odrodzone moralnie Włochy.

Akcję popiera również b. intensywnie Hitler.

Dążąc do potęgi swego kraju, i zdając sobie sprawę, że oparta winna ona być na zdrowem społeczeństwie, szukają państwa zdrowych, pożytecznych, wychowawczych rozrywek, któremi chcą zastąpić panujący na całym świecie alkoholizm. Ta klęska społeczna, staczająca obywatela do rynsztoka, zabijająca jego prawdziwe wartości, musi być usunięta z życia naszego narodu.

Prof. Pieńkowski w nr. 8—9 „Trzeźwości", w artykule „Narkomanja, jako jedna z fałszywych dróg wyzwolenia", bardzo trafnie określa alkoholizm. Stwierdza on, że każdy człowiek walczy o swój los, o swe prawo do doprowadzenia swego indywidualnego rozwoju do maximum, na jakie daną jednostkę stać, walczy wreszcie o swój udział w szczęściu.

W swym twórczym pochodzie ku lepszej przyszłości, w owej pogoni za szczęściem, największe szanse zwycięstwa ma ten, u którego har-



Codzienna zabawa na boisku w ogrodach działkowych.

monijnie współdziałają wszystkie tendencje odziedziczone, wraz ze wszystkiemi wpływami świata otaczającego.

Jeśli człowiek w swej wędrówce ku szczęściu za dużo *chce*, a za mało *może*, stwarza się sytuacja, która między innemi szuka ucieczki w alkoholizmie.

Pod wpływem alkoholu może nastąpić pewne złudzenie wyrównania stosunku *chcę* i *mogę*, przytem najczęściej „chcę" się zmniejsza, a „mogę" rzekomo zwiększa. Po chwilowem wyrównaniu następują złe konsekwencje działania alkoholu.

Trucizna ta rujnuje fizycznie człowieka, deprawując go także psychicznie.

Przytaczając tych parę myśli z artykułu Prof. Pieńkowskiego, w związku z tematem przezemnie obranym, zdajemy sobie sprawę, czem mogą być ogrody działkowe w walce z alkoholizmem.

A więc z jednej strony środkiem profilaktycznym, zapobiegającym szukaniu zapomnienia w alkoholu, z drugiej strony kuracją dla tych ludzi, którzy w tak ciężki nałóg wpadli.

Profilaktyczne działanie ogrodów działkowych, w stosunku do alkoholików, polega z jednej strony na zbliżeniu człowieka z przyrodą, jej życiem i prawami, co zawsze oddziaływa uszlachetniająco na człowieka, z drugiej strony na wprowadzeniu wysiłku fizycznego, zdrowego na świeżem powietrzu, najlepszej gimnastyki, działającej dodatnio na samopoczucie, i wreszcie dla bezrobotnych, czy też mniej zamożnych, których jest większość społeczeństwa naszego, zabezpieczenie przed grożącym im głodem. Brak pracy u tej grupy społecznej staje się dokuczliwym sam dla siebie, gdyż potrzeba pracy leży w naturze każdego człowieka; każdy podświadomie pragnie być użytecznem kółkiem maszyny społecznej.

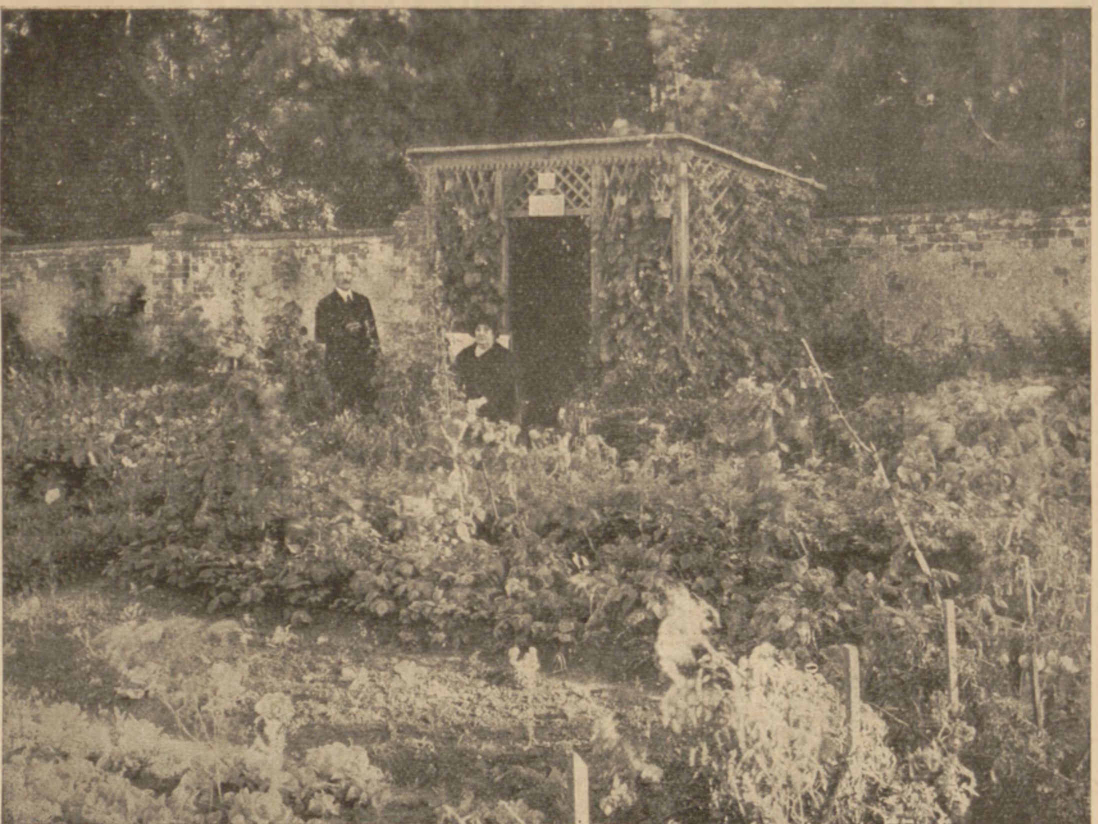
W tem podświadomem dążeniu do tworzenia, którego bezrobotny nie może zaspokoić, leży może największa tragedja szerokich mas bezrobotnych.

Inż. Eug. Zaczyński w swej broszurze p. t. „Rola ogródków działkowych w łagodzeniu skutków bezrobocia" zaznacza: „Człowiek bez pracy nie widzi celu swego bytowania, gdyż jego energja życiowa, jego siła, umiejętność, zdolności — to wszystko nikomu — ani jemu samemu nie jest potrzebne. Człowiek ten czuje się wyrzuconym poza nawias społeczeństwa, czuje się zupełnie zbędnym dla wszelkich organizmów gospodarczo-państwowych, czy społecznych".

Wtedy idzie do knajpy, by zalać robaka. Odurza się alkoholem, by poczuć się kimś, by jego Adlerowski instynkt mocy znalazł ujście. I musimy znaleźć coś, co temu człowiekowi ułatwi walkę z samym sobą. Ogródek działkowy w pierwszym rzędzie wypowiada walkę psychozie „zbędności społecznej". Z tego powodu faktyczna wartość warzyw, uzyskiwanych przez bezrobotnego działkowca w ogródku, przewyższa znacznie wartość rynkową tychże.

Tak więc zamiast zgnilizny suteryn, chorób i śmierci przedwczesnej, ogródek działkowy daje bezrobotnemu świeże powietrze, słońce, zdrowie i czerstwe sędziwe lata.

I na tem właśnie polega wszechstronne działanie ogrodu działkowego. Może on być ratunkiem zarówno przed przesytem, prowadzącym



Tak wygląda praca na działce w pierwszym roku założenia ogrodu.

do zbrodni społecznej (wszak tak alkoholizm nazwać możemy), jak i przed głodem. Prowadząc od paru lat akcję ogrodów działkowych, przytoczę państwu parę faktów, jak wiele zrobić może przywiązanie człowieka do ogródka i swojej organizacji. Jeden z bezrobotnych działkowców w Lublinie był nałogowym pijakiem. Ponieważ w regulaminie ogrodów jest punkt, zabraniający wstępu na ogródki osobom nietrzeźwym, pozatem, że wogóle zabronione jest używanie alkoholu na terenie, osobnik ów, zamiłowany w pracy na działce, krążył wieczorami koło ogrodu, aż któregoś dnia tu go spotkałam. Gdy mnie spostrzegł, zaczął z góry przepraszać, że to się nie powtórzy, ale, że on musiał stwierdzić, czy ogród działkowy był zamknięty, i nie może odejść dopóki nie pozamyka bram. Parokrotnie trzeba było go przekonywać o konieczności opuszczenia ogrodu, i parokrotnie wracał on spowrotem. Wreszcie po opuszczeniu ogrodu nie zjawiał się tam parę dni. Przyszła wreszcie jego żona, by mnie przeprosić za pijaństwo w imieniu męża, który wstydził się od owej chwili przyjść na swój ogródek. Od tego czasu przeszło parę lat, i fakt się nie powtórzył, a działkowiec ten, nieraz bezinteresowną pracą, przyczynił się do powodzenia niejednej imprezy ogródkowej.

Wypadek drugi: chroniczny pijak, nałogowiec przyjął posadę stróża ogródków, dostał przytem sam działkę. Często rozmawiając z nim, czułam zapach alkoholu, poraz pierwszy zwróciłam uwagę na to, że alkoholu nie pił, na zabawie działkowców, urządzanej na boisku, właśnie kiedy wobec wyjątkowej okazji, parę butelek było wzięte w komis. Gdy pośpieszyłam wyrazić mu uznanie, odpowiedział z przejęciem, że nie tylko sam nie pije, ale tego dnia uważa, by, broń Boże, nikt się nie upił. Wystąpiło tu u niego poczucie odpowiedzialności.

To też wniosek postawiony przez p.p. sen. Iżyckiego i dr. Zajączkowskiego, na posiedzeniu Sekcji do walki z alkoholizmem Państwowej Rady Zdrowia, z dnia 27.V. b. r. skierowany do Min. Op. Społ., aby: „utworzono rolniczo-przemysłowe ośrodki pracy dla byłych nałogowców, gdzie znaleźliby możność pracy ci z pośród nich, którzy nie mogą utrzymać się w warunkach normalnego życia, a jednocześnie zachowują zupełną abstynencję i zdradzają wystarczający stopień uspołecznienia“, może być przez nas całkowicie przyjęty — i moglibyśmy podsunąć Min. Op. Społecznej myśl, aby do tego celu zostały wykorzystane także i ogrody działkowe.

Ze swej strony stawiam wniosek, by dla rozpoczęcia akcji, pierwszy ogród działkowy, przeznaczony wyłącznie dla celów walki z alkoholizmem, założyło tow. Trzeźwość.

Inż. Ogr. Marja Kuropatwińska.

ALKOHOLIZM, A PRACA SPOŁECZNA NAUCZYCIELA.

Po odczytaniu tytułu nieszczęsny „belfer“ żachnie się z niechęcią— jeszcze jedna praca, gdy się jej i tak ma nadmiar. Gdzie to można umieścić, gdy czas, mimo swej nieograniczoności „na długość“ nie da się rozciągnąć „w szerokość“, jak to się wielu społecznikom, od obarczania innych robotą, wydaje. Każda działalność, której nawet wartości umielibyśmy dostatecznie ocenić, budzi w takich warunkach poprostu niechęć

przez naturalną skłonność każdej jednostki ludzkiej do obrony przed nadmiernym wysiłkiem. Zajęcie się jednak *jeszcze* sprawą alkoholizmu, nie stanowi dodatkowego utrudzenia, ponieważ nie musi być traktowane osobno od innych. Sprawa ta powinna przenikać *całą* działalność, jako *dusza* pracy. Jakże często zapominamy o niej, i jakże niestety niepamięć owa prowadzi do rezultatów, nad któremi w zdumieniu i smutku załamujemy ręce.

Pomijając nawet idealne założenia pracy: dobro innych, uspołecznienie, zwiększenie dobrobytu i t. d., zależy nam przecież, by nasz trud nie stał się przysłowiowem „noszeniem wody sitem". Zagadnienie więc abstynencji musi być dokładnie przemyślane i — zastosowywane.

Jeśli więc np. mamy bibljotekę, z której wypożyczamy książki dla starszych, postaramy się o kilka chociaż książek i pism, poruszających zagadnienie alkoholizmu. Znając umysłowość jednostek, z któremi obcujemy, możemy się domyślić, na co mocniej będą reagować. Ludzie uczuciowi silniej odczują wpływ książki, opisującej dramatyczne dzieje pijaka, staczającego się coraz niżej pod wpływem niszczącego nałogu. Innego bardziej przekona artykuł, uzasadniający, dlaczego każdy powinien być abstynentem, w sposób całkowicie rozumowy. Tamtemu specjalnie trafi do przekonania ujęcie sprawy ze strony gospodarczej, a jeszcze komuś patrjotyzm stanie się nakazem do wyrzeczenia się alkoholu. Jesteśmy w tem „szczęśliwem" położeniu, iż w rozmaitem ujęciu możemy bez obawy fałszu traktować zagadnienie alkoholizmu jednostki i najszerszych mas, jako nieszczęście indywidualne i społeczne. Później, w bibljotece, czy świetlicy, zależnie od okoliczności, w jakich będziemy mieli okazję do rozmowy na temat przeczytanych książek i artykułów, omawiając wszystkie, nie zapomnimy również poruszyć tematu picia, dla utrwalenia myśli, jakie czytelnikowi się nasuwały i wniosków, do jakich powinny prowadzić.

Od bibljoteki, stanowiącej niejako teoretyczny podkład abstynencji, przechodzimy do świetlicy, która teorję sprowadza na grunt realny. Jest ona miejscem, gdzie człowiek spędza wolny czas dla rozrywki, miłego otoczenia, ciekawej rozmowy, usłyszenia czegoś interesującego. Jest miejscem kulturalnej i godziwej zabawy. Gdyby jej nie było, niejeden poszedłby gdzieindziej i zgodził się na „uciechę" w takiej formie, jaka mu się nadarzy. Potrzeba towarzyskiego obcowania, beztroski, jest przeważnie u ludzi taką koniecznością, jak sen i jedzenie. Jeżeli więc kto niema porządnego łóżka, śpi na barłogu; jeśli smacznego i pożywnego jadła nie podadzą, je byle co, aby głód zaspokoić. Należy się starać, aby zczasem nie nabrał zamiłowania do barłogu i spożywania byle czego, w znaczeniu tak fizycznem, jak i moralnem. Droga powrotna w tym wypadku jest zwykle trudna, a często — niema powrotu.

Od kierownika świetlicy zależy, by atmosferę w niej uczynić tak pociągającą, żeby działała jak nałóg, z którym niemożna zerwać. Dobór zajmujących gier, pism, pogadanki, wesołe opowiadania, dyskusje, w których braliby udział wszyscy, stanie się silnym łącznikiem, nie tylko pewnej jednostki ze świetlicą, ale całego zespołu między sobą. I tam, żebyśmy przez pominięcie sprawy ważnej nie popsuli całej dobrze idącej pracy, powinniśmy, przy jakże często nadarzających się okazjach, gdy się wspomina o wypadku pijaństwa, czy komentując wiadomość z dzien-

nika o zabawie, weselu, jakim „trafunku", czy też wielu wypadkach spotykanych w każdej miejscowości, umiejętnie oświetlić tę sprawę, wyjaśniając, co było właściwą przyczyną, i że każdemu to się może przydarzyć, jeśli pije.

Gdy prowadzimy kursy, zespoły rolnicze, sprawa alkoholizmu pominięta być nie może. Przy omawianiu zagadnień gospodarczych „własnego podwórka", czy też całego państwa, musi ta kwestja być brana pod uwagę. Jeżeli oszczędność, pracowitość, staranie się o utrzymanie zdrowia i porządku można rychlej stosować przy zachowaniu abstynencji jednostki, stosuje się to również do państwa, jako zespołu takich jednostek.

I tu — mniej przez „kazania" o szkodliwości alkoholu, a bardziej przez wyrabianie „cnót pozytywnych" zabezpieczamy rolników przed nałogiem. Budzimy w nich większe zainteresowanie własnem gospodarstwem, udzielając im wiadomości z dziedziny praktycznej, gdzie nie chodzi o wkłady najczęściej z pustej kieszeni, ale o dokładniejsze wykonanie pracy; przyzwyczaimy ich do prowadzenia rachunków, które w najskromniejszem gospodarstwie przynoszą wiele korzyści, ponieważ dają możność skontrolowania wpływów i wydatków i celowości ich. Kobiety zainteresujemy konkursami czystości, prowadzeniem ogródków warzywnych, umiejętną opieką i wychowaniem dziecka. Ważnym czynnikiem poza estetyką mieszkania, jest estetyka jedzenia. Często brudna knajpka, do której tradycyjnie przychodzi się „na jednego" z przekąską, stanowi zaspokojenie nie tylko chęci popicia, ale oderwania się od codziennego niechlujstwa. Napotykany w organizacjach zwyczaj urządzania wspólnej wilji, czy przyjęć z innych okazyj, jest terenem, który możemy znakomicie wyzyskać dla akcji antyalkoholowej. Nie potrzeba tu słów. Gdy się postaramy, by stół był czyściutko nakryty, naczynie ustawione porządnie, jakie takie kwiaty, czy zieleń, którą można nawet w zimie dostać, smacznie przyrządzone potrawy — wtedy napewno nie pomyślą uczestnicy, że wódka koniecznie jest potrzebną.

Wiele pożytku przynoszą kursy gotowania. Jeśli nie możemy ich zorganizować, t. zn. sprowadzić instruktorki i zebrać odpowiedniej ilości chętnych, to możemy wpłynąć chociaż na to, by jedzenie było podane w czystem naczyniu i na czystym obrusie. Kosztuje to niewiele zachodu, a na samopoczuciu człowieka odbija się nadzwyczajnie. Wogóle na czystość należy zwracać szczególniejszą uwagę. Przez zaniedbywanie jej powstaje tyle chorób. Podam tu charakterystyczny wypadek: pewna kobieta miała na nodze dużą ranę. Przykładała rozmaite maście „nader skuteczne", jednakże rana rozprzestrzeniała się coraz bardziej. Nauczycielka, której się owa niewiasta skarżyła na swą dolegliwość, dała jej roztwór cali hypermanganicum, zalecając przy tem, by przemywała ranę tym płynem, używając „czystej, lnianej szmatki", płyn nalać na „czysty, wygotowany poprzednio talerz", i t. d. W ciągu kilku tygodni kobiecie rana się zagoiła. Świetne działanie cali hyperm.? — nie, *działanie czystości.* Jest to oddziaływanie, nie tylko fizyczne, lecz również psychiczne. Gdy wymaganiom czystości w domu i gospodarstwie stanie się zadość, staną się one ośrodkiem dobrze zorganizowanej pracy i przyjemnem miejscem odpoczynku po niej.

W prowadzeniu teatralnych kółek amatorskich winniśmy się kie-

rować zasadą doboru młodzieży i sztuk, jak również dokładnem opracowaniem tychże. O ile w świetlicy, w czytelnictwie, biorą udział również starsi, o tyle „sztuką teatralną“ zajmuje się przeważnie młodzież. Poza rozrywką, jakiej dostarczamy przez uczenie się gry, mamy ją przyzwyczaić do solidnego wypełniania swych obowiązków. Nie powinna nami kierować chęć najczęstszego wystawiania sztuk. Z punktu widzenia wychowawczego jest to moment, mimo iż dość efektowny, lecz najmniej przedstawiający, stosunkowo, wartości. Najważniejsze jest, co uzyskuje młodzież przez uczenie się, konieczność opanowania tekstu, punktualne przychodzenie na próby, konieczność „zgrania się“, dostosowania do innych, staranność. To są najważniejsze momenty wychowawcze i tylko wtedy możemy decydować o wystawieniu sztuki, jeżeli przez każdego zosobna i cały zespół zbiorowo, jest opanowana do najdrobniejszych szczegółów. I tu oddziaływamy na młodzież przez dostarczenie jej rozrywki w tej formie, a pozatem dobierać możemy od czasu do czasu sztuki abstynenckie, czy też takie, w których pijaństwo chociaż zlekka jest napiętnowane i w ten sposób przez młodzież wpływamy na dalsze otoczenie.

Zwykle przedstawienie, szczególniej po wioskach, kończy się zabawą taneczną. Jeżeli mamy zabawę po przedstawieniu, czy organizujemy same „tańce“ i tu nauczyciel może wpłynąć wiele na poziom zabawy. Ułożyć ją tak, by gry i śpiew stanowiły urozmaicenie. Pouczyć delikatnie o zachowaniu. Zdarza się nieraz, że „fajniasty kawalir“ tańczy w czapce na głowie z papierosem w zębach, przytupuje ogniście, a zamaszyście, strząsa popiół dziewczynie na bluzkę, a trzyma się wielce „honorowie“, bo mu się wydaje, że tak jest „arcyszykownie“. Trzeba podobne ekscesy uprzedzić, bo później przykro jest zwracać uwagę, a również ją przyjmować.

I tak poprzez wszelkie formy organizacyj, odczytów, bibljoteki, świetlice, przedstawienia amatorskie, czy zwyczajnie płoche zabawy, gry sportowe — odrywamy ludzi od mrocznego świata, w jaki ich wprowadza alkoholizm. W każdej z tych form pracy ująć możemy całość zagadnienia abstynencji, jak również we wszystkich formach ją zmieścić. Trzeba również zdać sobie dokładnie samym sprawę, iż tylko zdecydowana abstynencja prowadzi do uzdrowienia życia społecznego. Nieraz nam „wtajemniczonym“ przychodzi czasem do głowy, że ostatecznie, gdy taki ktoś kiedyś raz, to się od tego nic mu, czy komuś nie stanie. Rzeczywiście może akurat ten raz i drugi, a nawet dziesiąty nie stać, a jedenasty doprowadzi do nieszczęścia, któremu nie można będzie zaradzić. I to „czasem“ poraża „wszystko“. Opieramy się wówczas na niepewnej zasadzie. Wiemy, że z „troszkę“ stwarza się „więcej“; zdarza się — nałóg, czy zbrodnia. Jednego tylko jesteśmy pewni nieomylnie i każdy to przyznać musi, że tylko abstynent nie wpadnie *napewno* w nałóg alkoholizmu. Działalność abstynencka powinna więc przeniknąć całą pracę społeczną oświatowca.

Zakopane. *Helena Gogulska.*

———

ECCE HOMO!...

Cisnę w kąt argumentów kowadło —
Twej fantazji już nic nie zaskoczy,
Tarczą moją zaświecę ci w oczy; —
Moją tarczą niech będzie źwierciadło.

Gorzkiej prawdzie źwierciadło zaświeci,
Zliczy zmarszczki chorego znużenia —
Błyśnie w oczy piorunem olśnienia,
że ty — *Człowiek* — ty — jesteś wśród śmieci!

Jaką prawdę zapijasz, człowiecze? —
że świat — piękny, że miłość jest wielka?
W jakie czyny twe myśli oblecze
świat — kieliszek i miłość — butelka!

Patrz uważnie w tę twarz nieznajomą:
Twoją twarz tak zmieniła gorzałka!...
Patrz, nadsłuchuj, aż w duszy coś załka
Gorzkim szlochem dwuch słów
ECCE HOMO!

Czesław Kaczmarczyk.



Ecce Homo! *Cz. Kaczmarczyk.*

A L K O H O L.

Jestem wszędzie — na lądzie i morzu
znany, jeśli nie wszystkim, — to wielu,
w małej karczmie, gdzieś hen... na bezdrożu
i w olbrzymim, stołecznym hotelu.

Zwiedzam wielkie mieszkania i biedne,
bywam gościem na chrzcinach i godach,
imieniny „uświetniam“ niejedne,
uczestniczę w żałobnych obchodach.

Czasem cenny, a częściej przeklęty
bywam w klubie, w pociągu, w teatrze
i w aptece, gdzieś w szafie zamknięty,
gdzie trucizny chowają najrzadsze.

Bywam świadkiem kontraktów i umów
bywam wojny i zgody narzędziem,
dyktatorem narodów i tłumów
jednem słowem — znajduję się wszędzie!

Wiele o mnie jest sporów i kłótni:
jedni bronią mnie, — drudzy piętnują,
ci ostatni są dla mnie okrutni,
a ci pierwsi mnie faworyzują.

Jedni zwą mnie „rozrywką“ w swej nudzie,
a znów inni — przekleństwem ich życia,
lecz nie jam temu winien, a ludzie,
co mnie w świat wypuścili z ukrycia.

Bo nie byłoby o mnie tej wojny,
gdybym z tłumem się ludzkim nie stykał,
ale drzemał samotny, spokojny
gdzieś w pracowni badacza - chemika.

Stanisław Biernacki.

ZE ZJAWISK LITERACKICH.

„Pamiętniki Chłopów".

(Dokończenie).

W obecnem dokończeniu „Pamiętników Chłopów" wypada już mi głównie oddać głos samym pamiętnikarzom, zanim to jednak uczynię, muszę zwrócić jeszcze raz uwagę na cechę pewnej jednostajności, pewnego powtarzania się u piszących z przeróżnych stron Polski. Dowodzi to tego faktu, że życie rolnika na całym obszarze kraju, mimo pewnych różnic w lokalnych warunkach, ma zasadniczo jednakie troski, płynące z opłakanego stanu gospodarczego.

Ta monotonja nuży czytelnika i spotykam się często ze zdaniem, że książki tej wprost czytać niepodobna, tak męczy nikłość i małość spraw poruszanych. Zapominamy, że pod „małością" i „nikłością" tych spraw kołacze się życie ludzkie — zapominamy, że czyjeś serce się męczy, czyjaś rozpacz wzbiera i wybucha częstokroć w czynie niepoczytalnym, a od takiego życia smutek się snuje po polskiej ziemi. W Polsce niewolnej, w Polsce gnębionej w rozmaity sposób przez trzech zaborców śpiewała o niedoli ludu naszego Konopnicka — a pieśni jej wzruszały serca, — myślę jednak czasem, że może zamało zbudziły sumień, zamało rozpalały do trwałego, systematycznego dążenia ku poprawie, ku realnej odbudowie. Dziś lud nie potrzebuje już piewców z innego środowiska — dziś przemawia on do nas sam, bezpośrednio, bez liryzmu i sentymentu, a wśród bogatej skali groźnej jego mowy dźwięczy jeden czysty ton, ulatujący w przyszłość zapowiedzią nowych świtów — tonem tym jest wiara we własne siły, które, przetrwawszy piekło teraźniejszości, zbudują nowe, lepsze życie. Tej wiary nie wydarto jeszcze z piersi chłopu polskiemu, to jego tarcza przed nędzą, gniotącą go dzisiaj tak nielitościwie. Mówi o niej prosto, nie śpiewnie, lecz dostojnie — mówi jak o prawdzie niewątpliwej, realnej, drzemiącej głęboko w duszy każdego, kto z pracy na roli ród swój wywodzi, by wreszcie powstać i rzucić swe „jestem" w twórczym, świadomym wysiłku dla dobra ogólnego.

Bezrolny wyrobnik wiejski z powiatu kaliskiego pisze o swojem życiu:

„Jest to najprawdziwsze życie, które nie jest żadnym wyjątkiem, lecz trwałą i ogólną formułą życia biedoty wiejskiej, która żyjąc w nędzy i ukrzywdzeniu, tylko swej naturalnej żywotności może zawdzięczać, że nie wymarła. I nietylko, że nie wymarła, ale śmiem twierdzić, dąży naprzód ku coraz wyższym szczeblom kultury, zdobywając coraz więcej ogłady i pogłębiając swą treść umysłową. I przyjdą czasy, kiedy lud, świadom swej kultury i siły moralnej, wyda wśród siebie jednostki, które odrodzą życie". „I na Boga, na człowieczeństwo wasze, nie niszczcie tego, co ma odrodzić wieś! Nie przedłużajcie tej niewolniczej agonji, w jakiej chłop leżał od wieków. Jeżeli nie umiecie pracować dla wsi, nie przychodźcie do niej w imię interesów własnych. I jeżeli nie możecie się wczuć w rzeczywiste potrzeby wsi, pozwólcie chociaż swobodnie rozwijać się organizacjom niezależnym. Organizacjom, poczętym w treści naturalnego życia wiejskiej gromady. A przyszłość będzie was błogosławić.

„Bo chłop ma w swym charakterze cechy nadzwyczaj dodatnie. Pozwólcie mu tylko wyrobić się, ukształtować swój umysł, a rozwinie on

w całej pełni swe wartości człowieka natury. Przyjrzyjcie się, jak on od świtu do nocy zabiega. Rzućcie na te miljonowe masy spojrzenie, gdy o wiośnie, lub słotną jesienią kroczy przez pole, uprawiając je w pocie czoła. Oceńcie tę mrówczą pracę i wydajcie sami opinję o tych, którzy ją wykonują.

„„Pod względem ekonomicznym chłop ma wysoką wartość! Rzadko się zdarza, by był marnotrawnym. Kocha swój warsztat rolny i z ukochania tego wynika gorące oddanie się pracy w nim.

„Gdybyście mogli wejść w umysł chłopa, z jaką on poezją myśli o swem gospodarstwie. Z jakim rozmachem i zaciętością wykonuje swą pracę. A przecież z trudu tego wyrasta dobro państwa. Oszczędność u chłopów jest prawie ogólną. Spotykałem dużo takich, którzy żałują rozmienić pieniędzy na jakieś mniej ważne potrzeby, chcąc je zaoszczędzić. A przecież oszczędność i pracowitość, to podstawy dobrobytu społeczeństwa. Moralnie też chłop nie jest tak złym, jak go malują. W chłopie jest litość dla krzywdy, jest poczucie prawdy. I choć nieraz się zdaje, że chłop to rzeczywiście zły człowiek, to jednak nieprawda. Są w nim pierwiastki dobre, które choć przysypane warstwą złych nawyków, przyswojonych przez upadlającą przeszłość, mogłyby zakwitnąć w całej pełni, gdyby tylko dano chłopu możność doskonalenia się.

„Spytacie może, jakto tego się nie daje? Mówię wam, daje się, lecz pozornie. Z jednej strony daje mu się możliwości, z drugiej zaś odbiera mu się podstawy, na których mógłby wykorzystać to, co mu dają.

„Przecież opinja publiczna wie o tem, iż w szkołach coraz mniej dzieci chłopskich. I wiecie to także, że na wsi jest nadmiar ludności i nadmiar ten stale wzrasta. O szkole myśleć nie można. Co najwyżej i to też nie w każdym wypadku pomyśleć można o szkole powszechnej. Cóż więc robić z nadmiarem sił, jakie się wytwarzają na wsi? Wobec dzisiejszych warunków — powiększą oni szeregi bezrobotnych i staną się nędzarzami. Stan taki jednak długo nie potrwa. Wieś zorjentuje się wreszcie i tak czy owak zdobędzie to, co jej się należy. I chociaż na przeszkodzie stoją wady, które ma w swym charakterze, jednak przyciśnięta koniecznością zdobędzie się na wszystko. Ta bieda, jaka dziś jest, uczy ludzi dużo rozumu. Wszędzie, gdzie bieda jest większa, tam już ludzie więcej rozumieją i doceniają swe stanowisko polityczne".

Znajduję tu potwierdzenie tego, co pisałam w poprzednim ciągu: propaganda przeciwalkoholowa znajdzie niesłychanie podatny grunt wśród ludu naszego, właśnie dlatego, że ma on w sobie instynktowną niechęć, wstręt do marnowania pieniędzy z takim trudem zapracowanych. Uświadomienie o przymusie picia w okresie pańszczyzniano-propinacyjnym otworzy im oczy, wprowadzi w ośrodek zagadnienia, a podanie argumentów naukowo-lekarskich i społecznych dokona reszty, uczyni z nich armję (zwłaszcza wśród młodych) oddaną i przekonaną o konieczności wzniesienia fundamentu trzeźwego obyczaju odradzającego się życia.

Chodzi mi o to bardzo, by czytelnicy „Trzeźwości", przeczytawszy to, co piszę, zainteresowali się „Pamiętnikami Chłopów" i zabrali się do ich przeczytania, a ci, co nie będą mieli możności zrobienia tego, by za pośrednictwem naszego miesięcznika zdobyli jaknajpełniejsze wyobrażenie o tem, czem jest ta książka. Zwłaszcza nauczyciele i społecznicy wy-

niosą z niej wiele korzyści dla siebie, znajdą na tych pozornie nudnych i jednostajnych stronach potwierdzenie tego, że praca społeczna, to pewnego rodzaju t w ó r c z o ś ć, posiadająca mechanizm niezmiernie czuły i subtelny, o ile ma istotnie t w o r z y ć człowieka, to znaczy wydobywać, spod tej częstokroć stwardniałej skorupy zewnętrznego opuszczenia, drzemiące siły i zdolności.

Na ostatnim Kursie Przeciwalkoholowym podczas seminarjum padło z ust jednego z kursantów: „frontem do młodych". Otóż zwracam uwagę, że „Pamiętniki Chłopów", to przedewszystkiem wezwanie do młodych, rzucone przez tych, którzy z dna nędzy i poniewierki ufają i wierzą w młode siły, zdolne odrodzić świat. Z książki tej wyłania się również metodyczna wskazówka, a mianowicie: za pośrednictwem indywidualnego wypowiedzenia się sponiewieranego obywatela widzimy, że w pracy społecznej, oświatowej i wychowawczej należy podchodzić do każdej poszczególnej osobowości ludzkiej inaczej, gdyż człowiek wchodzący w skład masy i tworzący z niej szare, bezbarwne tło, sam przez się wcale bezbarwny nie jest i stanowi pewną swoistą sumę wartości, wymagających specjalnej pieczołowitości. Po odczytaniu każdego z tych 51 pamiętników mimowoli nasuwały mi się na myśl inne słowa, z któremi pragnęłabym się zwrócić do oddzielnej jednostki, inne oświetlenia, inne nastawienia, mogące być im potrzebne. Rozumiem, jak wiele może zdziałać owo s ł o w o w porę powiedziane, odpowiednio dobrane do indywidualnej potrzeby i nastroju chwili, a jednocześnie wiem dobrze, jak ono bywa bezsilne, czcze, jałowe, puste, jeżeli nie jest poparte ż y c i e m, p r z y k ł a d e m w ł a s n y m tego, kto je głosi. I tu podchodzimy do ośrodka zagadnienia, do centrum, z którego rozwidlają się na wszystkie strony drogi wzajemnego stosunku środowiska do jednostki i jednostki do środowiska. Przykład własny jest potężnym czynnikiem psychologicznym — on albo buduje, albo niszczy; buduje powoli, żmudnie — niszczy szybko, doszczętnie, zaciera błyskawicznie wszelaką wartość słów pięknych i górnych. I z którejkolwiek strony zaczniemy badać stosunki społeczne, to zawsze natkniemy się na zagadnienie alkoholizmu, a w świetle tego, co już zostało stwierdzone o wpływie alkoholu na mózg, widzimy, że sprostać wymaganiom, stawianym przez życie, może tylko człowiek całkowicie trzeźwy. Wieś musi być trzeźwą z przekonania, a nie spowodu kryzysu, bo inaczej się nie odrodzi, mając nawet lepsze warunki materjalne — oświatowiec i wychowawca muszą być trzeźwi, bo inaczej nie spełnią swego zadania i staną się bezużyteczną ekspozyturą pewnego zespołu idei i nakazów, które w ich ręku będą martwe i niecelowe. Wieś i ci, co idą do niej z czynem, muszą sobie uświadomić tę prawdę, muszą się nią przejąć, muszą zrozumieć jej wartość twórczą. Wówczas dopiero, gdy takie przejęcie się ideją trzeźwości — jako podstawą odrodzenia psychiki ludzkiej w kierunku dodatnim — nastąpi w całej pełni u dużej liczby ludzi, to uchwały przeciw wódce, przeciw pijaństwu na wsi (zresztą tak samo i w mieście), nabiorą realnego, istotnego znaczenia. Muszą one wypływać z głębokiego wewnętrznego przekonania, że alkoholizm jest wielką klęską społeczną, z którą należy walczyć całym wysiłkiem dobrze zrozumianego interesu społecznego. Wtedy uchwały takie nie będą czczym, szkodliwym frazesem, lecz zbiorową, świadomą wolą pewnej grupy, posiadającej dość moralnego

autorytetu, by ją innym, jeszcze nieuświadomionym, bezwzględnie narzucić i wymagać dla niej bezapelacyjnego posłuchu. Hasła walki z alkoholizmem, rzucane przez ludzi, nie odczuwających jej niezbędności, są zawsze siejbą, nie przynoszącą korzyści, a często nawet wręcz szkodliwą, bo wprowadzającą momenty destrukcyjne. Zrozumienie, że nieodzowność przeprowadzenia radykalnych, zasadniczych reform socjalnych, wynikających z przebudowy struktury psychicznej pokoleń, których mózg nie będzie systematycznie zatruwany przez alkohol, leży u podstaw szczerego przekonania abstynenckiego, a ono tylko może w całej pełni wykazać skutki wychowawczo-kulturalne propagandy przeciwalkoholowej. Horyzonty pracy oświatowca i społecznika, jej perspektywy w świetle możliwości niewyzyskanych w każdej jednostce, a które przestanie alkohol zatruwać, rozszerzają się niepomiernie — jednocześnie wzmaga się niesłychanie napięcie odpowiedzialności, oraz konieczność wytrwałości nerwowej tych, którzy się jej poświęcają — abstynencja tych sił przysporzy. Uwolnienie się od alkoholu jednych i drugich ułatwi pracę i niewątpliwie będzie stanowić moment zwrotny w pochodzie wszystkich społeczeństw ku wyższej formie rozwojowej. To są myśli na marginesie „Pamiętników Chłopów“, które się budzą przy czytaniu spowiedzi ludzi, stojących u kresu swej cierpliwości, nad brzegiem przepaści i broniących się resztkami sił, by do niej nie runąć.

Obecnie pragnę przedewszystkiem przedstawić nędzę środowiska wiejskiego słowami pamiętnikarzy. Cieśla wiejski z województwa łódzkiego pisze:

„Wieś nie widzi żadnej przyszłości przed sobą. Wielka beznadziejność zapanowała na wsi. Ludzie chodzą, jak bezmyślni, wszędzie pełno nędzy, spustoszenia i rozpaczy“. „Nędzna, smutna i beznadziejna wieś więcej podobna do cmentarzyska, niż do zbiorowiska życia ludzkiego. Zniknął uśmiech na twarzy wieśniaka, gdyż oprócz ciężkiego borykania się z nędznym losem nic więcej mu nie pozostało“.

Gospodarz na osadzie pięciomorgowej z Kieleckiego zaznacza:

„Otóż taki to jest nasz los biednych ludzi, chociażby człowiek ręce sobie urobił, to do niczego nie przyjdzie i niczem być nie może, bo tylko zawsze biedny“.

Gospodarz z powiatu Łaskiego skarży się, że:

„Dzisiaj na wsi jest straszna bieda. Nieraz myślę sobie nad naszą chłopskom niedolą. Dlaczego człowiek, który pracuje sam od urodzenia i nigdy nie wie, co to zabawa, tak musi biedować. Dziecko ma siedem lat, musi paść krowy cały dzień. Nikt się nie pyta, czy płacze, bo niema prawa, coby kazało zrobić zagródki dla krów. Potem pochodzi trochę do szkoły i wszystko zapomni, bo później książki prócz kościelnej do ręki nie bierze, bo niema za co kupić. Całe życie człowiek przepracuje, twarz się w bruzdy poorze, pot oczy wyźre, a potem nocuje w obórce, a czasem w chałupie — dzieci nasze som źle wychowane. Matka nieraz mówi, żebyś zdechł, jak pies, to też syn później nie bardzo ma litość nad nią. Dzisiaj bieda na wsi aż kwiczy. Chleba mało kto z biedniejszych je, a mięso na Boże Narodzenie i Wielkanoc i to niezawsze. Dzieci takie jakieś chude i mechem obrosłe“. „Ten tylko może znać nędzę, kto ją przeszedł, a ten, kto ją widział, może tylko o niej mówić. Są ludzie, którym dobrze jeszcze na świecie. Ale to trzeba wyrównać i dać człowiekowi ty-

le, żeby znał świat lepi, i wiedział, że człowiek nie może być ani miljonerym, ani nyndzą, a ino stworzynim korzystającym jednako z dobroci świata według potrzeb człowieka. Starać się o to już je dużo. Człowiek pracować chce, budować, robić, a tu wielką ma łaskę, jak dostanie robotę. W tej prędkości świata trzeba dostosować prawa, by się tak prędko zmieniało wszystko, jak prędko dzisiaj żyje człowiek. Inaczy zostaniem w tyle, a życie samo podyktuje sobie prawa. Pisze sobie, ale kto mnie rozumie, albo kto będzie czytał. Trochę pomazane, bo mi łzy kapią same, wszystko za mną, a przedemną nic".

Jest coś specjalnie wzruszającego i zastanawiającego w tych słowach, którym ludzie najbardziej dalecy wydarzeniom i myślom, nurtującym obecną rzeczywistość, powierzają swoją wiedzę o świecie. Wiedza ta jest skąpa i uboga, jak ich życie, zaślubione cierpieniu i nędzy, obca tym nowym wieściom, które obiegają obszary współczesności, — a jednocześnie w swojem zupełnem samotnictwie dojrzała do sformułowań głębokich i mądrych. Ów chłop z dalekich kresów, który powiada, że „do tej prędkości świata trzeba dostosować prawa, by się tak prędko zmieniało wszystko, jak prędko dzisiaj żyje człowiek", w jednem zdaniu ujmuje sens tych spraw zasadniczych, którym Florjan Znaniecki poświęcił swoją ostatnią książkę: „Ludzie teraźniejsi, a cywilizacja przyszłości". Ten fakt niezaprzeczony, że myśliciel, dla którego dostępne są wszelkie środki badawcze i biedny chłopek, całe swoje życie walczący z nędzą, dochodzą do takich samych ostatecznych sformułowań, jest wiele mówiący i znamienny dla naszych czasów, które z przedziwną lekkomyślnością pozwalają marnieć setkom ludzi, zasługujących na zainteresowanie i opiekę.

Kowal na gospodarstwie małorolnem z lubelskiego sięga myślą szeroko i troszczy się o przyszłość:

„Wieś ubożeje, ludzi przybywa, a ziemi nie, i jakież ja mogę mieć widoki na przyszłość, jeżeli z dniem każdym ubożeję, nie mając własnego dachu nad głową i czy w takich warunkach będę go mógł zbudować? A czem będą moje dzieci, jaki im dam kawałek chleba, czy dam im wykształcenie, jeżeli koszta w gimnazjum wynoszą podobno przeszło tysiąc złotych rocznie, czy może obsadzę ich na gospodarstwie rolnem, toć przecie aż po jednej mordze im się dostanie, a ja nie mam żadnych widoków na powiększenie swego gospodarstwa przez dokupienie jakiegoś kawałka ziemi i tem samem powiększenia spadku swym dzieciom. I cóż to będą za gospodarstwa jednomorgowe, jakie może być życie na takiem gospodarstwie, jeżeli ja nie mogę żyć tak, jak człowiek przeciętny powinien żyć. I w obliczu tych oto pytań i zadań stoję bezradny pomimo najlepszych chęci do pracy i oszczędności dla swego pokolenia, krew się w żyłach ścina, rozpacz bierze na samą myśl, że moje dzieci jeszcze gorszy los czeka odemnie. Na jakich obywateli Państwa wyrosną i jakiemi będą obrońcami Ojczyzny, gdy w tej Ojczyźnie, ja, ojciec, nie mam sposobu mimo gorącego pragnienia im dać należytego kawałka chleba i sam nie mam najmniejszego zabezpieczenia na swoją starość. Mojem gorącem pragnieniem jest jeszcze doczekać zwrócenia uwagi całego społeczeństwa na wieś polską, i komu leży na sercu dobro Ojczyzny, niech się przyczyni do unormowania stosunków życiowych w Polsce, dopokąd nie będzie zapóźno, gdyż Państwo wtenczas tylko będzie zdrowe i silne, gdy

będzie zdrowy i silny cały Naród. I tylko dobrobyt całego Narodu, a nie jednostki wzbogaci cały kraj".

Gospodarz z powiatu radomszczańskiego zapewnia, że:

„Właśnie piekło życia ujrzałem dopiero, kiedy urodziło mi się dziecko. Kołyskę dla niego pożyczyłem od dobrych ludzi. Ochrzcić nie kazałem, bo nie miałem 10 zł. opłaty. A skąd miałem mieć, jeśli na Nowy Rok nie miałem już nic w stodole, a w komorze zaledwie kilkadziesiąt kg. mąki. Jakżeż ponuro wyglądała nieraz nasza niska izba, kiedy o wieczornym mroku dziecina zaczynała kwilić z głodu, a matka nie mogła jej nasycić zwiędłą piersią, wiatr wył przeraźliwie za oknami i przeszywał dreszczem grozy, aż włosy jeżyły się na głowie, że tylko zabrać się i uciec z tej ponurej jamy. Jadaliśmy różnie. Rano: „dziad", zalewajka, zupa ziemniaczana, ziemniaki rzadkie, na obiad: ziemniaki suche z barszczem, kraszonym rostrzepanem jajkiem, lub bedłkami, albo kasza jęczmienna z suszonemi gruszkami, na kolację inna odmiana ziemniaków i tak w kółko. Rozumie się, że w takich warunkach dziecko chować się nie mogło i umarło, nie mogąc się stać cierpientnikiem przyszłości".

Dawny obieżyświat, a obecnie gospodarz z powiatu radomszczańskiego kończy swój pamiętnik następującemi słowami:

„Ja tam nie wierzę żadnem obietnicom, co to ziemię dają, albo robotę w fabryce, bo ani ziemi, ani roboty niema tyle, co jest biedy po wsiach, ograniczyć płodność, to następne pokolenie będzie miało i ziemię i robotę, tak jak dziś jest po sześcioro, ośmioro w każdej chałupie, to co tu pomoże reforma rolna, ojciec bije swoją żonę, wyzywa ją od maciory, dzieci to samo o bele co katuje. Jedzenie trzy razy kartofle bez okrasy, wszy pełno, bo na mydło nie starcza, oberwane dzieci aż zgroza, kawałek chleba tylko na uroczystość jest, istna inkwizycja i niejeden mówi, że chłop dawniej nie był patryjotą i dziś nie jest, bo go bieda wrogo uspasabia, czy on ma za swoją pracę wynagrodzenie, żyje niżej krytyki, jak na obiad zje kartoflanych klusek z mlekiem, albo z kaszą jaglaną i to nie codzień, boby mleka nie starczyło, a ino na niedzielę, na jednem łóżku śpi po cztery osoby, twarz się myje raz na tydzień mydłem, bo nie starcza i taki mieszczuch mówi, że chłop to sprzeda to, co ma na zbyciu, jeszcze mu sie zazdrości, a on żyje, jak krówka w oborze, nie zna teatru, cyrku, kina, w mieszkaniu stoją tam dwa łóżka, stół, dwa krzesła i całe umeblowanie, dużo tu pomoże odczyt o gruźlicy, albo higjenie, jak każdy ledwo nogami przeplata, bo od takiego życia musi się zrobić leniwem i tak w koło".

Syn gospodarski z powiatu wilejskiego żali się:

„Dzieci, to najgorsza bieda dla biedoty. U biednego zawsze ich bywa sporo, dlaczego? Niewiadomo. Chyba, że i ludzie, jak ta pchła, mnożą się tam, gdzie więcej brudu. Ja z tym nawet zgadzam się. To najgorsza głupota chłopska. O ile tak pójdzie nadal... Głodowa śmierć w bliskiej przyszłości. Z każdym dniem ziemia się dzieli na ułamki. Ludność wzrasta ekspresem — stanowi się ciasno. A przecież tak niedawno było, że każdy gospodarz posiadał po włóce ziemi. Jak to prędko rozdrobniło się — w mgnieniu oka, nawet kultura rolnicza nie może zdążyć za wzrastającą coraz ludnością, ciemnota stoi na przeszkodzie. A tu na nieszczęście rolnik cofa się w tył. Niedobór zboża odczuwa się stopniowo z każdym rokiem". Na zakończenie swego pamiętnika podaje on, jak

sam powiada, obraz chłopskiego życia. „Mojem zdaniem powinien on być namalowany w szarych, brudnych kolorach. Najlepiej, żeby stał na pierwszym planie chłop średniego wieku w butach bez cholewów, które na jego nogach muszą się prezentować luksusowo; jego przygnębiona i zgarbiona figura powinna być ubrana w ewentualnie zniszczone do minimumu ubranie. Obok niego musi stać taka sama jego żona, młodsza wiekiem, bosa, z chudym twarzem i z niebieskimi podkówkami naokoło oczu. Za nimi dużo dzieci brudnych z długiemi włosami, różnego wzrostu. Dalej — nędzna gospodarka, podobniejsza więcej do rudery niżeli do budynków zamieszkałych; strzechy słomiane pofalowane wiatrem z dziurami; ściany zgniłe, chałupa z małemi oknami pozatykanemi szmatami, niska i mała, z drzewnianym kominem, na wierzchołku jego wiadro bez dna. Naokoło, w jesieni, wiosną, błoto — brud wszędzie. Dal zamglona. Słońce nie powinno świecić nigdy, w ostateczności tylko po świętach. Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na Zielone Świątki, więcej powinna być mgła jesienna. Po mieszkaniu muszą chodzić kury, a czasem i świnie, duży piec w kącie ściany i sufit poczerniały od dymu, za stołem w kącie duży rząd obrazów świętych spłowiałych od czasu. Chłop-gospodarz powinien często bić własną żonę, nierzadko przychodzić pijanym do domu. Dzieci pastwią bydło u zamożniejszych gospodarzy. żona jego musi często płakać i narzekać na los. Rodzice, pod jesień zawsze klną rozporządzenie, że trzeba posyłać dzieci do szkoły. Oboje muszą być troszeczkę głupe, lecz dostatecznie chytre, bardzo tchórzliwe. Wierzą w różne przesądy, na świat patrzą prosto. żona bywa przeważnie religijną. Dzieci nie słuchają rodziców. Na zebraniach publicznych zawsze bywa jak baran. Przed prawem — drży. Dużo pracuje, ale czasem leni się — w pracy wytrwały. Lubi handlować. W nieszczęściach rysy twarzy bywają obojętne. Nieszczęść bywa dużo, więcej od własnej głupoty. Powinien być niepiśmienny, żona też, lecz książkę do nabożeństwa bierze, idąc do kościoła. Ma dużo słabości, w niektórych wypadkach bywa apikurejczykiem. Lubi kraść od nędzy. Z ludźmi cywilizowanymi zachowuje się dziko. Córka zgorszona od najmłodszych lat, z porządnym temperamentem do erotyki, zdolna do kochania platonicznego. Syn młodym żeni się i zaniedługo dzielą się. W domu częste kłótnie między kobietami, a potem i mężczyznami. Nędza na porządku dziennym. Zdaje mi się, że już będzie dostatecznie wyrażona psychika chłopska w gospodarstwie".

W tych kilku cytatach podałam obraz środowiska i warunków, w jakich przebiega życie chłopa na wsi. Teraz nasuwa się pytanie, jak zostało ujęte przez pamiętnikarzy pijaństwo, tak nieodłączne od całości egzystencji naszej wsi? Gospodarz z powiatu stopnickiego tak się wypowiada:

„Teraz to ino pełno gorycy wturo człowiek musi pić, ale tak pić, żeby się nie otruł, a zaporeśto kazdy chłop jest kwardy, jak ten kłos, co na polu leży, przetrwo choćby nagorsze casy, a gorsych juz chyba nie bedzie od dzisieńszych".

A więc jest taka bieda i taka nędza, że się pije tylko gorycz własnego nieszczęścia. Syn gospodarza z powiatu wilejskiego uzasadnia, jaką rolę odgrywa w życiu jego środowiska wódka i jednocześnie widzi już w przyszłości konieczność jej odrzucenia:

„Wódka dla większości społeczeństwa niniejszej klasy stanowi

wyższą energję życia, ideał, bez którego życie na tyle marne, jak niebo bez raju. Jakie nie byłoby życie — sądzę po własnem uczuciu — o ile ono dąży do punktu, w którym widzi się zbawienie, choć tymczasowe, jest życiem właściwem, a właśnie nim jest wódka, przeważnie w życiu chłopskim. Są tacy, którzy nie używają, lecz to okazy. Ja też lubię pić. Piłem nawet dużo do namiętności. To miała być swego rodzaju rozrywka, bo innych nie było, nie pójść do kina, lub do teatru, skoro ich nie było, a musiałem zadowalać się tem, co jest. Teraz piję zupełnie mało, nawet rzadko i przeczuwam, że w przyszłości nie będę ją używał wcale. Czas płynie nudno — nie mam żadnej uciechy w życiu".

Cóż za wspaniały materjał dla propagandy przeciwalkoholowej. I tak myślących wśród młodych włościan jest wielu, tylko trzeba im dać nieco zasadniczych wiadomości z dziedziny alkohologji, a następnie poruszyć sumienie społeczne, które tu tak wiele ma do powiedzenia.

Gospodarz z powiatu ciechanowskiego skarży się, że chociaż nie pije, nie gra w karty i nie pali, to jednak nie może zziębniętemu dziecku kupić butów. Rozumie on doskonale, że wódka może być drogą do ostatecznej pauperyzacji, ale to nie ona doprowadziła go do takiego stanu.

Syn gospodarza z powiatu wilejskiego, łącząc pijaństwo z karciarstwem, tworzy obraz wprost upiorny:

„W święto po takich tygodniowych zgryzotach, szukam przyjemności życia. Zbierze się gołota całej wsi i zabawiają się, grając w karty.

„W takich domach ludowych zawsze jest koncesja tytuniowa, czy na odwrót: do takiego mieszkania zbierają się, gdzie fabrykują i sprzedają papierosy. U takiego przedsiębiorcy zawsze znajduje się kłoda kart własnej roboty — sam zrobi, albo ktoś zrobi z tektury od pudełków tutkowych, sprzedają za jakich pietnaście groszy i zaraz przegrywają na miejscu sprzedaży. Ten posiada zawsze naftę i własną lampę. Za noc trzydzieści groszy. Ogień normalny. Każdy przechodząc, bierze po jakich pięć sztuk papierosów (większością na kredyt, o ile powierzy sprzedawca, bo są tacy, którym nie chce powierzyć nawet jednego papierosa) i zaczyna się gra w oczko. Stawiają jednego papierosa do banku i hazard czeka poprzednika. Jakich tam nie robi się nadużyć. Oszukują jeden drugiego. Albo kiedy już zbierze się w banku sporo papirosów, zgaszą ogień i „na wozy", kto ile zdąży zagarnąć — demoralizują się własnoręcznie. Używają różne zabobony, kiedy już dla kogo idzie zła karta— przechodzą na drugie miejsce, lub pędzi swego sąsiada ten nie chce ustępować, łaje się; albo kiedy już kto przegra, więc bierze ostatniego papierosa do gęby i trzyma go mocno, mówiąc: już teraz nikt nie wyrwie. Ten, który bankuje, protestuje, grozi, że nie da mu karty, o ile nie położy na stół papirosa. Gwałt... pisk... złość i t. p. Pachnie odurem. Ataki gazowe w pełni. Kiedy już kto wygra, ucieka za drzwi, przegrane go łapią, co często powoduje bójkę.

„Ja też gram, o ile mam możliwość nawet hazardowo. W najwyższych chwilach trzęsę się jak od febry, wszystko jedno, jak idziesz pod gilutynę. Najczęściej przegrywam do tutka, bo zawsze gram sumiennie. Potem choć nie żałuję przegranego, a jednak odczuwam brak czegoś, coś dręczy... jakieś niewyraźne poczucie się do winy przed własnym sumieniem — zawsze same nieprzyjemności.

„Czasem zechcesz się choć na chwilę zbawić z pod powszechnej mę-

ki duchowej, więc przybiegasz do sztucznej uciechy: do dzinaturatu. Choć w gardle drze sie, lecz w głowie robi się jaśniej, wesoło—energja... Na jutro następuje całkowita desperacja, apetyt i ten traci się, nie widzisz w świecie żadnej przyjemności — wszystko zero.

„Ale tej uciechy też brakuje często. Nawet zdarzają się dziwne okoliczności. Na jednem z takich byłem świadkiem. To było niedawno w b. r. Zaprosił mnie kolega w gościnę. Poszedłem — to już było wieczorem. W mieszkaniu kolegi już było kilkoro chłopów, też widocznie zaproszonych. Na stole stała butelka dzinaturatu, obok niej szklanka i kawał chleba. Czekano tylko na mnie. Po minach obecnych zauważyłem, że były wielce zadowolone i z niecierpliwością czekały chwili rozpoczęcia się hulanki. Gospodarz prosi za stół; wszyscy jakoś krępują się. Jeden drugiego sztyrcha, żeby załaził do kąta, lecz nikt nie chce — odmawiają się. Aż tu raptem trzaś szyba w oknie i czyjaś tajemnicza ręka cap za flaszkę stojącą na stole (stół stał przy samym oknie) i w mgnieniu oka znikła spowrotem. Na stole zapanowała pustka, po mieszkaniu przeleciał wiatr.

„My stoimy, jak ogłupiałe po takim siurpryzie, nie wiemy, co począć. Każdego z nas elektrycznie ogarnął smutek. Jedyny przedmiot, który miał być przyjemnością, znikł dziwnym sposobem. Gospodarz nawet przetarł oczy, nie wierząc: czy nie halucynacja czasem, ale uwierzywszy, że tu rzeczywiście tak jest — zbladł. A w niezabawie po bladości zjawił się rumieniec wstydu — goście zaproszone, a tu niema czem poczęstować. Po niejakim czasie wybiegliśmy na ulicę, lecz nikogo już nie było. Tylko wiatr gwizdał w starym płocie — on potem nie martwi się. Padał drobny deszcz, naokół było straszne błoto.

„Ten wypadek był rzeczywistym, chociaż trudno uwierzyć. Ja też zastanowiłem się nad tem: kto to mógł być? Gołą ręką sięgnąć przez szybę, aż do stołu, nie bojąc się poranienia. Wypadki złodziejskie zdarzają się bardzo często.

„Etyka chłopska zaczęła się cofać wtył, nie zważając na cywilizację z każdym dniem dążącą naprzód. Coraz natrętniejsze odczuwanie potrzebności materjalnej kształci nowe masy złodziejstwa. Pod tą brutalnością losów najlepsze sumienie demoralizuje się. Teraz niema tej wsi, którąby nie miała swoich złodziei, już nikt nie dziwi się, że w tej nocy u sąsiada w śpichrzu została złamana kłódka i skradziono ostatni dobytek. Złodziejstwo nie sensacja — mówią dzisiaj. U nas w tem roku wiosną, jednej nocy zalazły złodzieje do szopy, w niej nic dobrego nie znajdowało się oprócz szmaru dla kół, więc nie pogardziły nią — zabrały z przyjemnością, pozostawiając po sobie ślady bosych nóg".

Pragnęłabym w paru słowach omówić wrażenia, jakie się ma o pijaństwie ludu naszego na podstawie własnych wypowiedzeń. Otóż rzecz się ta przedstawia zgoła odmiennie niż u inteligencji. Ona ma możność korzystania ze wszystkich dobrodziejstw kultury i ze wszystkich „przyjemności" życia, chłop zaś niema nic, a tak szalenie pragnie tego, coby go oderwało od szarzyzny jego pracy, co dałoby mu rozrywkę — rwie się do kina, do cyrku, do radja — nie mając tego, idzie pić, jeżeli ma na to parę groszy. Chce za wszelką cenę zapomnieć o swej nędzy, o swej poniewierce. Zagadnienie alkoholizmu na wsi musi być rozpatrywane pod innym kątem widzenia, niż alkoholizm inteligencji. W tej chwili cho-

dzi mi o wieś, która łaknie pokarmu dla swego umysłu, dla swej wyobraźni, dla tych wszystkich czynników psychicznych, które się nie wyżywają w pracy fizycznej. I tu dochodzimy do sprawy najważniejszej, do zorganizowania takiego zbiorowego wysiłku całej uświadomionej części społeczeństwa, by to wszystko, co idzie na wieś, z myślą o pozytywnej pracy dla niej, było oparte na trzeźwych podstawach. Film, ukazujący pijaństwo sfer tak zwanych wyższych w barwach nęcących — radjo, dające audycje pijackie — to poprostu zbrodnia w stosunku do świeżego, cennego materjału ludzkiego, który ośmielamy się zatruwać naszą własną zgnilizną. Przeczytanie „Pamiętników Chłopów" jest pewnego rodzaju przeszkoleniem dla każdego myślącego człowieka, który w ten sposób poprzez prymityw formy pisarskiej, dociera do złoża bogatych wartości psychicznych, ukrytych w naszym ludzie. Rzecz prosta, nietylko nie mamy prawa propagować naszego obyczaju pijackiego, ale musimy jaknajsurowiej go ocenić, skrytykować i bezwzględnie z nim zerwać. Musimy w tem miejscu podkreślić, że rozumna i daleko w przyszłość patrząca część duchowieństwa katolickiego, oddawna zrozumiała w całej pełni grozę klęski alkoholizmu i odrazu chwyciła za broń jedyną i prawdziwie skuteczną, organizując szeregi księży abstynentów, których przykład będzie oddziaływał silnie i przekonywująco na szerokie rzesze wiernych. Jakżeż pięknie i wymownie ks. profesor Franciszek Kwiatkowski podkreśla, że najwięcej zdziałać może przykład kapłana wstrzemięźliwego, albo co ważniejsza, całkowitego abstynenta. „Co pomoże i najpiękniejsze kazanie misyjne, czy odpustowe przeciwko pijaństwu, jeśli przez okna plebanji słychać wesoło brzęczące kieliszki i szklanki, a ojcowie duchowni wracają do domów może w podchmielonym stanie?!"[1]) Świecka propaganda kultury i oświaty powinna również być krzewiona przez abstynentów, którzy muszą wchodzić do wszystkich organizacyj bez różnicy kierunku politycznego, gdyż robota abstynencka, to przedewszystkiem wyzwalanie pełnowartościowej, wewnętrznej osobowości, która w każdym człowieku będąc zespołem indywidualnych wartości, opiera się na jednym wspólnym czynniku: na fundamencie myśli samodzielnej, rozwijającej się swobodnie i twórczo, w atmosferze wolnej od zatruwającej mózg i system nerwowy trucizny alkoholowej. Ruch abstynencki niesie wolność człowiekowi, gdyż uwalnia najczulsze, najwrażliwsze pierwiastki jego istoty od tego, co je wypaczało, degenerowało przez wieki całe. Nad ciemną naszą polską wsią stanie się światło wówczas, gdy bogactwem jej będą ludzie, którzy nie zmarnowali skarbów własnych dusz — abstynencja jest drogą ku wielkim przemianom, ku zasadniczej przebudowie całej struktury obyczajowych stosunków. Kto wierzy w jutro — dziś musi się stać abstynentem na zawsze. O to woła każdy bezimienny pamiętnikarz, o tem jutrze odmienionym marzy każdy chłop i właśnie to wezwanie musimy zrozumieć, odczuć i stanąć gotowymi do apelu.

Nie myślmy jednak, by wieś, z ucisku nędzy, wyrywała się tylko do zabawy. Ma ona i inne potrzeby. Posłuchajmy. Bezrolny wyrobnik wiejski z powiatu kaliskiego pisze:

„Zacząwszy uczęszczać do szkoły, dziwnie przylgnąłem do książki!

---

[1]) „Walka z Alkoholizmem", zeszyt XXV, zawierający referaty, wygłoszone na X Polskim Kongresie Przeciwalkoholowym w Krakowie. Warszawa, 1935. Str. 196.

Niewypowiedzianą rozkosz sprawiało mi uczenie się. Pierwsze lata szkolne miałem ogromnie przykre. Były zaś takie dlatego, że nauczycielka ówczesna, nie wiem czy ideologją wychowawczą to było, czy też wypływało z dzikiego jej okrucieństwa — biła bez litości! Dziś jeszcze czuję na mych plecach te bolesne, okrutne razy jej szpicruty!" „Będąc zdolnym uczniem mało czasu potrzebowałem na naukę szkolną i prędko załatwiwszy się z lekcjami, czytałem książki i czytałem całemi godzinami. Przy szkole naszej była obszerna bibljoteka, z której czerpałem skarby nieprzebrane. Po niedługim czasie tak znałem książki, iż pełniąc urząd bibljotekarza, każdą książkę poznawałem po rozmiarach, lub po jakości oprawy grzbietu. Powoli książki weszły do mego codziennego życia, jak chleb. żyć bez nich nie mogłem. Z jakąż rozkoszą zostawałem po lekcjach i brodząc w bibljotece, cieszyłem się tą obfitością książek

„Życie dla mnie przestało poprostu istnieć, zostały tylko książki i szkoła. Z nich czerpałem rozkosze niewyczerpane i w nich znajdowałem tę sympatję, której niestety nie znajdowałem w otoczeniu. Z czasem stały się też najmilszymi mi przyjaciółmi, którym oddałem całe serce swoje. Coraz mniejszą wagę zacząłem przypisywać życiu materjalnemu, przekładając nad nie życie umysłowe. Czas płynął mi jak bajka — jak tęczowe marzenie i biegł szybko". „Skończyłem szkołę powszechną. Nie mogąc zaś bezpośrednio kształcić się dalej, musiałem przerwać naukę do czasu, aż brat ukończy Szkołę Rzemiosł. Pozostawszy teraz na wolności, nie straciłem jednak łączności z książką. Czytałem, dużo rozmyślając nad mojemi ukochanemi zagadnieniami. Rok ten, w którym pozostałem w domu, dał mi wiele wartości myślowych. Wtedy ostatecznie uformułował się mój ideał społeczny i indywidualny. Organiczną prawie koniecznością stała się dla mnie praca społeczna, lecz pracę tę opierałem na wartościach nauki. Przez naukę rozumiałem jako wartości konieczne mi do przyszłej pracy.

„Zupełnie wtedy osamotniałem. Naokół siebie nie widziałem nikogo, ktoby mnie zrozumiał i odczuł to, co czuję. Wszędzie widziałem to życie dla grosza z pominięciem umysłowych wartości. Ilekroć któremu ze znajomych mi chłopaków mówiłem o pracy nad sobą, o społeczeństwie, przytakiwał mi każdy, lecz nie znajdowałem w nich tego żywego zajęcia się, tej sympatji dla moich ideałów. I to mię zrażało do ludzi. Zorjentowawszy się, iż ja poszedłem dalej, niż oni, a nie czując siły do prowadzenia ich ze sobą, odszedłem w samotność, aby tam, wgłębiwszy się w siebie, sposobić siły i bogactwa myśli".

Kowal z powiatu puławskiego podkreśla, że:

„Wolny czas od wszelkiego zajęcia, jak w niedzielę i w święta poświęca na czytanie gazet, lub książek, oczywiście nie swoich, lecz wypożyczonych. Na kupno książek, czy gazet nie pozwala mi już mój dochód. W poprzednich dobrych latach prenumerowałem tygodnik. W długie wieczory zimowe już nie czytam, bo nafta jest za droga. Gazety wypożyczam, gdzie mogę, najczęściej od księdza, lub nauczyciela, książki zaś w bibljotece Koła Młodzieży Wiejskiej. Latem w niedzielę i święta, gdy wyręczam żonę w pasieniu krowy, też muszę mieć jakąś gazetę, bez czytania ja obejść się nie mogę, tak jak palacz bez papierosa. Zaangażowałem się do czytania jeszcze z młodych lat".

Współwłaściciel niepodzielonego gospodarstwa z powiatu garwo-

lińskiego podaje ciekawe szczegóły o ożywieniu, jakie zapanowało na wsi podczas wyborów do pierwszego sejmu, oraz o roli samokształcenia:

„A jednak pomimo wszystko, pomimo biedy i nędzy, w jakiej od dzieciństwa żyję, jest coś, co mi daje wewnętrzne zadowolenie i nie pozwala popaść w całkowity pesymizm i apatję. To „coś", to jest samokształcenie i udział w pracy społecznej. Od dzieciństwa miałem już jakiś specjalny, wrodzony pociąg do czytania. Największą jednak w tem przeszkodą było to, że nie miałem co czytać i nie było za co kupić książki, czy zaprenumerować gazety. W dzieciństwie zadawalniałem się „Gazetą Świąteczną", prenumerowaną przez ojca wspólnie z sąsiadami. Innych żadnych gazet w całej wsi liczącej 62 gospodarzy nikt nie prenumerował. Nikt się zresztą szerszem życiem poza swoją wsią i parafją nie interesował.

„Po odzyskaniu Niepodległości Polski i po rozpisaniu wyborów do pierwszego sejmu, po rozpoczęciu agitacji wyborczej na wiecach przez wysłanników różnych ugrupowań politycznych i w kościołach przez księży — nastąpiło ożywienie i zainteresowanie we wsi. Mnie z tego powodu nadarzyła się nielada okazja do naczytania się". „Czytanie to tak „weszło w życie", że z jednej strony ja nie mogłem się doczekać wieczora, by polecieć i coś przeczytać, a z drugiej strony zebrani chłopi, gdy mię czasem nie było długo widać, przysyłali po mnie, bym prędzej szedł, bo są do czytania świeże gazety. Wzbudzone zainteresowanie w czasie wyborów nie usnęło i po wyborach. Zaciekawienie tylko szło teraz w tym kierunku, co się dzieje w sejmie, co sejm uchwali, jaki będzie rząd, a także ciekawiły wiadomości z wojny, która jeszcze trwała i na którą ze wsi początkowo „na ochotnika", a potem z poboru poszło kilkunastu młodych chłopaków". „Regularnie cały rok, w największe mrozy i zamiecie w zimowej porze, co sobota, lub w niedzielę z rana latałem do gminy odległej o 3 klm., po gazetę. Gdy czasem wypadkowo jej nie było, czułem się gorzej, jakby mi przez cały dzień matka jeść nie dała. Oprócz gazet łaknąłem ogromnie czytania książek, których, niestety, wypożyczyć nie miałem gdzie, a kupić nie miałem za co. Gdy mi się przypadkowo jakaś książka do rąk dostała, to póty jej nie położyłem, aż ją przeczytałem „od deski do deski". Rzadko to jednak bywały wypadki takiego dostania książki, a jeszcze rzadsze wypadki doboru książki do mojego poziomu umysłowego i mojego zainteresowania". „Przez czteromiesięczny pobyt w Szycach i przez wysłuchane w tym czasie wykłady, otworzyły mi się oczy na świat i życie we świecie. Rozwiała mi się z przed oczu mgła nieświadomości, zasłaniająca mi wiele tajemnic życiowych. Poznałem wielu wielkich pisarzy i ich dzieła nietylko z nazwiska i z tytułów dzieł, ale z różnych krótkich opisów. Poznałem i nauczyłem się cenić piękno otaczającego nas życia przyrody. Poznałem wiele, wiele cennych wartości wsi, która mi się nieraz wydawała najgorszą „pod słońcem" i z której marzyłem czasem o wyrwanie się gdzieś poza nią. Poczułem się dumny ze swego chłopskiego pochodzenia, którego się wiele razy wstydziłem i czułem się poniżonym i upośledzonym. Nauczyłem się cenić ludzi nie po zewnętrznym ich wyglądzie, ale po wewnętrznej ich wartości. Poznałem swą osobistą godność człowieczą i poczułem się równym człowiekiem z różnemi „inteligentami", czy „półpankami" z miasta, wydającymi mi się przedtem ogromnie „wysokiemi figurami" w ludzkim mrowiu. Poznałem swój cel życia

i swoje w życiu przeznaczenie i obowiązki. Nauczyłem się cenić swoją godność i honorność chłopską. Z takiem nastawieniem i przygotowaniem do życia, powróciwszy z Szyc do domu, długi czas nie mogłem odnaleźć samego siebie. Z jednej strony dręczyły mnie różne braki gospodarcze, czysto osobiste domowe, a z drugiej w pracy we wsi przejawiającej się w różnych formach w Kole Młodzieży nie mogłem się „dopasować" do wszystkich, a wszyscy znowu do mnie nie byli dopasowani. Musiałem się długo nadręczyć, nagryźć w sobie zanim się te różnice jako tako zatarły. Z jednej strony ja musiałem trochę opuścić ze swojego nastawienia, a z drugiej wszyscy „podciągnęli się", by mnie dorównać. Pomimo takiego uzgodnienia bywały momenty, że się często zniechęcałem i nieraz sobie postanawiałem raz na zawsze usunąć się od tak zw. pracy społecznej. Miałem jednak widocznie do niej wrodzoną „żyłkę" i tak byłem nią przesiąknięty, że w żaden sposób nie mogłem w postanowieniu usunięcia się długo utrzymać. Zresztą, dzięki związanym z pracą społeczno-organizacyjną wyjazdom i przeżyciom różnych radosnych i podniosłych chwil, zapomniałem chociaż na moment o tych dręczących mię bez przerwy różnych kłopotach i niedomaganiach domowych. W tym też celu — byle okazja starałem się „wyrwać" z domu, w którym nigdy nie miałem zadowolenia, ale zawsze przygnębienie".

A teraz pomyślmy chwilę: oto młodzieniec zdobył trochę wiedzy, trochę szerszego światopoglądu, zainteresowały go sprawy ogólne i „wyrywa się" z domu nie do knajpy, a do pracy społecznej, — w niej szuka wyładowania dla swych rozbudzonych potrzeb, dla wrodzonego instynktu działania na terenie dobra powszechnego. Takich właśnie nam ludzi potrzeba, — znajdą oni wśród nas, abstynentów, moralne poparcie, którego tak im brak, znajdą zrozumienie i uznanie, i damy im w rękę zdrowe podstawy dla ich poczynań twórczych, odradzających teraźniejszość. Jakżeż ważną byłoby rzeczą, aby na wszystkich uczelniach, skupiających młodzież dorastającą mogły być systematyczne wykłady o alkoholiźmie i jaka szkoda, że w Szycach, na takiej idealnej placówce kulturalnej i oświatowej podobnych wykładów nie zorganizowano. Przykre niedopatrzenie ze strony organizatorów i kierowników tej zasłużonej placówki.

Ten sam wychowanek Szyc tak kończy swój pamiętnik:

„Zamiłowanie do pisania i wypływające z niego zadowolenie zatruwała mi swoimi nieraz bardzo cierpkimi uwagami matka, która czasami nie mogła wprost na mnie „siedzącego przy pisaniu" patrzeć. (Spotkało mię to i przy pisaniu niniejszego pamiętnika). Nieraz piszę sobie w najlepsze, jestem u „szczytu natchnienia", aż tu naraz matczyne: „Bronek, zrób to! Bronek, zrób tamto"! wytrąca mię z równowagi i spadam na dół. Wogóle z zadowoleniem matki zawsze trudna sprawa. Pójść wieczór na wieś — gniewa się, że ją, wracając, przebudzam, zostać w domu i wziąć się za pisanie, lub czytanie, to zaraz: Bronek, gaś lampę, nie wypalaj nafty! Nie dziwię się zresztą temu wcale, bo ile razy ja kombinowałem skądby tu wziąć parę groszy na przesyłkę jakiegoś listu — matka martwiła się za coby tu kupić litrę nafty, czy paczkę zapałek i gdyby miała moje sumy pochłaniane przez te w najróżnorodniejsze miejsca „przesyłki" — nie miałaby powodu do zmartwienia i krzyczenia na mnie.

„Reasumując wszystkie strony dodatnie i ujemne wsi, trzeba

stwierdzić, że stron dodatnich jest daleko więcej i coraz więcej ich przybywa. Być może, że i dzisiejsza bieda przyczyniła się w dużej mierze do tego, że chłop się przebudza z długiego uśpienia, przeglądą na oczy, zaczyna myśleć o sobie i poczyna szukać wyjścia z tego chaosu, w jaki został wplątany. Wyjście to wcześniej, czy później znajdzie, bo samo życie mu je wskaże, a kiedy chłop je ujrzy i zacznie realizować, nie będzie przeszkody, ani siły, któraby go zatrzymała, a tembardziej cofnęła na dawne miejsce".

O tem, jak ciężko bywa jednostkom, które nabywszy ogólnego umysłowego rozwoju i fachowych wiadomości, powracają do swego ciemnego, nieufnego środowiska i muszą, już w rozterce częściowo z samym sobą, a częściowo z otoczeniem, dźwigać jarzmo biedy, oraz poczucie wytworzonej obcości — pisze również córka gospodarza z powiatu postawskiego:

„Marne odżywianie, nędzne ubranie, gnębiły nietylko ciało, ale i duszę. Poczucie niedostatku i nędzy, młodość spędzona w troskach i kłopotach, przyszłość niepewna, napełniały duszę smutkiem i beznadziejnością. W tym czasie należałem do organizacji młodzieżowych, gdzie pracując, miałam możność zetknięcia się z ludźmi inaczej patrzącymi na świat, którzy nasunęli mi myśl wyjazdu do Szkoły Rolniczej. Zawdzięczając protekcji personelu Szkoły Rolniczej w Łuczaju, bliskiej sąsiadki naszej kolonji, bo odległej parę kilometrów, — pomocy Sejmiku naszego powiatu do wspomnianej szkoły wyjechałam. Jechałam do szkoły z nadzieją, z myślą, że może zdobycie wiedzy przyczyni się do wyjścia z trudnego położenia.

„Z zapałem oddałam się pracy w szkole, całą duszą wedle swoich zdolności i sił brałam z tej skarbnicy, ile można było, gdyż wiedza była dla mnie skarbem i marzeniem od lat dziecinnych, której niestety czerpać nie mogłam z powodów ekonomicznych. Wiedzę zdobywałam, szło mi pod tym względem dobrze, ale stan materjalny w stosunku do koleżanek był ubogi, to też samopoczucie moje pod tym względem było przykre i smutne. Kierownictwo szkoły popierało mnie bardzo w ukończeniu kursu. Zaznaczam, że ukończenie szkoły zawdzięczam tylko Samorządowi, Szkole Rolniczej w Łuczaju, szkole w Antowilu i społeczeństwu.

„Jak widać z powyższego, nie było środków własnych na żadną skromną chociażby naukę,—ofiarność społeczeństwa, ze źródła którego płynęły na ten cel fundusze, pozwoliły mi trochę szerzej przejrzeć na świat. Przykro mi było, czuć się ciężarem społeczeństwa, ofiarę tę musiałem przyjąć, gdyż inaczej być nie mogło.

„Z trudem materjalnym udało mi się skończyć szkołę z wynikiem nienajgorszym, ale jakież trudności spotkały mię po przybyciu do domu w zastosowaniu do nabytej wiedzy i jaki stan był tego gospodarstwa, na którem miałem rozpocząć swoją działalność gospodarczą. Po przybyciu do domu, zastałam gospodarstwo ojca mojego w opłakanym stanie, nic się na lepsze nie zmieniło, przybyło więcej długów, nieurodzaj doszczętny, gdyż zboże posiane i kupione za wysokie ceny nie powschodziło, inwentarz prawie do reszty wysprzedany. Ze swoją nabytą wiedzą maleńką coprawda, przyglądałam się tylko tej strasznej ruinie i rozpaczałam. Nie było żadnego źródła czerpania chociażby skromnych funduszów na wprowadzenie chociażby najłatwiejszych, najpotrzebniejszych zmian

w gospodarstwie, na zaprenumerowanie skromnego pisma rolniczego, któreby mogło służyć za wskaźnik w początkowej pracy, utrwalać i utrzymywać w pamięci to, czego szkoła nauczyła. Rodzice do moich projektów odnosili się niedbale i obojętnie, wszystko to brało początek w niedostatku. Sąsiedzi uśmiechali się ironicznie, uważając tylko to za mądre i dobre, co przychodzi bez zbytniego trudu. Ta przewaga zapatrywań niepopierających mnie w moich sprawach, całego mego otoczenia, niemile odbijała się też na moim samopoczuciu. Przekonanie, jakim naładowano mnie w szkole, trudności wszelkiego rodzaju walczyły ze sobą strasznie". „Niema wesołości, tylko smutek, melancholja ogarnia człowieka". „Niema już tych wesel hucznych, jak niegdyś, trudno teraz zdobyć się na skromny ślub".

Mam wrażenie, że ta dziewczyna, rwąca się do pracy realnej, twórczej,—w szkole rolniczej, którą ukończyła, również nie słyszała nic o klęsce alkoholizmu, bo napewno nie ubolewałaby nad brakiem wesel hucznych z dawnych, dobrych czasów. Musimy na brak wykładów z dziedziny alkohologji na wszelakich kursach i szkołach, czy to specjalnych, czy też dokształcających kłaść nacisk, by pobudzić opinję publiczną, która powinna sama się ich domagać. Społeczeństwo samo musi inicjować potrzebne uzupełnienia w programach — zda ono wówczas egzamin swej dojrzałości i rzetelnej troski o przyszłość.

Gospodarz z województwa wileńskiego pisze:

„Fundamentalną naszą biedą jest ciemnota. My brniemy omackiem w świecie duchowym. Patrzymy — a nic nie widzimy. Widzimy, a nic nie rozumiemy. Ten paraliż rozumowy przeszkadza patrzeć na świat realnie, a jego tradycyjna głupota wytwarza dużo zabobonów, przynoszących niemało nieszczęść ludziom. Ten postrach przed nieznanemi zjawiskami przyrody wywołuje masę przesądów w powszechnem życiu chłopskiem. Kiedyś byłem sam wielbicielem tych wymysłów. Dzisiaj już co innego. Nienawidzę". „Oświata na wsi tak postępuje nieznacznie, że trudno czekać czegoś lepszego w przyszłości — kto winien temu — nie wiadomo: napewno sama ludność. U nas nauka stoi na drugim planie. Dzieci muszą sobie zarabiać chleba. W tem częściowo winna nędza, a częściowo niedbalstwo". „Pierwszem podstawowem złem naszem jest małość ziem i małość rozumu".

Owo odczucie „małości" własnego rozumu jest objawem niesłychanie radosnym, jest tym momentem psychologicznym, od którego może się zacząć właściwa droga samokształceniowa, jakiej kierunek organizacje oświatowo-społeczne winny nakreślać, pamiętając o konieczności uświadamiania o klęsce alkoholizmu.

Gospodarz z powiatu mołodeckiego konstatuje:

„życie i kultura posuwają się w bardzo szybkim tempie. Każdy człowiek musi za nim nadążać i śledzić. To tylko może osiągnąć przez czytanie gazet i książek. Ja należę do ludzi bardzo ciekawych, każdy skrawek gazety, który popadnie do moich rąk, muszę przeczytać. Bardzo jestem rozmiłowany w czytaniu książek i gazet. To też nieraz odmawiam sobie najniezbędniejszej rzeczy, byleby wypisać jaką choć tygodniową gazetę".

Gospodarz z powiatu radomszczańskiego opowiada:

„Długiemi wieczorami ślęczałem nad książką i uczyłem się. Moją

ambicją było wiedzieć i umieć więcej od innych. Chciałem pokazać bogatszym od siebie rówieśnikom, że ja jestem od nich biedniejszy, lecz oni za to głupsi. Takie rozumowanie kosztowało mnie bardzo wiele. Zanim zdobyłem książkę, musiałem ponieść połowę cierpienia, a potem? Dotkliwe zimno w chałupie, gasnący kaganek, a nawet i głód i ileż razy? odpędzał mnie od niej. Ja byłem ślepy na wszystko, z niezłomnem postanowieniem wżerałem się w zadrukowane kartki i czerpałem z nich wiedzę, światło i radość życia, która z biegiem czasu stworzyła cierpienie, gdyż tembardziej cierpię im lepiej wiem dlaczego cierpię".

Dlaczego pozwoliłam sobie przytoczyć więcej cytat przedstawiających martyrologję nieznanych męczenników, trawionych wewnętrznym ogniem ciekawości i poznania choć skrawka jakiejś prawdy o świecie otaczającym i o samym sobie? Chodzi mi o udowodnienie twierdzenia, (które mogło się wydać gołosłownem) wypowiedzianego na początku, że lud nasz jest środowiskiem niesłychanie zdolnem i podatnem na przyjęcie hasła walki z alkoholizmem i że mamy obowiązek docierać do najodleglejszych zakątków naszego kraju z propagandą trzeźwości, pojętej jako podstawa do wszelakich poczynań reformatorsko-ustrojowych. Powinniśmy się zwracać do całej społeczności ludowej bez różnic politycznych i partyjnych, gdyż jeno trzeźwy abywatel, a więc władający pełnią władz psychicznych może się stać dodatnią wartością, cennym materjałem dla każdego odłamu politycznego, wysoce urodzajną glebą, na której będą wyrastać bujne plony. Działacze abstynenccy przygotowują grunt, użyźniają rolę, wyzwalają siły, naoliwiają hamulce etyczne, by sprawnie działały, wstrzymując się jednocześnie od wszelakiej roboty politycznej. Pragną dotrzeć wszędzie, gdzie cierpi i zmaga się człowiek ze złym swym losem, jakże często pośrednio lub bezpośrednio wynikającym z alkoholizmu, by zdemaskować tego wielkiego naszego wroga, niszczącego nasz mózg, paraliżującego wolę, owe dwie dźwignie, dwa potężne motory życia i postępu.

Ciekawym jest fakt, że sami pamiętnikarze, zastanawiając się nad formą nowego ustroju społecznego nie wskazują na tą, czy ową partję polityczną, a na ruch spółdzielczy, posiadający dla nich walory niesłychanie dodatnie. Oto co pisze w tej kwestji gospodarz z powiatu skierniewickiego:

„Samo życie wskazuje na to, że tak dłużej być nie może i z czasem musi przyjść ten sprawiedliwy układ społeczny, oparty na zasadach spółdzielczych, — a wtedy poskromi się wszelki wyzysk i wskaże się ludziom cel, którym jest dobro wszystkiej ludzkości".

Dawny obieżysas, obecnie gospodarz w powiecie łaskim kończy swój pamiętnik następującemi słowami:

„Jedynym moim obowiązkiem, jako chłopa rolnika biednego i uciśnionego jest iść z tą klasą, w której ja wyrosłem, brać udział w spółdzielniach rolniczych i organizacjach ludowych, im przewodzić, w nich pracować, ich pilnować i Polskę ludową i czystą demokratyczną jeszcze raz budować i jej bronić mocno i nieugięcie do ostatniej kropli krwi i pozwolę sobie powiedzieć za wieszczem polskim i synem chłopskim po pługu, że zginą od prądów chwilowych zawiśli, za widmem sławy goniący sztukmistrze, lecz nie zaginą dni szlachetnych myśli i nie przepadną natchnienia najczystsze, bo lud jest nieśmiertelny! a naród jest wieczny!

i szczęście ludzkie też jest zmienne, takie moje są poglądy na dalszą przyszłość".

Gospodarz z powiatu łęczyckiego, potrącając o pracę inteligencji, tak o niej pisze:

„Gdyby ta „inteligencja" jakakolwiek ona jest, chciała naprawdę uczyć swe otoczenie, wskazywać mu dalsze mety pracy społecznej i uczyć społeczeństwo myśleć, to byłyby jednak rezultaty. Ale niestety tak nie jest. Na stu ludzi z tej tak zwanej inteligencji jeden, lub dwóch są oddanymi wsi społecznikami. Osiemdziesięciu, to bezmyślne pędziwiatry, lub zaschłe mózgi, poza program obowiązkowej pracy się nie wychylające, mizantropi, a pozostali osiemnastu, to czynni wstecznicy, pęd zrywającego się młodego życia społecznego tłumiący".

Otóż my, abstynenci, walcząc o trzeźwą Polskę, walczymy jednocześnie o m y ś l ą c e g o obywatela i wierzymy, że gdy społeczeństwo będzie się składało z jednostek krytycznie i samodzielnie m y ś l ą c y c h, to uczynimy olbrzymi krok naprzód ku polepszeniu stosunków. Czytając „Pamiętniki Chłopów", ma się wrażenie, że oni łakną wartości obliczonych na długą metę, że mają poczucie dalekiej perspektywy, w promieniu której mogłyby nastąpić upragnione zmiany. Są to nastawienia psychiczne, ułatwiające naszą akcję, będącą wszak ruchem nawskroś przekształcającym obyczajowość, eliminującym czynniki gwałtu, brutalności, egoizmu, a wprowadzającym silne więzy uczuć humanitarnych i społecznych, których tak brak nam w czasach obecnych *).

Skargi i istotę niedoli wsi polskich wypowiedział gospodarz powiatu radomszczańskiego w rozpaczliwem wołaniu o pracę:

„Stokroć gorszem cierpieniem od dzisiejszej biedy jest troska o nieznaną przyszłość jutrzejszych dni. Codzień rano i wieczorem staje mi w oczach widmo jeszcze gorszego niedostatku, a może śmierci głodowej, na tej samej ziemi, która zdołała mnie wychować, lecz nie pozwoli mi żyć... Rozpacz szarpie mi serce, że muszę konać z głodu, widząc chleba pełno wokoło. Obłęd myśli kłębi mi umysł, że muszę być bezczynny, nie mając możności tworzenia lepszej przyszłości, gdyż skute mam ręce. My, nędzarni chłopi z pod słomianych strzech wyciągamy do Was ręce i błagamy, przybądźcie nam z pomocą, wyrwijcie nas z niedoli, gdyż my również chcemy żyć, pracować i korzystać z owoców pracy! My nie chcemy ziemi, my nie chcemy bogactw, my chcemy pracy i sprawiedliwego podziału owoców jej pomiędzy pracujących, dziś wydziedziczonych, głodnych i poniewieranych".

Ten króciutki przegląd ogromnej pracy (714 str.) byłby niekompletny, gdybym pominęła milczeniem pamiętnik kobiety, żony gospoda-

---

*) Podkreślić należy, że p. minister W. R. i O. P. Prof. W. Świętosławski w wywiadzie noworocznym w „I. K. C." powiedział, że pragnie, by nasza młodzież kształciła wolę i charakter, oraz by nabywała umiejętności samodzielnego myślenia. Ileż razy wskazywałam, pisząc w „Trzeźwości", konieczność pobudzenia społeczeństwa naszego do krytycznego, niezależnego myślenia, i podkreślałam usilnie, że alkohol doskonale sprzyja bierności, zaciemnia, paraliżuje myśl, bez której mowy być nie może o istotnem podniesieniu walorów kulturalnych. Walka z obyczajem pijackim jest walką zwłaszcza o młode pokolenie, które umiałoby myśleć samodzielnie, o charakter silny i humanitarne podstawy etyki, zdolnej przekształcić nasze złe stosunki.

rza z województwa warszawskiego, której dzieje w zgęszczonych barwach zawierają tragedję życia bardzo wielu kobiet z innych sfer. Spotykamy w jej spowiedzi opis brutalnego egoizmu męskiego, traktującego kobietę jako swą własność i jej bezsilną, rozpaczliwą walkę o ratowanie swego człowieczeństwa, strzępów swej niezależności. Zagadnienie zawsze jeszcze aktualne, — począwszy od chat wiejskich, poprzez sferę tak zwaną „średnią", aż do poddaszy i suteryn proletarjatu miejskiego, ma ono swą historję, której kresu ostatecznego jeszcze nie widać, mimo że w Polsce np. cieszymy się pełnią praw politycznych. Dowodzi to tego, że najsłuszniejsze prawodawcze reformy, nie dają całkowitego załatwienia sprawy tam, gdzie wchodzi w grę obyczaj, będący przejawem pewnej ustalonej wiekami „postawy" psychicznej, którą obalić skolei może tylko stopniowe narastanie nowego psychicznego nastawienia. Pełnia praw politycznych kobiet w Polsce — obok panującego jeszcze obyczajowego niewolnictwa kobiety, strzeżonego zazdrośnie przez mężczyzn, a niestety zbyt często aprobowanego przez pewien typ kobiet, owych wygodnych „matron" domowych, które czci, kocha, ale z któremi bynajmniej się mąż nie liczy, jest jednym z wielu kontrastów naszej rzeczywistości. Gdybym mogła, przedrukowałabym cały ten pamiętnik w „Trzeźwości" — wydzieliłabym go z całości, bo ma on swoistą, wstrząsającą wymowę. Mimo biegunowo różnych środowisk, nie zawahałabym się postawić go obok wielkiej tragedji Georgette Leblanc, o której nam ona mówi w swych „Souvenirs", subtelna artystka i kobieta umiejąca głęboko, nieprzeciętnie kochać — oraz obok pamiętników Zofji Tołstojowej, zawierających również dramat nieprzeciętnej żony wielkiego człowieka. Prostą kobietę z wioski łączy z wytworną panią, uosabiającą szczyty kultury zachodniej, i z drugą, wychowaną w odmiennych warunkach rosyjskiego ziemiaństwa — ogrom cierpienia. Przepaść dzieląca ją, — tą głodną nieraz i zmarzniętą, — od bogatych i sławnych, wypełniona jest łzami i męką trzech istot zbratanych nieszczęściem i krzywdą. Znając pamiętniki tamtych dwu kobiet, trzeba znać i tej trzeciej, pisany przedewszystkiem sponiewieranem, zdeptanem życiem, nieznającem ani jednego uśmiechu, ani jednej pieszczoty słońca.

Tamte dalekie były kochane i same kochały — miały sztukę, naukę, twórczość, piękno, — ta jedna zamiast serca nosiła ranę krwawiącą, a zamiast myśli oderwanych i kojących — świadomość krzywdy własnej, niezasłużonej, a jak wszechświat ogromnej i jak on niepojętej w przyczynie swej i celu nieznanym. Obowiązkiem nas, kobiet, mających obok cierpień i trosk, bodaj „łut" osobistego szczęścia, jest się zamyśleć nad dolą kobiety, której imienia nawet nie znamy, a która uasabia miljony naszych sióstr z nędznych, zimnych chat naszego Państwa. Myślmy o nich nawet nie koniecznie w imię siostrzanych serdecznych uczuć, a mając jeno na względzie dobro i przyszłość Państwa, które z taką miłością budujemy i byt jego utrwalamy, a które jest poważnie zagrożone u samych podstaw, skoro miljony jego obywateli taki żywot muszą pędzić. Oto, co pisze jeszcze młoda kobieta, czyniąc zadość wezwaniu i potrzebie własnego serca:

„Gdybym była kobietą uczoną, to napisałabym całe ogromne dzieło o niedoli wiejskiej kobiety, ale niestety, jestem tylko taką sobie zwykłą przeciętną kobieciną wiejską. Nie kończyłam żadnych szkół, jestem sa-

moukiem, nie umiem nawet wyrazić tego, co myślę, a myślę dużo i chciałabym, żeby w przyszłości choć cośkolwiek los nasz się poprawił". „O ile tylko zapamiętam, ciągle od najmłodszych lat przyzwyczajona byłam do pracy. Już jako czteroletnia dziewczynka posługiwałam, pasąc gęsi, potem krowy, a w domu widząc, jak biedne matczysko męczy się, nie mogąc dać sobie rady z dziećmi, a było ich rzetelnie „co rok prorok" pomagałam jej jako że byłam najstarsza, niańczyć ten drobiazg, choć prawdę powiedziawszy, samejby mnie się niańka przydała, bo cóż to za piastunka z pięcioletniego berbecia. A jednak ile tylko starczyło sił, dźwigałam za chustką brata, czy siostrę i przytem pasłam jeszcze krowy. Gdy miałam lat 6, to czułam się zupełnie jak osoba dorosła, a to z tego powodu, że matka, wyjeżdżając do miasta, nie brała do domu kobiety, tylko ja ją zastępowałam. Pilnowałam już i bawiłam sama dzieci, gotowałam jeść, sprzątałam, zmywałam, a nawet próbowałam doić krowy. Nadmienić muszę, że, wyciągając wodę ze studni i przy kuchni posługiwałam się stołkiem. Zresztą, jak tam było, to było, i choć młode kostki dobrze nieraz bolały i ręce były poparzone, ale nikt o tem nie wiedział. Najwyższa była nagroda za to, gdy matusia przyjechała, była zadowolona, pochwaliła, a w nagrodę dała bułkę".

„Pewnego razu, gdy zaczęłam już siódmy rok, zaczęłam prosić matusi, żeby mnie nauczyła czytać, ale matczysko, jak zwykle, zapracowane, nie miała nigdy czasu, więc napomknęła o tem ojcu, więc ojciec, będąc w mieście, kupił nowiutki piękny elementarz „Promyka", i, dając mi go, oświadczył: „przejrzyj se go i szykuj się, bo dzisiaj wieczór będę cię uczył czytać". Gdy nadszedł wieczór, nieśmiało podchodzę do ojca z elementarzem, ojciec wziął ze stołu duże i ciężkie nożyce i powiada: „To będzie wskazówka". Zaczęła się lekcja, dziś ją pamiętam .Nie licząc guzów i sińców, najgorzej żal mi było mego nowiutkiego elementarza, bo cały był pochlapany kroplami krwi. Zresztą co było to było, ale nauczyłam się przez jeden wieczór tyle, że teraz przez cały rok dziecko chodzi do szkoły i tyle nie umie. Tak się starałam, aby ta „lekcja" więcej się nie powtórzyła i za tydzień przeczytałam ojcu na głos cały elementarz. Podobnież poszło i z pisaniem i na tem „edukacja" moja została skończona. Następnie musiałam objąć obowiązek „nauczycielki" nad młodszem rodzeństwem, bo tutaj ojciec odgrywał rolę inspektora tylko, i to srogiego, co mnie to kosztowało, to Bóg jeden wie tylko, zaczem sześcioro rodzeństwa nauczyłam czytać i jako-tako pisać. Do tego roboty przybywało coraz więcej, bo matczysko zaczęło podupadać na zdrowiu. Gdy miałam lat 8, to już nas było dzieci siedmioro, a matka chora, na moje barki spadła już wszystka robota, gotowanie, pranie, dojenie krów, doglądanie dzieci, reperacja odzieży, a także i roboty w polu. Widząc, jak biedna matka, chociaż chora, ostatkiem sił rwie się do pracy, chociaż przy najmniejszem schyleniu straszny kaszel ją dusi i krew gardłem się rzuca, rozpacz mnie ogarniała, gdy pomyślałam, że może umrzeć. Prosiłam ją na wszystko, aby już nic nie robiła, że ja już we wszystkiem ją zastąpię. Serce pękało mi z bólu, gdy widziałam ją taką chorą, nędzną i bladą. Pracowałam ponad siły, żeby ona mogła poleżeć. Chwilami zdawało mi się, że padnę po całodziennej pracy jak na moje wątłe dziewczęce siły strasznie ciężkiej, całe noce przepędzałam we łzach, modląc się o zdrowie dla matki. W takich warunkach upłynęło całe trzy lata. Praca

ponad siły w ciągłej obawie o życie matki, której zdrowie z tygodnia na tydzień się pogarszało i nie było widoków poprawy. W końcu, jak to zwykle bywa na wsi, gdy już śmierć w oczy zagląda, nareszcie ojciec zdecydował się odwieźć ją do szpitala, ale tylko po to, żeby dowiedzieć się, że już niema ratunku i bliski jest koniec, bo rak na płucach już w ostatnim stadjum. Rozpacz moja nie miała granic!" „Stało się — zostaliśmy sierotami, siedmioro drobiazgu z ojcem takim srogim i nieprzystępnym". „Dostaję wprost obłędu na samą myśl, jak ja sobie poradzę. Przecież mam dopiero jedenaście lat i takie szczupłe drobne ręce. Lecz przyrzekłam matce w godzinę śmierci, że będę matką i opiekunką rodzeństwa i tak być musi. Całą swą rozpacz i ból topię w pracy. Od świtu do nocy, a często i w nocy pracuję ponad siły. Na rękach występują żyły jak postronki, stawy puchną, ale ogarniam wszystko jak mogę, gospodarstwo idzie wzorowo, ale cóż, ojciec wpada w manję chytrości wprost chorobliwej. I tu zaczyna się tragedja sierocej doli, chodzimy wszystkie wprost nago i boso, na całą zimę mamy zaledwie jedną parę drewnianych chodaków. To też zimno, a często nawet i głód nam dokucza, a ojciec wszystko sprzedaje i sprzedaje, pieniądze gdzieś chowa i nawet mleka dla małych dzieci żałuje.

„Męka, męka okropna! O, matko! czemuś nas opuściła? Jedyną dla mnie pociechą w tej ciężkiej doli są książki. Chociaż od czasu, gdy poznałam czytanie, lubiłam je, to teraz wprost szukam w nich ukojenia. Brałam je oczywiście pokryjomu przed ojcem z biblioteki parafjalnej, a były tam takie poważne dzieła, jak: „Trylogja", pisma Kraszewskiego, Rodziewiczówny, Dygasińskiego, Reymonta i innych. To też często w nocy przy nikłem świetle przykręconej naftowej lampki wczytywałam się w te cudne dzieje.

„Pewnego razu ojciec ze swojej izby, dojrzał w nocy przez szparę w drzwiach światło w naszej izdebce. Wylewałam, pamiętam wtedy, obfite łzy na Sienkiewiczowskim „Potopem", gdy ojciec wpadł z pasem i dał mi taką nauczkę za wypalanie nafty, że do dziś to pamiętam. Zapowiedział przytem, żeby przy „romansach" więcej mnie nigdy nie spotkał. Odtąd na taką „zbrodnię" mogłam tylko sobie pozwolić w zimowe, jasne, księżycowe noce. Wtedy mogłam sobie czytać dowoli, nikogo się nie obawiając, a światło miałam zupełnie darmo. W takich to warunkach „sielskich, anielskch" upłynął mi czas do wojny. Wybuchła ona właśnie, gdy miałam lat czternaście, i tu się zaczyna znowu nowa tragedja, gdy niewesołe było życie w czas spokojny, to tembardziej pogorszyło się podczas wojny".

„Doszłam wreszcie do lat osiemnastu, to jest do wieku, kiedy się zaczyna być panną, a z tem zaczyna się nowa tragedja. Budzi się jakaś nieprzeparta chęć do czynu. Dusza rwie się, niewiadomo gdzie. Coś człowieka ciągnie do towarzystwa, do ludzi. Lecz wszystkiego trzeba się wyrzec, skrzydła powoli opadają, pozostaje tylko rozgoryczenie i rozczarowanie". „Ponieważ słynęłam z tego, że byłam dziewczyną pracowitą i gospodarną, a przytem cichą i skromną, więc zgłosił się pewnego razu gospodarski syn, człowiek już starszy i zaczął z ojcem prowadzić pertraktacje względem mnie. A ponieważ po większej części jest na wsi taki zwyczaj, że nigdy się dziewczyny o zgodę nie pytają, więc i w tym wypadku „obrabiali" interes tylko z ojcem. Po długich targach i sporach

wreszcie zawołano i mnie i oświadczono ku wielkiemu mojemu przerażeniu, że mam za tego człowieka wyjść zamąż i na takich warunkach, że przyszły mój mąż dostanie od ojca swego pięć mórg ziemi, a ponieważ miał dwie zamężne siostry, na które spadało też po pięć mórg, więc mój ojciec kupi od jednej siostry dla mnie pięć mórg, a od drugiej możemy wziąć na spłaty, czyli obarczyli nas jeszcze przed ślubem dość dużym długiem. Oczywiście przed ślubem pojechali do rejenta i tam jeszcze wśród kłótni, która mnie do rozpaczy doprowadzała, sporządzili akt. Ojciec mój po długich targach obiecał mi krowę, a ojciec jego konia i na tem stanęło do ślubu. Dowiedziałam się przytem od ludzi, a nawet miałam możność sama się przekonać, że przyszły mój mąż należy do ludzi gwałtownych, narwanych, przytem złośnik okropny, a co najgorsze lubi zaglądać do kieliszka. Lecz trudno, klamka zapadła, rozpacz mnie ogarnia straszna, po całych nocach proszę Boga o śmierć, lecz śmierć nie przychodzi, a tylko dzień za dniem zbliża się termin ślubu. Ojciec kupił mi już „wyprawę“ składającą się z dwóch koszul, batystowej sukienki białej i pantofli. O jakże bym chętniej widziała siebie w tym stroju w trumnie, jak przy ołtarzu. Tak się bałam strasznie tego człowieka, że na wspomnienie samo drżałam jak liść osiki! Nikt chyba tylu łez nie wylał, co ja w ostatnią noc przed ślubem. Była to najstraszniejsza noc w życiu. Potem zawiedli mnie ledwie żywą do ołtarza i tam kazali powtarzać słowa jakiejś przysięgi, z której nie zdawałam sobie wcale sprawy. Zresztą ja tego człowieka wcale nie kochałam, tylko bałam się, bałam strasznie. Stało się, jestem mężatką i tu dopiero zaczyna się gehenna. Wszystkie moje dotychczasowe cierpienia niczem są w porównaniu, jakie zaczynają się teraz. Zaraz po ślubie kazał ojciec zabrać mię mężowi do siebie, bo moje miejsce zajęte było przez młodszą siostrę. Mąż znów powiada, że bez krowy mnie nie weźmie, a ojciec krowy dać nie chce. Więc mąż powiada: „nie, to nie, nie chce ojciec dać krowy, niech se trzyma i córkę“, zabrał się i pojechał do domu. Pozostałam się niczyja, jak pies bezpański. Ojciec nie chciał mnie wpuścić do domu, tylko kazał iść do męża, bo tam mi kupił „majątek“, mąż nie chciał mnie wziąć bez krowy. Nie wiedziałam, co mam z sobą począć, chodziłam tak, rozpaczając przez kilka dni głodna i opuszczona po polu i lesie. Do ojca nie śmiałam już wrócić, a do męża nie pozwalała mi pójść moja duma kobieca, ze względu, że wyżej on cenił krowę odemnie. Zresztą chciałam być najdłużej jaknajdalej od niego. I tu z rozpaczy zaświtała mi straszna myśl, postanowiłam z głodu umrzeć. Lecz los chciał inaczej, znaleźli mnie ludzie nieprzytomną w polu, mąż się dowiedział i wtedy już zabrał do siebie. Ciężkie to było tam życie u niego. Byłam taka słaba, że mało wiele mogłam robić z tego wycieńczenia, a rodzice męża ciągle mi wymyślali, że nie będą darmo trzymać takiego próżniaka przybłędy. „Począwszy już zimową porą, a także i w dalszym ciągu mąż mój najchętniej przebywał poza domem, mówiąc, że potrzebuje towarzystwa i nie może się nudzić w zimnym i pustym domu, z tego też powodu skazana byłam na wieczne osamotnienie, a ponieważ mieszkamy na ustroniu zdala od wsi, nie stykałam się zupełnie z ludźmi i żyłam poprostu, jak dzika pustelnica. Bolałam okropnie nad tem przebywaniem męża poza domem, ale nic nie mogłam poradzić, gdy zaczynałam płakać, to tembardziej jeszcze był zły, przeklinał mnie i czemprędzej wychodził. Chcąc stłumić ból i zabić roz-

pacz, osamotnienie i pustkę, pracowałam ile tylko starczyło sił i u siebie i poza domem, a gdy nadeszła noc, to topiłam się wprost we łzach i myślałam, jak to będzie dalej. Czy już doprawdy ani promyka słońca dla mnie nie ma? Rozpacz moją pogłębiała teraz troska przed przyjściem dzieciny. Cóż zrobić? Jak sobie poradzić? Przecież nic nie miałam. Nawet owinąć w co, a cóż dopiero choroba, a trzeba ochrzcić i zarobić już nie będę mogła nic potem. Z tego wszystkiego odchodziłam wprost od zmysłów. Do tego jeszcze czułam się taka słaba, że wątpiłam już czy ja to wszystko przeniosę, ale człowiek, powiadają, silniejszy jest od kamienia, więc i ja jakoś wszystko przeniosłam i przeżyłam i ku wielkiemu oburzeniu i złorzeczeniu mego męża, że to nie syn, powiłam córkę. Leżeć nie było czasu, bo akurat nadchodziły sianokosy, więc po dwu dniach trza było wstać i pomimo, że nogi się chwiały i w oczach ciemniało, trza było się wziąć do roboty. Dziecko owinięte w chustce spało w sianie, a ja od świtu do nocy musiałam ciężko pracować w dalszym ciągu, nie dojadając, z tego też powodu dziecina, nie mając poddostatkiem pokarmu, kwiliła po całych nocach, nie dając mi odpocząć, a nawet oka zmrużyć. Mąż też z tego powodu złościł się i klął na czem świat stoi, a w domu był coraz rzadszym gościem". „Za dwa lata powiłam drugą córkę. Mąż wściekał się poprostu ze złości, nie szczędząc mi różnych przykrych docinków, a cóż ja byłam winna i to maleństwo, że je tak ojciec nienawidził. Zaczął znów uciekać z domu, a ja z rozpaczy wylewałam całe rzeki łez. Zrobił się też niezwykle gwałtowny, że za byle co bił mnie, że siniaki prawie nie schodziły ze mnie. Cóż było robić? Cierpiałam tak wszystko pocichu, bo nawet poskarżyć się nie miałam przed kim. Zajmowałam się gorliwie pracą i w niej znajdowałam ukojenie". „W roku 1925 doczekałam się wreszcie syna, a z nim i nowych trosk, bo przybywało coraz więcej pracy, a przytem zaczęłam zapadać na zdrowiu, czując dotkliwy ból w krzyżu, a widocznie z nadwerężenia żył zaczęłam stopniowo tracić władzę w prawej ręce. Nic zresztą dziwnego na taką pracę, sama sobie nieraz się dziwiłam, skąd się bierze tyle siły i zdrowia, ale i ono widocznie z czasem się wyczerpało. Do tego jeszcze przybyło mi najokropniejsze zmartwienie, okazało się bowiem po roku, że ten tak upragniony przez ojca syn jest kaleką na oczy, mianowicie nie widzi na jedno oko zupełnie, a na drugie bardzo mało, mimo, że ma najczyściejsze i najnormalniejsze oczy".

„Żyje się tylko z dnia na dzień i nawet na ubranie i buciki dla dzieci do szkoły nie wystarczy, już nie mówiąc o sobie, kiedy jedne buty, czy ubranie nosi się po kilka lat, pomimo, że ono jest dzisiaj nawet dość tanie, ale i na to nie można sobie pozwolić. Jak się żyje, to doprawdy strach pomyśleć. Mięsa nie jada się zupełnie, na mleko też nie można sobie pozwolić, bo trzeba je sprzedać na podatki i choć na sól, bez której się nie można zupełnie obyć. To też ludzie wyglądają nędznie, sczerniali na twarzy, o przygasłych oczach, niechętni i źli. A już najgorzej to serce boli patrzeć na dzieci blade, mizerne, smutne, a przytem bose i obdarte.

„Cóż z tego, że człowiek pracuje i pracuje? Przecież z tej pracy niema nic dosłownie. Gnieździ się nas pięć osób w jednej małej izdebce i to lichej, a do tego niema nadziei, żeby można w przyszłości coś pobudować! Całą podstawą bytu są trzy krowy. Z nich trzeba wyciągnąć

przeszło trzysta złotych podatku, jakie takie ubranie, mydło, naftę, sól, zapałki, cukier choć dla chorego dziecka, kilo słoniny na miesiąc, reperacja narzędzi rolniczych, bo o kupnie nowych, to już niema mowy. Do tego dochodzi jeszcze kupno zeszytów i książek dla dzieci do szkoły i inne drobne rzeczy, bez których obejść się nie może". „Ból sercem targa, chciałoby się dać dziecku coś na przyszłość. Chciałabym wywalczyć im lepszą dolę od swojej, bo wiem, jak mi ciężko było żyć na świecie, a teraz jeszcze cięższej patrzeć na niedolę swych dzieci i beznadziejną ich przyszłość".

Do tych urywków komentarzy już nie trzeba — mówią same za siebie —mówią tak wymownie i tak rozpaczliwie, że brak słów, by wypowiedzieć uczucia towarzyszące czytaniu.

A teraz cytata wielkiego i zasłużonego człowieka, niedawno zmarłego Artura Hendersona, b. angielskiego ministra spraw zagranicznych, prezesa Konferencji rozbrojeniowej, odznaczonego pokojową nagrodą Nobla. Polityk ten służył trzem idejom: idei pokoju powszechnego, klasie robotniczej i walce z alkoholizmem. Znamienne i niesłychanie cenne są jego słowa, wypowiedziane na uroczystości abstynenckich organizacyj robotniczych, będące wyznaniem jego wiary najgłębszej: „Wierzymy, że przyszłość robotnika leży w demokracji wyzwolonej od alkoholu — lecz to może nastąpić jedynie z pomocą przywódców, mających jaknajwiększy wpływ, a jednocześnie świadomych swej wielkiej odpowiedzialności i to wówczas tylko, gdy będą oni sami świecić przykładem własnej abstynencji".*)

Hanna Nałęcz - Ostrowska Szymańska.

---

*) Noworoczny Kurjer Poranny umieścił niesłychanie ciekawy artykuł Franciszka Bauera - Czarnomskiego, pod tytułem „Ku czemu Polska idzie". Autor od 16 lat mieszka w Anglji i pracuje nad zbliżeniem i poznaniem wzajemnem tych dwu krajów. Był on przez ten czas kilkanaście razy w Polsce i wśród wielu bardzo cennych porównawczych spostrzeżeń i uwag podkreśla fakty, które omawiają niniejsze „Zjawiska": „ludność wiejska, wynosząca bezmała 75 procent ludności państwa, nie odgrywa w dochodzie narodowym żadnej wogóle roli. Z punktu widzenia gospodarstwa narodowego ludność ta mogłaby prawie, że nie istnieć. Produkuje mało, spożywa jeszcze mniej. Nadwyżka produkcji chłopskiej prawie się nie liczy. Przedewszystkiem dlatego, że dosłownie przedstawia tylko to, co chłop od ust sobie odejmuje. Nasza stopa życiowa jest niższą od stopy życiowej tak malutkich państewek jak Danja, Szwecja, Norwegja". Zdanie publicysty i opinja ludu naszego całkowicie zbiegają się ze sobą. Na jeszcze jeden objaw zwraca uwagę korespondent z Anglji: „O ludziach zbyt często zapomina się w Polsce". Jakże dobrze, że „Pamiętniki Bezrobotnych" i „Pamiętniki Chłopów" zostały drukiem ogłoszone — trzeba, by ci, o których się nie pamięta, przypominali o swem istnieniu i prawie do życia i postawą swą domagali się słusznych praw i ludzkich warunków bytu.

PRZEZ PRYZMAT SĄDU.

Wyrok, mocą którego Henryk Pawluk skazany został na internowanie w zakładzie psychjatrycznym, wywołał żywe poruszenie na sali sądowej. Wogóle, cała sprawa była dziwna i niecodzienna. Wyłamywała się z ram tych kategoryj myślenia, któremi bywalcy sądowi decydują o czyjejś winie, lub niewinności. Nasuwała pewne niemiłe refleksje, bo niewątpliwie niejeden z tych, którzy słuchali sentencji i motywów wyroku, spostrzegł zastanawiające podobieństwa między swemi osobistemi przeżyciami, a występkiem, który Henryka Pawluka zaprowadził na ławę oskarżonych. Szczególnie przykre i niemiłe mogły wydawać się zeznania biegłych psychjatrów, którzy rozpoznali u oskarżonego nałogowy alkoholizm, połączony z urojeniami niewierności małżeńskiej i uważali za konieczne poddanie go leczeniu w zakładzie zamkniętym.

Biegli posługiwali się trudnemi do zrozumienia terminami i myśleli w jakiś dziwny, opaczny sposób, który zupełnie nie przemawiał do doświadczenia słuchających. Pewne sprawy, które wchodzą w zakres intymnych doświadczeń każdego niemal człowieka i dlatego są traktowane z wyrozumiałą pobłażliwością, w interpretacji biegłych stawały się symptomatami choroby, fundamentem, na którym oparło się rozpoznanie i zalecenie internowania. W tych długich i zawiłych wywodach zatracała się granica między człowiekiem zdrowym i chorym, a klasyfikacja czynu, który ulegał psychjatrycznej ocenie, wynikała nie z jego wewnętrznej struktury i jakości, ale ze skutków, jakie pociągał za sobą. W takiem podejściu do sprawy kryło się coś dwuznacznego. Wynikała stąd niemiła poufałość, która usuwa przyjęte i zrozumiałe dla wszystkich rozgraniczenia i sprawia, że różnica między człowiekiem oskarżonym, a każdym z nas, zatraca swój bezwzględny charakter i w znacznym stopniu wydaje się sprawą przypadku.

Przypuszczano, że pytania, jakie obrońca oskarżonego zada biegłym, pozwolą ustalić jakiś punkt stały, jakieś bezwzględne kryterjum, które przywróci granicę między człowiekiem zdrowym i chorym, między winnym i niewinnym. Ale nadzieje te zawiodły. Już pierwsze pytanie obrońcy i pierwsza odpowiedź biegłego przekonały wszystkich, że nadal będziemy posuwali się po gruncie chwiejnym i niepewnym.

Chodziło o ustalenie, kogo należy uważać za alkoholika. Biegły wyjaśnił, że człowiek, który przez dłuższy czas systematycznie używa takich ilości alkoholu, których organizm nie może z siebie wydzielić, jest alkoholikiem. Mówiąc konkretnie, o ile ktoś w ciągu kilku lat pije codziennie litr piwa, lub dwa kieliszki wódki, staje się alkoholikiem nałogowym. Dalsze pytania obrońcy dążą do jaśniejszego sprecyzowania tego pojęcia. Biegły wyjaśnia, że wiele tutaj zależy od odporności organizmu, że nie u wszystkich zmiany alkoholowe przejawiają się z jednakową siłą i że w danym konkretnym przypadku mamy do czynienia z wyjątkową nietolerancją na alkohol. Oskarżony w ciągu kilku lat pił prawie codziennie niewielkie ilości wódki, upijał się bardzo rzadko, ale mimo to można u niego zaobserwować wyraźne zmiany alkoholowe, zarówno fizyczne, jak i psychiczne.

Opinja biegłych nie pokrywała się z tem, co o oskarżonym mówili koledzy i przyjaciele, zeznający przed sądem w charakterze świadków.

Twierdzili oni, że oskarżony był dobrym kolegą, uczynnym i towarzyskim, czułym na niedolę przyjaciół, którym pożyczał nieraz większe sumy pieniędzy.

(Warto tutaj zaznaczyć, że tę hojność uważali biegli za szczegół bardzo ważny, wobec niektórych faktów, objętych aktem oskarżenia. Mianowicie, akt oskarżenia zarzuca Henrykowi Pawlukowi między innemi i to, że zaniedbywał swoją żonę i dziecko, nie dając im pieniędzy na utrzymanie).

Dyrektor fabryki, w której Pawluk zajmował odpowiedzialne stanowisko naczelnego inżyniera, wyrażał się o nim bardzo korzystnie, jako o dzielnym i zdolnym pracowniku. Nigdy nie widział oskarżonego w stanie nietrzeźwym, aczkolwiek wie, że przy obiedzie pił zwykle kilka kieliszków wódki.

Henryk Pawluk oskarżony był z artykułu 250 k. p. k., który brzmi: „Kto grozi innej osobie popełnieniem zbrodni lub występku na jej szkodę lub szkodę bliskich, jeżeli zachodzi prawdopodobieństwo spełnienia zapowiedzi i groźba może wzbudzić obawę w zagrożonym, podlega karze więzienia do lat dwu, lub aresztu do lat dwu", i z art. 251: „Kto przemocą lub groźbą bezprawną zmusza inną osobę do działania, zaniechania lub znoszenia, podlega karze więzienia do lat dwu, lub aresztu do lat dwu". W związku z opinją biegłych znalazł tu zastosowanie art. 80, § 1, który brzmi: „Jeżeli przestępcę uznano za mającego zmniejszoną zdolność rozpoznawania, lub kierowania postępowaniem (art. 18, §1), a jego pozostawanie na wolności grozi niebezpieczeństwem porządkowi prawnemu, sąd może zarządzić jego umieszczenie w zamkniętym zakładzie dla psychicznie chorych, albo w innym zakładzie leczniczym".

Akt oskarżenia został sporządzony na zasadzie doniesień żony Henryka Pawluka, Zofji, oraz jej matki i bliższej rodziny. W akcie oskarżenia mówi się o tem, że od samego początku pożycia małżonków Pawluków, na tle niezgodności ich usposobień, powstawały poważne nieporozumienia, które z biegiem czasu zaczęły przybierać formy, zagrażające zdrowiu i bezpieczeństwu Zofji Pawlukowej, oraz jej dziecka.

Zaraz po ślubie okazało się, że Henryk Pawluk ma zamiar dalej utrzymywać kawalerskie znajomości z pewnemi paniami, których bezinteresowność w obdarzaniu go uczuciami sympatji była więcej, niż problematyczna. Taki stan rzeczy odbijał się bardzo niekorzystnie na sytuacji żony Pawluka i nowonarodzonego dziecka. W domu nie było nigdy wystarczającej ilości pieniędzy, chociaż już wówczas Pawluk zarabiał dość dobrze. Zdarzały się wypadki, że Zofja musiała korzystać z pomocy najbliższej rodziny; ostatniemi czasy wypadki takie stawały się coraz częstsze. Między małżonkami dochodziło do gwałtownych nieporozumień, które zwykle kończyły się pobiciem Pawlukowej i jej ucieczką do mieszkania matki. Po kilku dniach wracała do domu, ale nigdy na długo. Henryk w codziennem pożyciu był trudny do zniesienia, groził żonie śmiercią, o ile przyłapie ją na zdradzie, podejrzewał ją o utrzymywanie stosunków z wieloma kochankami, których jednak nigdy nie mógł zastać w jej towarzystwie. Nieraz, zamiast iść do biura, stawał zaczajony w bramie sąsiedniego domu, czekając na urojonych kochanków, a później nagle wpadał do mieszkania, przeszukiwał wszystkie kąty, bił żonę

i upewniał, że on ją wreszcie przyłapie i że wówczas wybije jej ostatnia godzina.

Tak ujmował sprawę akt oskarżenia.

Przewód sądowy dostarczył wiele ciekawego materjału, pozwalającego na wniknięcie w przyczyny tych nieporozumień, które zmusiły Zofję Pawlukową do złożenia doniesienia karnego przeciwko swemu mężowi. Jednocześnie, w miarę postępowania dowodowego, zaczęły ujawniać się takie szczegóły, których wymowa komplikowała całą sprawę i faktom pozornie prostym i zrozumiałym nadawała sens nieuchwytny, pełen niedomówień i wieloznaczności. Materjał rzeczowy, przedstawiony sądowi w wyjaśnieniach oskarżonego i w zeznaniach świadków, zresztą dokładny i wyczerpujący, zostawiał szerokie pole domysłom i interpretacjom, a obie strony mogły wytoczyć na poparcie swego stanowiska wiele przekonywujących argumentów.

Ale jedno było najzupełniej widoczne: obie strony przemawiały w poczuciu wyrządzonej im krzywdy, z wiarą w słuszność własnego stanowiska. Dwie prawdy, które powstały przeciwko sobie na terenie wspólnego życia dwojga ludzi, karmiąc się materjałem tych samych zdarzeń, na przestrzeni szeregu lat nie potrafiły znaleźć ani słów porozumienia, ani wspólnych, zbliżających doświadczeń. Nawet we wspomnieniach, związanych z pierwszemi miesiącami małżeństwa, Henryk i Zofja Pawlukowie nie umieli odnaleźć niczego, coby było wiążące i miłe. Sprawiali wrażenie ludzi, których jakieś złośliwe moce zmusiły do wspólnego życia, wbrew ich woli i chęci. Zeszli się ze sobą pewnego dnia i nie wiedzieli, dlaczego. Poglądy, zainteresowania, stosunek do świata, to wszystko, co formuje osobowość ludzką, stworzyło z nich indywidualności obce sobie i wrogie. Podając sobie ręce przed rozpoczęciem wspólnego życia, odpychali się oczami, otwartemi dla jakichś innych, osobistych, niewspólnych spraw. Każde z nich niosło w oczach przedwcześnie zakrzepły obraz świata, wyobrażenie o tem, jak być powinno, i o tem, co jest stałe i prawdziwe, a co przejściowe i złudne. Oboje byli wierni temu wyobrażeniu, które płynęło w ich krwi doświadczeniami przodków i formowało się w zetknięciu ze światem rzeczywistym. Widzieli w niem usprawiedliwienie własnego życia i wszelkie zdarzenia, wybiegające im naprzeciw, oceniali miarą swoich prawd wewnętrznych. Tutaj rodziła się nieustępliwość i potrzeba agresji.

Naturalnie, te osobiste wrogości nie wynikały z jakiegoś szerszego stosunku do życia, z inności psychicznych postaw wobec problemów zasadniczych i ważnych. Wewnętrzne prawdy obojga, na które powoływali się tak chętnie, były najściślej określone ich prymitywną mentalnością, uczuloną jedynie na sprawy konkretne i dotykalne. Supremacja podświadomości nad świadomym, refleksyjnym stosunkiem do życia, sprawiała, że wszystko, co wybiegało poza możliwość zmysłowego postrzegania i nie dało się ocenić kategorjami myślenia najbardziej prymitywnego, było przyjmowane przez nich jako manifestacja jakichś sił mistycznych i nieodwracalnych. Uczuciowy stosunek do tego, co ich spotykało w codziennem życiu, wyrażał się w reakcjach nieobliczalnych i żywiołowych, w nagłych zwężeniach świadomości, w wyładowaniach impulsywnych i niszczycielskich, nieznajdujących dostatecznego usprawiedliwienia w materjale zdarzeń, któremi biegło ich życie.

Ta jedyna wspólność usposobień Zofji i Henryka stanowiła podstawę wszelkich konfliktów. Oboje, a przedewszystkiem Zofja, wyobrażali sobie, że są ofiarami nieżyczliwego losu, który doświadcza ich w sposób specjalnie złośliwy. Zofja znajdowała szczególną satysfakcję w wyliczaniu potwornych krzywd i bolesnych zawodów, któremi wypełnione było jej życie. Kryło się w tem mizerne samooszukaństwo, naiwny wybieg tendencyj samozachowawczych, które potrafią wszelką nicość i bezsiłę przetłumaczyć na język wielkościowego samopoczucia. Bo Zofja widziała w tem swojem cierpiętnictwie jakieś szczególne wyróżnienie, jakby była jedną z tych legendarnych postaci, na które łaska boża spływała udręką i bólem. Wśród swoich domowych zajęć znajdowała zawsze sporo czasu na medytacje i rozpamiętywania, na długie rozmowy z sąsiadkami, z których wracała pokrzepiona i umocniona na duchu. Z tych rozmów wieczornych wynosiła pewne poglądy i uogólnienia, tam nadawała nazwy faktom i wydarzeniom, tworzyła jakieś metafizyczne systemy, które usprawiedliwiały jej życie zawiedzione i niepotrzebne i zaspakajały tęsknotę do transcendentu. Ten spirytualizm kuchenny i codzienna porcja szturchańców, sprawiały, że robiła wrażenie obitego zwierzątka, patrzącego serafickiemi oczami.

Zofja i Henryk bardzo chętnie ulegali wspomnieniom, związanym z dziecięctwem i młodzieńczością. Większą część swoich zeznań poświęcili tym sprawom, jakgdyby szukając w nich usprawiedliwienia dręczących nieporozumień, któremi było wypełnione ich życie. I rzeczywiście, dopiero po zapoznaniu się z przeszłością Pawluków, zaczynamy rozumieć ich los późniejszy.

Henryk Pawluk urodził się w głuchym zakątku Polesia. Ojciec jego był leśniczym i sprawował władzę nad wielkiemi obszarami książęcych lasów. Ich właściciel nigdy tu nie zaglądał, zajęty jakiemiś odległemi sprawami, a stary Pawluk mógł niepodzielnie oddawać się rozkoszy rządzenia. Olbrzymie bagna i rozlewiska leśnych rzek utrudniały komunikację, tak, że żyło się tu życiem zamkniętem dla spraw wielkiego świata. Nawet okres wielkiej wojny niczego tutaj nie zmienił. Wszystko szło zwykłym trybem, ludzie oddawali się swoim codziennym zajęciom, tylko od czasu do czasu przychodziły jakieś wieści dalekie i nikogo nieobchodzące. Ta atmosfera spokoju i stabilizacji sprzyjała życiu prostemu, opartemu na głębokiej wierze w niezmienność zasad i praw obowiązujących i uznanych za słuszne.

Henryk bardzo prędko uległ tyranji wychowania i obyczaju. Jego życie było zgóry pomyślane przez zapobiegliwego ojca, podzielone na okresy, obmyślone w najdrobniejszych szczegółach z tak wielką starannością, jakgdyby stary Pawluk był pewien, że żadne moce nie oprą się jego władzy ojcowskiej, sprawiedliwej i bezapelacyjnej. Gdy Henryk rozpoczął pierwsze próby samodzielnego życia, opuszczając o własnych siłach kołyskę, ustawioną w nogach matczynego łóżka, Pawluk zadecydował: „gdy skończy 10 lat, pójdzie do szkoły w Pińsku. To osiem lat. Uniwersytet i wojsko — siedem lat. Później znajdzie dziewczynę, — tu zastanowił się chwilę, chcąc widocznie znaleźć jakieś głębsze uzasadnienie tych decyzyj, i dodał: — no, a my odpoczniemy wówczas“.

Ten plan życia, tak bezwzględnie narzucony Henrykowi, został zrealizowany w najdrobniejszych szczegółach. Oczywiście, nie obeszło

się bez buntów i utarczek, ale przejawy samodzielności Henryka były raczej uczuciową reakcją na tyranję ojca, niż istotnym, głębokim sprzeciwem wobec form i zwyczajów, które powszechnie uważano za obowiązujące i słuszne. Zresztą, wakacje, spędzane w domu rodzicielskim, przynosiły miły odpoczynek po trudach roku szkolnego i tych wszystkich uczniowskich niedostatkach, którym nie mogła zaradzić szczupła miesięczna pensja, wyznaczona mu przez rodziców. Tutaj przyjmowała go matczyna troskliwość, której ulegał z uczuciem głębokiego zadowolenia, rubaszna serdeczność ojca, podtrzymywana często napełnianemi kieliszkami jakichś wybornych, domowych wódek, które codziennie zjawiały się na stole w małych, pękatych karafeczkach i miały stanowić radykalne lekarstwo na wszelkie choroby. Podczas długich rozmów, gdy na rodzicielskich twarzach kładło się poobiednie uduchowienie, a senna marzycielskość łagodziła groźny wyraz ojcowych oczu, formowały się poglądy Henryka o tych wszystkich sprawach, które stanowią o samodzielnem życiu.

Gdy Henryk Pawluk, po skończeniu lat 18-tu, otrzymał świadectwo dojrzałości, był już czemś w rodzaju „ukończonego" człowieka. Okres krótkotrwałych buntów i niezadowoleń miał poza sobą, czuł się spoufalony z rzeczywistością w stopniu, który wykluczał wszelkie wątpliwości i niepokoje, a własną przyszłość widział w cieple rodzinnego ogniska, przy którem jego starzy rodzice znajdą dobrze zasłużony kącik. To było wszystko, co zdołał pomyśleć o przyszłości. Wogóle, cały świat w jego oczach ulegał dziwnym uproszczeniom. Wszystko było proste i łatwo osiągalne. Poprostu, trzeba było trochę chcieć i dużo pracować. Gdy się spełniło ten zasadniczy postulat, można było ze spokojem i ufnością oczekiwać najlepszych rezultatów. Kończy się wyższą uczelnię, otrzymuje pracę, która przynosi dochody, wreszcie spośród wielu dziewcząt wybiera się jedną i obejmuje ją prawem własności. Potem przychodzą dzieci, a razem z niemi nowe, poważne obowiązki, które spełnia się najstaranniej i wzamian otrzymuje wiele najczulszej wdzięczności i pełnię władzy. Tutaj kończy się obraz świata, widziany oczami 18-toletniego Henryka.

Z takim poglądem na świat, z dwustu złotymi w kieszeni, które miały mu wystarczyć na całe dwa miesiące i z kapitałem upartej pracowitości, przyjechał Henryk Pawluk do Warszawy i zapisał się na Politechnikę. Niewątpliwie posiadał duże techniczne zdolności i na wydziale budowy maszyn zyskał opinję nieprzeciętnego studenta. Praca i korepetycje, których udzielał, wypełniały mu dosłownie cały dzień, a późne wieczory zastawały go nieraz nad książkami, mającemi mu zapewnić stanowisko i spokojną starość. Nawał pracy, która odsuwała go od życia i niewątpliwe sukcesy, jakiemi obdarzyły go biegnące lata, — to wszystko wpłynęło na umocnienie w nim tych poglądów, które wyniósł z rodzinnego domu. Coraz większą czułością i pietyzmem otaczał wspomnienie dzieciństwa i młodzieńczości, coraz więcej serdecznych myśli poświęcał surowemu ojcu, którego rady i wskazania konkretyzowały się teraz świetnemi sukcesami. W ten sposób umacniał się jeszcze w swoim prymitywnym światopoglądzie, wierzył w jego słuszność i znaczenie, coraz wyraźniej naginał siebie do tych form życia, jakim ulegali jego rodzice i w swojem

wewnętrznem dojrzewaniu stawał się bezwzględnie zacięty i obcy tym cichym wieściom, które płynęły ku niemu z innego, bliskiego świata.

Ten inny świat zamykał się w szczupłych ramach dwupokojowego mieszkania przy jednej z ulic śródmieścia. Henryk dostał się tam przypadkowo, wprowadzony przez któregoś z kolegów, utrzymujących zażyłe stosunki z młodymi malarzami i poetami. Pierwsza wizyta oszołomiła go zupełnie. To, co tam zobaczył, było najbardziej krańcowem zaprzeczeniem domowych tradycyj i ideałów, które pielęgnował z taką starannością. Znalazł się nagle wśród ludzi, którzy mówili innym językiem, ulegali innym doświadczeniom. Rozmowy, które tutaj prowadzono, dotyczyły spraw obcych mu zupełnie i żenujących nietylko szczerością w omawianiu pewnych szczegółów, których on nie umiałby sformułować nawet w myślach, ale i tą chłodną wrogością, jaką każdy umysł prymitywny i materjalistyczny wyczuwa w zagadnieniach, nie znajdujących bezpośredniego zastosowania w praktycznem życiu. Kobiety, które przychodziły tutaj, były swobodne w obejściu, mówiły rzeczy tak samo niezrozumiałe w sposób równie drażniący i zawiły, siadając, zakładały nogę na nogę i gładkim jedwabiem pończoch lśniły drogocennie i wyzywająco. Henryk musiał przyznać, mimo głębokiego wewnętrznego oporu, że było to milsze i ładniejsze, niż grube barchany poleskich piękności, — ale stwierdzenie tego faktu przejmowało go niechęcią i gniewem. Siadał zwykle w jakimś mrocznym kącie pokoju i parował drażniące zaczepki, które wybłyskiwały ku niemu z atmosfery tego domu, jak ostrza celnych szpad. Dopiero, gdy na małych stolikach — w mieszkaniu nie było pokoju jadalnego, ani żadnego większego stołu, co Henryka doprowadzało do rozpaczy — zjawiały się zakąski i butelki, wysuwał się ze swego ukrycia i odrazu wypijał kilka kieliszków, które godziły go w pewnym stopniu z tymi dziwnymi ludźmi. „Przynajmniej jedzą i piją — myślał — w tem podobni są do wszystkich ludzi normalnych i może tutaj znajdziemy jakąś wspólną płaszczyznę porozumienia“. — Podczas jednej z tych wizyt poznał Zofję.

Nazywano ją w domu Zazą, lub innemi zdrobniałemi imionami, które Henrykowi wydawały się conajmniej dziwne. Młodzi ludzie otaczali ją sympatją, często otrzymywała kwiaty i wiersze od wielbicieli, ale trudno było powiedzieć, który z nich cieszy się jej specjalnemi względami. Ona sama pisała wiersze liryczne, niepozbawione szczerego sentymentu i malowała obrazy, których niewątpliwą zaletą była zupełna atematyczność, a jak mówili złośliwi, brak wszelkiego sensu. Ubierała się w jakieś jedwabne kawałki, które nie miały nazwy w słowniku Henryka, a swoje zwycięskie osiemnaście lat podkreślała czerwienią pomadek i czernią tuszu, tak, żeby wszyscy musieli uwierzyć w jej opowiadania o przeżyciach i doświadczeniach, którym jakoby ulegała i które kładą się pod jej oczami sinawym, melancholijnym cieniem. W istocie, wszystko, co dotąd przeżyła, było radością i weselem, nastrojem młodzieńczych przygód i odkryć, którym sprzyjało jej wczesne rozbudzenie.

Zofja Pawlukowa niesie w sobie żywo obecne wspomnienie tych dawnych czasów. Najpierw widzi siebie, jako malutką dziewczynkę, otoczoną dorosłymi ludźmi w jakichś dziwnych, niewygodnych strojach. Obok niej malutki braciszek i siostrzyczka, dalej matka i ojciec. Jest rok 1912, Cicha Wieś — majątek rodziców. Potem wojna, groźne niepokoje.

przemarsze wojsk napełniają zgiełkiem jej dziecięce lata. Później trzeba było jechać do miasta, żegnać swój dom, w którym będą teraz mieszkać jacyś obcy ludzie. Ojca niema. Jest wśród walczących, na froncie. Wreszcie przyjeżdża do nich, do Warszawy, żeby po kilku miesiącach odjechać na zawsze. Dokąd? Tego Zofja nie wie. Wie tylko, że otaczano go uwielbieniem i miłością; że to był niezwykły, cudowny człowiek, umiejący władać ludźmi bez wywierania przymusu. Przypomina sobie, że przed tym ostatnim wyjazdem rodzice spędzali długie, bezsenne noce na omawianiu jakichś spraw, dla niej niezrozumiałych. Uczestniczyła zresztą w tych nocnych rozmowach i wyniosła z nich wspomnienie słów gorących i uskrzydlonych, któremi wybuchał ojciec. Miała wówczas wrażenie, że obok niej dokonywują się jakieś sprawy wielkie i decydujące i czuła się wspaniale wyróżniona tem zaszczytnem sąsiedztwem.

Nad całem życiem Zofji zaciążył wpływ jej ojca, który w tem opowiadaniu urasta do godności symbolu. Był to niewątpliwie ciekawy człowiek, obdarzony wielką sztywnością charakteru i umiłowaniem swobody. Nie miał zupełnie życia osobistego. Dom rodzinny był jedynie miejscem odpoczynku, dokąd przyjeżdżał w chwilach wielkiego zmęczenia. Żona i dzieci nie odczuwały tego boleśnie. Umiał im wytłumaczyć, że na świecie dzieją się teraz sprawy ważne i decydujące i że w takich epokowych momentach on nie może siedzieć z założonemi rękami. Solidarność z pokrzywdzonymi i ciemiężonymi zmusza go do walki i rzeczywiście, nie było chyba na przestrzeni ćwierci wieku takiego wojującego narodu, w którego armji nie możnaby było spotkać kapitana Arnolda, zawsze pełnego entuzjazmu i zawsze w pierwszym szeregu. Po naszej wojnie, którą odbył jako oficer frontowy, wyjechał z Polski i padł od kuli karabinowej w którejś z republik południowo-amerykańskich.

Ale mimo śmierci kapitana Arnolda, jego żywa obecność towarzyszyła losom żony i dzieci. Manifestowała się na terenie spraw codziennych, niewidoczna dla oka, a jednak konkretnie istniejąca i wszechwładna. Z oczu podrastających dzieci wyglądała tą samą tęsknotą za światem, za zdarzeniami, które odbywają się u kresu najlotniejszej wyobraźni. Wyrażała się temi samemi zamiłowaniami, kultem dla sztuki, zdolnościami artystycznemi, wszechstronnością zainteresowań, umiłowaniem swobody. Znajdowała dla siebie wyraz w zewnętrznych podobieństwach, w mimice i gestach, w nagłych i nieświadomych odruchach, w tym całym arsenale tajemniczych środków, któremi rozporządza magja dziedziczności.

Mieszkanie, w którem upływało dziewczęctwo Zazy, stało się przystanią dla wielu młodych ludzi, którym życie i jakieś wielkie, skrywane ambicje, nie szczędziły gorzkich zawodów. Zaza znajdowała u nich poparcie swoich poglądów, których nie umiała wyrazić. W istocie, była małem, nierozumnem stworzonkiem, które wyczuwa bliskość jakichś groźnych niebezpieczeństw, jakichś spraw ważnych i porywających, nie umiejąc ich nazwać, ani wykorzystać ku własnemu pożytkowi. Jej postawa wobec życia wyrażała się negacją wszystkiego, co zostało ustalone przez czas i zbiorowe doświadczenie pokoleń. Manifestowała swoją pogardę wobec urządzeń ludzkich, które mogły wykazać się dziejowem szlachectwem i w tym stałym, namiętnym proteście zatracała wszelką miarę, wówczas zwłaszcza, gdy ogólnie przyjęte formy postępowania kolidowały z jej skłonnościami.

Ta negacja przybierała formy wybitnie agresywne i wyrażała się przedewszystkiem w zewnętrznej pozie, w oryginalności strojów, w wyzywającem zachowaniu się, w uleganiu zachciankom, które nie mogły znaleźć usprawiedliwienia nawet w oczach ludzi, spoufalonych z dążeniami młodości. W jej czupurnej postawie wobec groźnego świata kryło się wiele wdzięku, — była młoda i wysmuklona tanecznie, zniewalała ku sobie ludzi chłopięcym urokiem, gdy tak szła przez życie nieświadomie i pięknie, zdobywczo tupocząc nóżkami.

W mieszkaniu tem uległa pierwszym miłościom i tutaj zaskoczyła ją samotność. Oczywiście, te sprawy dokonywały się na przestrzeni kilku lat, ale zrozumienie nieodwracalności pewnych faktów nadeszło niespodziewanie i nagle. Młodzi ludzie, okazujący jej jeszcze niedawno tyle zainteresowania, odbiegli ku jakimś osobistym, najważniejszym sprawom, pogodzili się z rzeczywistością, odkąd zaczęła obdarzać ich sukcesami, znaleźli usprawiedliwienie swego życia w wykonywaniu czynności zawodowych, którym zamierzali się poświęcić. W ten sposób stali się ludźmi pracy i wysiłku i coraz mniej zrozumienia okazywali tym młodzieńczym przeżyciom, które łączyły ich z domem Zazy. A ona nie rozumiała istoty zmian, które dokonywały się tak blisko i miały ostatecznie zadecydować o jej życiu. Mimo biegnących lat trwała w swojej dziewczęcej manierze, obca rzeczywistości i niedostępna jej wpływom. Nadal pisała wiersze, które ugrzęzły na poziomie banalnej poprawności, coraz częściej ulegała bolesnym zamyśleniom, egzaltacjom, trudnym do usprawiedliwienia i oddalającym ją od konkretnych życiowych obowiązków. W czasie takiego napadu dokuczliwej melancholji, kiedy czuła się szczególnie samotna i niezrozumiana, Henryk Pawluk oświadczył się jej i został przyjęty.

Wyrachowanie Henryka wybiegało poza granice tych obrachunków, które dokonywują się w obrębie świadomości: było premedytacją nieświadomego. Jeżeli Henryk czekał na odpowiednią chwilę, w którejby mógł zawładnąć Zazą, to poza tem czekaniem kryły się pragnienia, żywiołowo prące ku realizacji. Jego głęboki spokój, oparty na wierze w niezachwianą prawdziwość pewnych systemów życiowych, uległ zupełnemu zniweczeniu w zetknięciu ze światem, otaczającym Zazę. Okazało się, że istnieją inne systemy, obowiązujące innych ludzi i że przyjęcie lub odrzucenie któregoś z nich jest kwestją wyboru. Henryk gotów był do daleko idących ustępstw, ale nie umiał znosić innych tyranij poza tyranją ojca. Ta sztywność usposobienia doprowadziła do zasadniczych konfliktów i postawiła go wobec konieczności dokonania natychmiastowego wyboru. Wybrał swoje dotychczasowe stanowisko, zamknął się w niem z zaciętością i uporem, podsycanym przez boleśnie zranioną miłość własną.

Ale w obozie wrogów pozostała Zaza. Była ona wykwitem tego wrogiego środowiska, jego uroczą personifikacją, której zdobywczemu czarowi Henryk nie umiał i nie chciał się oprzeć. Trzeba więc było zdobyć ją i zmusić do przyjęcia tych form życia, które jemu wydawały się słuszne i właściwe.

Przygotowania do realizacji tego napół świadomego planu zajęły Henrykowi kilka długich lat. Prowadził podwójne życie, jedno oddane nauce i sprawom zawodowym, drugie mocno złączone z życiem Arnoldów i tych ludzi, którzy u nich znajdowali schronienie. Coraz częściej, wśród swoich codziennych wysiłków, niekiedy tak sprzecznych z jego skłonnoś-

ciami, odczuwał silną potrzebę oszołomienia się, osiągnięcia takiego idealnego stanu, w którym człowiek nie odczuwa żadnych niepokojów i nie pada ofiarą dręczących tęsknot. Wówczas sięgał do kredensu, zajmującego honorowe miejsce w jego nowem, dwupokojowem mieszkaniu i wypijał kilka kieliszków wódki, domowej, „leczniczej“ wódki, w którą zaopatrywali go troskliwi rodzice. To „kuracyjne“ popijanie zmieniło się powoli w nałóg, w przyzwyczajenie, któremu Henryk ulegał bez specjalnego zastanowienia, tak, jak ulega się innym zautomatyzowanym czynnościom, związanym z rytuałem powszedniego dnia.

Gdy Henryk oświadczył się Zofji i przez kilka miesięcy uchodził za jej narzeczonego, plan ich przyszłego życia był już dokładnie opracowany. Henryk przypuszczał, że uda mu się zmusić ją do posłuszeństwa, do ulegania jego woli, jego nakazom, tak, jak on ulegał bezwzględności ojca. Sama myśl o tem przejmowała go radością. W realizacji tego planu widział możność otrzymania całkowitej satysfakcji, zupełnego zadośćuczynienia za te przykre i upokarzające chwile, które przeżywał w mieszkaniu Arnoldów. No, a później — myślał — będzie można okazać Zazie trochę wspaniałomyślności i zasłużyć na jej najczulszą wdzięczność.

Oczywiście, przeprowadzenie tego planu, który nie różnił się niczem od tych banalnych schematów, którym tysiące małżeństw ulega z pokorą i cierpliwością, okazało się czemś zupełnie niemożliwem.

Dzień, w którym Pawlukowie wprowadzili się do swego nowego mieszkania, przyniósł pierwszą gwałtowną sprzeczkę, zakończoną w sposób specjalnie przykry. Po kościelnej ceremonji i jakichś rodzinnych i przyjacielskich uroczystościach, którym Henryk poddawał się z uczuciem wielkiego zadowolenia, pojechali do domu. Przyjęły ich trzy duże pokoje, zastawione meblami, które — jak mówiła matka Henryka — pamiętają dawne, dobre czasy. Gabinet, salon, sypialnia, potem kuchnia, zaopatrzona w najrozmaitsze przybory gospodarskie, łazienka, narazie nie nadająca się do użytku, i długi korytarz, zastawiony jakiemiś pakunkami i meblami, których nie można było zmieścić w pokojach i niepodobna było wyrzucić

Henryk pokazywał Zofji te swoje dobra, rozpływając się w wewnętrznem zadowoleniu. Ukazywał siebie w splendorze skromnego, ale pewnego dostatku, który pozwala widzieć przyszłość, opartą na jego pracy, w jaknajjaśniejszych barwach. Ale, żeby tę przyszłość uchronić od wielkich niebezpieczeństw, Zofja musi zmienić swój dotychczasowy tryb życia, a w pierwszym rzędzie musi zrezygnować z tych znajomości, które jemu wydają się niewłaściwe, i zająć się wyłącznie sprawami, związanemi z gospodarstwem domowem...

Henryk w ciągu długich miesięcy przygotowywał swoją mowę małżeńską, którą miał wygłosić w pierwszym dniu ich wspólnego życia. Był tak bardzo przejęty ważnością tej chwili, że nie dostrzegał agresywnej i wyzywającej postawy, z jaką Zaza przyjmowała jego wskazówki i wynurzenia. Mówił w sposób, który wydawał mu się specjalnie sugestywny i przekonywujący. Szukał argumentów we wspomnieniach, powoływał się na swoich rodziców, jako na wzór małżeństwa, pokornie ulegającego rozgraniczeniom, zamierzonym przez Opatrzność, która wskazuje kobiecie specjalne zadania i cele, różne od tych, któremi płyną dni mężczyzny. Te ideały, wyniesione z domu rodzinnego i utrwalone latami osobi-

stego doświadczenia, powinny przyświecać Zazie w nowem życiu, które obecnie zaczyna, a on wzamian za to zapewni jej doskonałe warunki materjalne i otoczy najczulszą opieką.

W któremś miejscu tego programowego przemówienia, które Henryk wygłaszał w czasie zapoznawania się z mieszkaniem, weszli do sypialni, urządzonej w sposób, odpowiadający gustom i wymaganiom matki Pawluka. Stały tam dwa ciężkie, orzechowe łóżka, złączone z sobą i przykryte misternie haftowanemi kapami. Obok nich wielka szafa, szafki nocne, jakieś dywaniki i makatki, rozwieszone na ścianach, w kącie kołyska, natrętnie przypominająca Zazie o jej nowych obowiązkach, a vis a vis łóżek, na wypłowiałej, krzykliwo-czerwonej tapecie, portrety kilku pokoleń rodziny Pawluków. I właśnie tutaj, wobec zgromadzonych symbolów rodzinnego dostojeństwa, nastąpił nieunikniony, a nieprzewidziany przez Henryka wybuch.

Zaza, decydując się na małżeństwo, była pewna, że potrafi zmusić go do uległości. Podchodziła do niego z takiem nastawieniem, z jakiem on podchodził do niej, a ulegając tyranji Henryka w okresie narzeczeństwa, wierzyła w swoje ostateczne zwycięstwo. W tem agresywnem nastawieniu umacniały ją wiadomości, jakie otrzymała w przeddzień ślubu od jednego ze swoich znajomych.

(Fakty te, potwierdzone zresztą przez oskarżonego Henryka Pawluka podczas rozprawy sądowej, zasługują na ujawnienie, gdyż w sposób niezwykle jaskrawy określają jego mentalność odpychająco prostacką, a jednocześnie zafałszowaną i zagmatwaną w rytuałach i normach postępowania, wypracowanych na użytek utajonego, wewnętrznego celu).

Znajomy ów, Jerzy M., nigdy nie miał pieniędzy i mieszkał zwykle u przyjaciół, lub znajomych. Któregoś dnia postanowił odwiedzić Henryka. Poszedł do niego wieczorem i zastał tam młodą damę. Pawluk przedstawił ją jako swoją przyjaciółkę, którą, ze względu na zbliżające się małżeństwo, musi opuścić. Właśnie teraz urządzają pożegnalną kolację i będzie mu bardzo miło, jeżeli Jerzy nie odmówi im swojego towarzystwa i u nich zanocuje. Po kolacji, uświetnionej butelką dobrego wina, postanowiono położyć się spać. I wówczas Henryk z pewnem zażenowaniem oświadczył, że będą musieli we troje przespać się w jednem łóżku. Wprawdzie w sypialnym pokoju są dwa łóżka, ale to drugie przeznaczone jest dla przyszłej żony i matki jego dzieci, że stanowi ono jakoby symbol domowego ogniska, a więc jest świętością, którą on, Henryk Pawluk, czci i głęboko poważa.

Tę historję przypomniała sobie Zaza, wchodząc pierwszy raz w towarzystwie Henryka do ich wspólnej sypialni i, patrząc na to „święte" i „symboliczne" łóżko, nie mogła powstrzymać śmiechu i wybuchu wściekłości.

Są ludzie, którzy ze szczególnie egzaltowaną czcią, niepozbawioną natrętnej poufałości, zbliżają się do spraw i przedmiotów, związanych z rozrodem i śmiercią. Henryk był takim człowiekiem, i teraz, wchodząc z Zazą do pokoju, zastawionego sprzętami, wydartemi przeszłości i żyjącemi życiem umarłych, uległ bardzo intymnym, podniosłym uczuciom, które starał się nazwać i wyrazić. Prawdopodobnie, ulegając chwilowej zadumie, zobaczył te wszystkie poczęcia i zgony — zamknięte w milczą-

cem doświadczeniu jego rodzinnych sprzętów,—którym zawdzięcza swoje trwanie obecne i swój byt późniejszy i nienazwany. Pomyślał, że prześcieradła, na których będzie sypiał, wyrabiane z nieśmiertelnych, domowych tkanin, niosą na sobie materjalną wiedzę o historji jego rodu i może przekażą ją następnym pokoleniom, wzbogaconą o jedno życie i o jedną śmierć więcej. Tak wstydliwie, mistycznie i zwierzęco odczuwał Henryk swoją wspólność z przeszłością i to swoje odczuwanie starał się wyrazić jakiemiś nieudolnemi porównaniami, wydobytemi spośród najbardziej wytartych skojarzeń. Chciał w ten sposób powiedzieć Zazie o tych świętych obowiązkach, jakie dobrowolnie przyjęła na siebie i o twardej odpowiedzialności wobec tradycji i zwyczaju. I gdy tak z trudem, opornie i śmiesznie dobrnął do tego, co wydawało mu się ważne i konieczne do ujawnienia, i czem chciał ją najmocniej zobowiązać, — usłyszał jej śmiech zły i szyderski.

(Przewód sądowy ponad wszelką wątpliwość ustalił, że w dniu ślubu Pawluków, po zakończeniu wielkiej, programowej mowy, Henryk Pawluk zadał żonie swojej, Zofji, szereg urazów pięścią w okolicę czoła, skroni i oczu, poczem popadł w głębokie omdlenie).

Jest rzeczą niewątpliwą — stwierdzili to biegli psychjatrzy — że już wówczas Henryk Pawluk zdradzał pewne objawy psychicznej nienormalności. Ale to były okresy, stany przejściowe, które nie pozostawiały głębszych śladów na sylwetce duchowej oskarżonego. Uchodziły one uwadze otoczenia, tembardziej, że poza domem Henryk nie ulegał nigdy napadom wściekłości, nie popełniał czynów nieobliczalnych, raczej uchodził za człowieka zrównoważonego, umiarkowanego, miłego towarzysza przy stole i przy kartach, zawsze chętnego do wypicia, ale nigdy niepozwalającego sobie na przekroczenie miary. Dopiero w domu, wobec żony, stawał się dokuczliwy i brutalny, bił ją bez żadnych widocznych powodów, zamykał w pokoju, przeglądał jej listy, szpiegował, a w ostatnim roku ich pożycia zupełnie wyraźnie wybił się na pierwszy plan obraz chorobowego urojenia niewierności małżeńskiej.

Jak już zaznaczyłem, biegli psychjatrzy rozpoznali u oskarżonego chroniczny alkoholizm, na tle którego występowały urojenia niewierności małżeńskiej i uznali go za zupełnie nieodpowiedzialnego za czyny gwałtu, dokonane na osobie swojej żony; uznali jednomyślnie Henryka Pawluka za człowieka umysłowo chorego, niebezpiecznego dla otoczenia i wymagającego internowania w zamkniętym zakładzie psychjatrycznym, a sąd potwierdził tę opinję wyrokiem wyżej podanym. Ale mimo tej jednomyślności opinji biegłych, można było zauważyć na sali sądowej pewien niepokój, jakgdyby pragnienie dalszych, dokładniejszych wyjaśnień. Bo jedno było oczywiste: oskarżony mówił zupełnie przytomnie, na pytania sądu odpowiadał zbornie, dorzecznie, tak, jak odpowiadałby na jego miejscu każdy normalny człowiek. Do ostatniej chwili pracował w fabryce, z obowiązków swoich wywiązywał się bez zarzutu, dyrektor fabryki był z niego zadowolony, koledzy lubili go i obdarzali zaufaniem. Wprawdzie, jak to przewód sądowy niezbicie wykazał, jego podejrzenia w stosunku do żony były zupełnie bezpodstawne, a mówiąc ściślej i ostrożniej, nie opierały się na żadnych konkretnych poszlakach, to jednak ten fakt nie może stanowić o zupełnej niepoczytalności oskarżo-

nego. Jedynie okrutne bicie i katowanie żony wskazywałoby na jakieś psychiczne zaburzenia.

Mniej więcej takie wątpliwości nasuwały się tym, którzy byli obecni na rozprawie i dopiero obszerne przemówienie jednego z biegłych wyjaśniło niejasne momenty procesu. Ponieważ w przemówieniu tem biegły poruszył szereg spraw bardzo ważnych i najściślej związanych z codziennem, praktycznem życiem ludzkiem, podam je tutaj w możliwie najzwięźlejszem streszczeniu.

W pierwszym rzędzie biegły zwraca uwagę na szereg faktów, związanych z przeszłością Pawluka. Z anamnezy wynika, że oskarżony jest osobnikiem ciężko obarczonym dziedzicznie, chorób zakaźnych nie przechodził, we wczesnem dzieciństwie cierpiał na ataki drgawkowe, prawdopodobnie charakteru epileptycznego. W okresie dojrzewania i młodzieńczości, kiedy młodzi chłopcy przeżywają stany gwałtownych buntów, kiedy namiętnie występują przeciwko przewadze rodziców, uciekają z domów, za wszelką cenę dążą do samodzielności i stworzenia sobie własnej, odrębnej wizji świata, Henryk Pawluk ulegał zupełnie wpływom ojca, które pogłębiły się jeszcze w okresie jego uniwersyteckiego życia. Coraz wyraźniej rozwija się w nim sztywny, psychopatyczny charakter, a uczucie zależności i uwielbienia dla ojca i tych wyobrażeń, które on sobą reprezentuje, przybiera cechy idei nadrzędnej. Należy zwrócić tutaj uwagę na fakt, że już wówczas Pawluk pił alkohol stale, choć w niedużych ilościach. Po zetknięciu się ze środowiskiem, w którem wychowywała się jego przyszła żona, przeżywa krótki okres psychicznego załamania, poczem następuje u niego jeszcze silniejsze związanie z ideałem osobowości, kształconym w nim przez ojca. Ideał ten zaborczo dominuje nad całem jego życiem i dopiero w momencie, który przynosi mu świadomość przegranej w walce o Zazę (wieczór wielkiej, programowej mowy), następuje ponowne załamanie i jednocześnie zaczynają występować pierwsze objawy chronicznego alkoholizmu, wśród których na plan pierwszy wybijają się prześladowcze urojenia zazdrości.

W tego rodzaju schorzeniach cechą zupełnie swoistą jest zachowanie normalnego życia psychicznego (pomijając naogół trudne do wykrycia odchylenia od normy), przy jednoczesnem uleganiu urojeniowemu systemowi obłędnemu. Dlatego tacy osobnicy mogą sprawiać wrażenie ludzi zupełnie normalnych, mogą nawet oddawać się pracy zawodowej, i właśnie dzięki temu są specjalnie niebezpieczni, tembardziej, że bardzo często spotyka się u nich zjawisko dysymulacji, to jest ukrywania choroby przed otoczeniem. Rokowanie w wypadkach urojeń niewierności małżeńskiej na tle alkoholizmu jest niepomyślne i człowiek, który z takiem rozpoznaniem dostanie się do zakładu psychjatrycznego, ma bardzo mało możliwości powrotu do normalnego życia.

Te wyjaśnienia nie mogły przekonać Henryka Pawluka, — i właśnie tutaj kryje się cały tragizm takich spraw: człowiek zostaje skazany, pozbawiony wolności, oraz prawa stanowienia o sobie, a jednocześnie wierzy we własną niewinność i w prawdziwość urojeniowego systemu obłędnego.

Michał Klimowicz.

A TYMCZASEM...

W zadymionej piwiarni,
Co się zowie „Jutrzenka“,
Mieszka smutek pijacki,
Beznadziejność, udręka.

Czasem śmiechów jazgoty
Ostrym dźwiękiem zabrzęczą,
Lub fałszywe melodje
W ciszy ulic zajęczą.

Płyną słowa bez treści,
Pięść się w gniewie zaciska,
Lub wiwatem ktoś krzyknie.
Tak się bawią ludziska.

Słychać głośne życzenia,
W które trudno uwierzyć,
że „Na zdrowie“! „Niech żyje“!
Chcą się zbratać, sprzymierzyć.

Lecz za chwilę znów szatan
Wszystko splącze i zmąci,
Ktoś w coś zmierzy naoślep,
Kogoś kułak potrąci.

Każdą dobrą nadzieję
Mrok „Jutrzenki“ niweczy,
Zmienia ludzi powoli
W biedny łachman człowieczy.

A tymczasem na świecie
Są gdzieś szlaki podniebne,
Wynalazki, podróże,
Sprawy ważne, potrzebne.

A tymczasem myśl ludzka
Gdzieś się wzbija nad szczyty,
W dusze bliźnich zaszczepia
Wiarę w prawdy błękity.

Zofja Herwichowa.

SPOŻYCIE ALKOHOLU W POLSCE W LATACH OSTATNICH.

Spożycie napojów alkoholowych w Polsce od roku 1925 wykazuje znaczne różnice w poszczególnych latach. Według danych Dyrekcji Państwowego Monopolu Spirytusowego z czerwca 1925 dotyczących spożycia 100° alkoholu w wódce i Głównego Urzędu Statystycznego, podającego ilości piwa, spożycie tych napojów przedstawia się następująco:

ROK	100° alkohol w wódce ogółem hl.	100° alkohol w wódce na głowę mieszkańca l	piwo hl.
1925	410,450	1.39	1,573,021
1926	428,370	1.45	1,597,568
1927	398,700	1.33	1,983,585
1928	475,190	1.56	2,455,179
1929	481,400	1.55	2,786,000
1930	373,430	1.19	2,516,000
1931	277,390	0.80	1,928,000
1932	228,090	0.70	1,410,000
1933	250,880	0.76	1,027,000
1934	260,710	0.79	1,102,000

W zestawieniu spożycia wódki i piwa uderza równoległość jednoczesnego podwyższania się i spadku spożycia wódki i piwa, tych dwóch głównych napojów alkoholowych, używanych w Polsce. Oprócz wódki i piwa spożywa się u nas także dosyć wiele wina, wina owocowego, rumu, konjaku, oraz innych trunków krajowych i sprowadzanych z zagranicy. Spożycie tych innych napojów alkoholowych ulega również w poszczególnych latach wahaniom, zawsze jednak równoległym do spożycia wódki. Na podstawie cyfr szeregu lat można ustalić, że w Polsce spożycie wódki jest miernikiem używania wszystkich napojów alkoholowych, a miara spożycia wódki jest tak niezawodna, że kiedykolwiek spotkamy obniżenie, lub podwyższenie spożycia wódki, to już bez szukania cyfr spożycia innych napojów, możemy twierdzić napewno, że w tym samym roku zmniejszyło się, względnie zwiększyło spożycie wszystkich innych napojów alkoholowych.

Co się tyczy ilości spożycia wszystkich napojów alkoholowych, to w roku najwyższego spożycia spirytusu w wódce na głowę mieszkańca t. j. w roku 1928 wszystkich napojów alkoholowych łącznie z wódką i piwem wypito 3.487.106 hl.

Czy ilość ta jest wielką, czy małą, najlepiej można ocenić z miary pojemności. W celu przechowania 3.487.106 hl. napojów alkoholowych,

wypitych w jednym roku, trzebaby wykopać jezioro 1000 m. długie, 174.35 m. szerokie i 2 m. głębokie. Gdyby na dnie tego jeziora ustawić ludzi, stawiając na 1 metrze kwadratowym po 9 osób, to utonęłoby w niem 1.569.150 ludzi. Chociaż najwyższe spożycie alkoholu w Polsce jest bezwzględnie znacznie niższe, niż w innych krajach, tak, że *Polskę można zaliczyć do krajów najbardziej umiarkowanych*, to jednak wypicie w jednym roku tak olbrzymiego jeziora trucizny trzeba uznać za ilość bardzo dużą. Jeżeli nawet weźmiemy pod uwagę spożycie alkoholu z roku 1932, więcej niż o połowę zmniejszone w stosunku do roku 1928, to jeszcze nie można mówić o spożyciu małem, bo przecież i ta zmniejszona ilość wystarcza do zatopienia 750 tysięcy ludzi. Wobec faktu, że każda flaszka wypitej wódki rodzi najpotworniejsze zbrodnie, musi każdy człowiek przyznać, że dopóki istnieje powszechne używanie alkoholu, nigdy nie jest ono małe, bo zło z natury rzeczy małem być nie może.

Zmiana stopnia spożycia alkoholu nie jest przypadkowa, ale cechuje ją pewna regularność. Do roku 1928 spożycie podwyższa się z roku na rok, następnie co roku jest coraz niższe aż do roku 1932, a w ostatnich dwu latach powraca stopniowe podwyższanie się.

Sprawa ta domaga się wyjaśnienia. Wiadomo, że zasadniczą przyczyną używania napojów alkoholowych jest sam alkohol-narkotyk przez amatorów zawsze pożądany. Pożądanie alkoholu jest tem większe, im więcej się pije, więc zgodnie z takim stanem rzeczy roczne spożycie alkoholu powinno być coraz wyższe, a przynajmniej co roku jednolite. Gdy jednak po bardzo wysokiem spożyciu następuje gwałtowny spadek i to aż poniżej połowy, muszą zachodzić jakieś inne przyczyny, niż samo pożądanie trunku.

Obok pożądania narkotyku alkoholizm ma swe przyczyny gospodarcze. Badanie alkoholizmu w różnych krajach i różnych czasach doprowadza do wniosku, że większemu spożyciu napojów alkoholowych sprzyja wyższy stan powszechnego dobrobytu. Najwyższe spożycie alkoholu na głowę mieszkańca przypada na kraje o najwyższej zamożności, a we wszystkich krajach lata wojny, która wyniszczyła całą Europę gospodarczo, zaznaczyły się bardzo wielkim spadkiem spożycia alkoholu.

Wzrost i obniżka spożycia alkoholu w Polsce zjawia się nie w jakichś przeskokach, ale posuwa się równomiernie i równolegle z latami wyższej, lub niższej zamożności społeczeństwa. Stopień zamożności daje się łatwo zmierzyć nabywaniem artykułów pierwszej potrzeby, szczególnie tak niezbędnych jak sól, zapałki i cukier.

Spożycie soli i cukru na głowę mieszkańca wynosiło:

w roku	*sól*	*cukier*
1929	17.2 klg.	13.1 klg.
1930	11.4 „	11.3 „
1931	15.3 „	10.1 „
1932	11.3 „	9.2 „

Zakup zapałek (w jednostkach 1000 skrzyń po 5000 pudełek) wynosił w roku 1932 = 107, 1933 = 94, 1934 = 82.

Powyższe cyfry dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że ludność kraju doszła do ubóstwa graniczącego z nędzą, skoro, nie mówiąc już

o cukrze, nie miała za co kupować soli, a w roku 1934 zakupiono mniej o 125.000.000 pudełek zapałek za kwotę o 1.250.000 zł. mniejszą, niż w roku 1932. Znaczy to tyle, że poprostu w 125 miljonach wypadków brakło obywatelowi 10 groszy na kupienie zapałek, bez których musiał się obejść, podejmując trud przyniesienia ognia od sąsiada, lub wykrzesania go z krzesiwa. Gdy obywatela nie stać na kupienie sobie ułatwienia życia, kosztującego 10 groszy, to w takim roku zjawisko zmniejszenia się spożycia tak zbytkownego napoju, jak alkohol, musi być zupełnie naturalne.

Spoglądając na zmniejszenie się spożycia alkoholu na tle lat tak bardzo kryzysowych, zmuszających do obywania się bez soli, wypadnie spożycie alkoholu zmniejszone do 0.70 l. na głowę ocenić, jako bardzo wysokie, bo głodującej nędzy nie stać na najmniejsze nawet spożycie alkoholu.

Nieznaczne podwyższenie się spożycia alkoholu w ostatnich dwu latach nie oznacza ogólnej poprawy bytu, ale jest przelotnym skutkiem wysiłków Dyrekcji Państwowego Monopolu Spirytusowego, przedsięwziętych w celu zwiększenia sprzedaży wódki, przez znaczne obniżenie cen.

Lwów. *Mikołaj Skiba.*

LIST DO REDAKCJI *).

Kalisz, dnia 18 listopada 1935 r.

Do

Szanownej Redakcji „Trzeźwości".

Rok blisko mija od chwili, jak na Kursie alkohologji w Warszawie zapadła rezolucja b. uczestników Kursów powołania do życia koła byłych słuchaczy Kursów alkohologji, urządzanych od szeregu lat przez Państwową Szkołę Higjeny, w porozumieniu z Tow. „Trzeźwość".

Myślą inicjatorów podobnej organizacji było powołanie do życia łańcucha ludzi z pewnemi kwalifikacjami, zdobytemi na Kursie w celu planowej propagandy myśli i zasad poznanych i utrwalonych na Kursie wśród swego środowiska.

Nie wiemy dotąd, czy powyższa inicjatywa, formalnie przyobleczona w realne formy, rozpoczęła już swoją działalność, czy też nie?

Jeżeli już, to prosimy o wiadomości bliższe, jeżeli nie — to uprzejmie prosimy o łaskawe ruszenie tej sprawy z miejsca, mianowicie o zebranie danych z całego terenu Rzeczypospolitej od byłych Słuchaczy, czy deklarują swój udział drogą kwestjonarjusza przesłanego do wszystkich

---

*) Od znanego i zasłużonego działacza społecznego i przeciwalkoholowego ks. proboszcza Jerzego Bekiera otrzymaliśmy list, który podajemy z największą gotowością, gdyż porusza on sprawę dla nas niezmiernie bliską i ważną — organizacji byłych słuchaczy Kursów alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny.

Wyrażamy niepłonną nadzieję, że odzew ks. Bekiera wywoła należny oddźwięk wśród byłych słuchaczy Kursów alkohologji. *(Red.)*

b. słuchaczy. My ze swej strony z terenu Kaliskiego deklarujemy już na początek 6 członków, i zobowiązujemy się w najbliższym czasie stworzyć pierwsze koło prowincjonalne z pewnym regulaminem działania, jak również ze swej strony gotowi jesteśmy podzielić się z Głównym Zarządem, o ile taki zostanie powołany do życia, pewnemi myślami i projektami, które możnaby było z powodzeniem w kole b. Słuchaczy realizować i przeprowadzać.

W związku ze zbliżającym się Kursem i nowemi kandydatami do tej organizacji, sądzimy, że tych kilka słów będzie na czasie.

Z poważaniem

w imieniu b. słuchaczy Kursów Alkohologji
z terenu Kaliskiego

Ks. Jerzy Bekier.

PRZEMYT ALKOHOLU I TAJNE GORZELNICTWO W POLSCE.

W ciemną, bezksiężycową noc, graniczny pies „Betlejek“, trzymany na lince przez będącego w obchodzie starszego strażnika Koperę, targnął się niecierpliwie, zdradzając swem zachowaniem bliską obecność jakichś niewidocznych ludzi.

— Spokój, piesku, spokój — pochwalił go strażnik, spuszczając z uwięzi, oraz zdejmując z ramienia i odbezpieczając karabin.

Pies, jak strzała, pomknął w kierunku na prawo od słupa granicznego. Stamtąd, po chwili rozległo się jego gorące ujadanie.

Już go dopadł, pomyślał polski strażnik na pograniczu niemieckiem i ruszył do miejsca, skąd odzywało się szczekanie czworonożnego prześladowcy przemytników. Po chwili był już na miejscu, gdzie dookoła wystraszonego szmuglera, wyglądającego jak dwugarbny wielbłąd, biegał zmyślny zwierzak, usiłując dobrać mu się do spodni.

— Ręce do góry! — zakomenderował imacz, poczem obmacał zatrzymanego, przytyknąwszy palcem w pełne pruskiego spirytusu, nabrzmiałe pęcherze, zwisające na plecach i piersiach przemytnika.

Transport spirytusu wynosił około 7-iu litrów. Taka objętość tej chemikalji, oznaczonej naukowo C_2H_5OH, a otrzymanej z fermentacji kartofli, czy zboża nie przedostała się do Polski, dzięki straży granicznej.

Taki, codzienny epizodzik rozegrał się na pograniczu polsko-niemieckiem.

Był on spokojny i bezkrwawy. Nieraz bywa gorzej, a wtedy ciszę pogranicza zakłóca okrzyk „Stój! straż graniczna“ poprzedzający gromki odgłos wystrzału, świst kuli, a nieraz bolesny okrzyk trafionego przemytnika, po którym ściekający, szmuglowany alkohol nieraz miesza się z krwią.

Cóż pcha tych ludzi do tego szalonego ryzyka, opłacanego nieraz krwią, kalectwem, a nawet śmiercią? — Pieniądz!

Tak, pieniądz — od chętnych uraczenia się, do bezpamięci, tanią „brandką“, czyli przemyconym spirytusem.

W poznańskiem i na Śląsku fabrykowanie samogonu jest minimalnie rozpowszechnione, bowiem blizkość Niemiec, oraz Czechosłowacji ułatwia zakupywanie spirytusu od przemytników, korzystających za granicą ze specjalnych zniżek oficjalnych t. zw. eksportowych.

Na Pomorzu spotyka się w handlu nielegalnym nasz polski spirytus monopolowy, sprzedawany bardzo tanio.

Spirytus ten, przeznaczony jest na eksport z Polski zagranicę, sprzedawany jest przez P. M. S. eksporterom po cenie znacznie tańszej od ceny obowiązującej w kraju. Nieraz polski spirytus sprzedany zagranicę wraca do kraju w charakterze... przemyconego.

Centrem obrotu spirytusowego, oczywiście nielegalnym, jest Gdynia. Zdarza się tam nieraz, że nieuczciwi eksporterzy, po zakupieniu wódek, wywożą transporty łodziami motorowemi, poza zasięg polskich wód terytorjalnych i tam przeładowują je na statki rybackie, które przemycają alkohole spowrotem na wybrzeże polskie.

Płytko zanurzone małe kutry rybackie mogą w każdem miejscu, zwłaszcza wśród nocnej mgły, przybić do brzegu, uniknąwszy oczu i reflektorów flotylli straży granicznej.

Również mogą one wpłynąć do którejś z rzeczek, wpadających do Bałtyku i przybić do umówionego miejsca na wybrzeżu, gdzie czekają już samochodowi przedsiębiorcy, dla dalszego przewiezienia spirytusu w głąb kraju.

Przemytem takim trudni się wiele kutrów rybackich. Najsłynniejszym z nich był „Wodys“, który dokonał wielu zakonspirowanych wypraw na pełne morze dopóki niezainteresowała się nim straż graniczna.

Załoga „Wodysa“ składała się z bandy cudzoziemców o przeszłości godnej pióra Conrada, Jacka Londona, a conajmniej Travena. Na Bałtyku również zastosowali nasi przemytnicy, wzorem amerykańskich kolegów, specjalne torpedy przemytnicze.

Są to długie cygarowate przyrządy, zespalające stertę metalowych zbiorników ze spirytusem, ustawionych jedna na drugiej. Taką torpedę uwiązuje się, za ucho, pod łodzią i ciągnie na linie.

Przy zbliżeniu straży granicznej torpedę się odczepia i zatapia w Bałtyku, na którego falach chybocze się jedynie, dla zaznaczenia miejsca, maleńki pływak.

Przenieśmy się teraz na twardy grunt w głąb państwa, gdzie mniej jest przemytu, natomiast gdzie bardziej kwitnie tajny przemysł gorzelniczy.

Fabryczek spirytusu najwięcej jest na Kresach Wschodnich, gdzie procederowi temu sprzyja niebywale tam rozwielmożnione pijaństwo wśród wiejskiej ludności. Nie mogąc nabyć spirytusu Państwowego Monopolu, którego litr kosztuje przeszło 10 złotych, chłop pije samogon. Tajny producent może odprzedawać swój samogon za 5 złotych litr, zarabiając na tem około 4 złotych i pół. Oczywiście, że takie gorzelnictwo sowicie się opłaca, wobec czego w Polsce działa stale około 20 tysięcy tajnych „interesów“. Na Wileńszczyźnie, Polesiu i Wołyniu prawie w każdej chałupie znajduje się prymitywna instalacja do pędzenia samogonu, nawet nie dla celów handlowych, ale na własny użytek.

Do najczęstszych sposobów fabrykowania wódki należy odkażanie denaturatu z domieszek trujących i barwiących. Odbywa się to drogą

dystylacji, co jednak często zawodzi, gdyż dokładne oczyszczenie spirytusu skażonego wymaga znajomości tej dziedziny chemji, oraz posiadania skomplikowanych maszyn.

W wyniku raczenia się tak domorośle odkażonym spirytusem trafiają się częste wypadki zatruć, powodujących oślepnięcie, a nieraz nawet i śmierć. O wiele rzadziej zdarza się wykryć, jeżeli chodzi o pędze-



Torpeda przemytnicza, używana bynajmniej nie przez amerykańskich przemytników alkoholu, lecz przez „naszych" krajowych na Bałtyku, przychwycona przez Straż Graniczną.

nie spirytusu na własny użytek, urządzenia gorzelnicze do wyrabiania go ze zboża, kartofli, lub melasy. Instalacje takie są zbyt skomplikowane i kosztowne dla pojedyńczego konsumenta, to też posiadają je w pierwszym rzędzie tylko takie fabryczki, które mają liczną klijentelę, a co zatem idzie i zwiększony zbyt.



Kamizelki dla przemytu sacharyny i narkotyków, t. zw. „mecje". Ubiór ten specjalnie zastosowany do przemycania, składa się z szeregu kieszeni, mogących pomieścić od 5 kg. do 20 kg. zakazanych chemikalij.

Jak już zaznaczyłem, tajnych gorzelni jest w Polsce dużo, ale największa ich ilość przypada na kresy wschodnie, a to z racji braku komunikacji i niedostępności.

Oddalenie wsi od szos i dróg, rozmokłe grunta, gęste lasy, częste bagna, rzeki i jeziora, porosłe sitowiem i oczeretami, sprawiają, iż zakonspirowanie tajnych gorzelni jest tam ułatwione. Niezamieszkałe połacie Wileńszczyzny i Wołynia są również terenami odpowiednimi dla tajnych gorzelanych, z którymi walkę prowadzi kontrola skarbowa, policja, K. O. P. i straż graniczna. By ukryć swoją działalność przed funkcjonarjuszami władz skarbowych i policyjnych, trapiących ustawicznie rodzimych bootlegerów, chwytają się oni niezwykłych sposobów dla zakonspirowania swoich „przedsiębiorstw". Na obfitującem w jeziora i rozlewiska Polesiu wbudowuje się często kadzie i aparaty do pędzenia wódki na łodziach. „Gondola" taka, ukryta gdzieś w sitowiu, daleko od ludzi, funkcjonuje bez obawy zdradzenia się dymem, czy też zapachem. Gdy fabrykant spodziewa się niebezpieczeństwa, o którem donoszą mu wtajemniczeni rybacy i pastuchy, wyjmuje uszczelniony kołek z dna łodzi i w ten sposób zatapia całą fabryczkę w wodzie, pamiętając o odpowiedniem zaznaczeniu miejsca, gdzie na dnie spoczywa, chwilowo unieruchomione przedsiębiorstwo.

Gdy niebezpieczeństwo, w postaci obławy, czy też patrolu wodnego, przejdzie, aparaturę, wraz z łodzią, wyławia się z dna i uruchamia intensywnie dla pokrycia kosztów, wynikłych z jej chwilowego unieruchomienia. Również istnieją ruchome wytwórnie samogonki zmontowane na wozach chłopskich. Taka „lotna gorzelnia" ciągle zmienia miejsce swego pobytu, zwłaszcza po lasach, fabrykując stale po drodze samogonkę.

Tajne gorzelnie są bardzo różnorodne. Najprymitywniejsze z nich składają się z paleniska, kotła, kadzi i rur. Inne są zupełnie nowoczesne, posiadające najnowsze modele aparatów pędnych. Skala rozpiętości produkcji takich fabryczek również jest rozmaita. Niektóre zdolne są do dziennej produkcji od 5 do 10 litrów spirytusu. Drugie produkują dziennie do 500, a nawet i więcej.

W taborze wykrytej w swoim czasie „gorzelni na kołach", działającej w rozległych lasach, tuż przy granicy bolszewickiej, znaleziono 8 tysięcy litrów spirytusu.

Niema poprostu miejsca, gdzieby nie można było ukryć gorzelni. Rekord pomysłowości biła jednak tajna gorzelnia, zmontowana pod Równem w Kołodence na strzelnicy wojskowej. Sprzęt pędny ukryty był pod wałem obronnym tuż przy tarczach, ostrzeliwanych przez żołnierzy z karabinów ręcznych, a nawet maszynowych. W ten sposób bezwiednie, wojsko ogniem swej broni uniedostępniało dostęp do fabryczki samogonu.

Znaleziono również sprzęt gorzelniany ukryty na cmentarzu, w dowcipnie obmurowanym, większym grobie.

W grudniu roku 1935 wykryła straż graniczna tajną gorzelnię pod Nowym Sączem w trupiarni. „Dyrektorem" tej instytucji był grabarz wraz z pomocnikami.

Ludzie wogóle, za życia, omijają cmentarze. Dlatego w tem nieuczęszczanem miejscu mogła funkcjonować gorzelnia. Ale dzielni funk-

cjonarjusze płk. Jura-Gorzechowskiego nie ulękli się cmentarza i truposzów.

Inny ciekawy wypadek miał miejsce w Warszawie. Władze skarbowe z początku natrafiały systematycznie, w rozmaitych podejrzanych szynkach, na wódkę nie monopolowego pochodzenia, a sprzedawaną niezwykle tanio. Wywiady, trwające przeszło dwa miesiące, ustaliły, że wódka rozchodzi się z domu przy ul. Święto Jerskiej Nr. 34, w którym mieszczą się hale targowe.

Po ustaleniu tych faktów władze bezpieczeństwa otoczyły dom i rozpoczęły szczegółowe rewidowanie wszelkich izb, oraz pomieszczeń.

Bezskutecznie zrewidowano cały dom, aż wreszcie rewidenci zeszli do ciągnących się na dłuższej przestrzeni, pod domem i halami, piwnic



Przemyt w kataryncc. Typowy przemytnik z pogranicza śląskiego, wędrowny kataryniarz, w którego muzycznym sprzęcie wykryto transport kokainy.

Lochy te, mogące śmiało konkurować z podziemiami paryskiemi, opisywanemi przez Wiktora Hugo, ciągną się na przestrzeni paruset metrów, tworząc ponure i cuchnące rozgałęzienia pełne wody i olbrzymich rudowłosych szczurów.

Po dłuższej wędrówce podziemnej wywiadowcy znaleźli się przed drzwiami, zamkniętemi na kłódkę, do których klucza oczywiście „nikt“ nie posiadał. Drzwi wyłamano, a za niemi ten sam los spotkał i drugie.

Wywiadowcy znaleźli się w olbrzymiej nowoczesnej gorzelni, zdolnej do wyrabiania do 200 litrów spirytusu dziennie. Przy fabrykacji zastano trzech „dyrektorów“ gorzelni w osobach: Izraela Chodaka, Joska

Rozenfelda i Srula Rozenbauma. Gorzelnia ta produkowała najlepszy spirytus — z cukru.

W fabryce tej odkryto trzy olbrzymie kadzie z zacierem i kilkadziesiąt litrów wyprodukowanego już spirytusu.

Fabryka ta działała od dwóch miesięcy, a co zatem idzie, zdążyła wyprodukować 6 tysięcy litrów nielegalnego spirytusu! Również swego rodzaju sławę zdobyła na Wołyniu Helena Bulbina z Rzytynia.

Wytoczono jej 18 spraw sądowych za konkurowanie z monopolem. Najsłynniejszym organizatorem lotnych gorzelni na Kresach był Uszer Ponimański z Tuczyna.

Był on hojnym pracodawcą, gdyż pracownikom swoim płacił 10-złotową dniówkę, oraz sitzgeld — odszkodowanie za areszt, w tej samej wysokości, od dnia przebywania za kratami.

By przemysł taki dawał dochody, musi istnieć szeroko rozgałęziona sieć stałych odbiorców. Masowe wytwarzanie samogonu sprawia, że odbiorcami tego płynu są przeważnie nie pojedyńczy chłopi, ale podejrzani handlowcy z prowincjonalnych miast, jak: ostatniorzędne piwiarnie, herbaciarnie, oraz podrzędne szynki.

Takie maleńkie np. Dubno posiadało 28 piwiarni, gdzie stwierdzono tajny wyszynk. Równe zaś posiadało identyczne 82 lokale, gdzie goście raczyli się alkoholem.

Nie zawsze tylko fachowcy, jak policjanci, kopiści i strażnicy graniczni, mają szczęście wytropienia, a co zatem idzie, zlikwidowania tajnej gorzelni.

Trafia się to i laikom, nawet niekoniecznie amatorom-detektywom, jak to ostatnio miało miejsce, na kresach wschodnich, z paroma akademikami warszawskimi.

Przed ferjami letniemi, jeden z profesorów Politechniki polecił swoim słuchaczom dokonania pomiarów inwentaryzacyjnych pewnej starej bożnicy.

Architekci in spe wzięli się ochoczo do dzieła i po przyjeździe do miasteczka, gdzie mniejszość narodowa stanowi grubą większość, natychmiast odwiedzili rabina z prośbą o udzielenie prawa wstępu i dokonania wewnętrznych pomiarów świątyni.

Siwobrody starozakonny duszpasterz zastanowił się, jak przystało na mądrca, chwileczkę i pozwolenia adeptom wiedzy udzielił.

Po spisaniu długości, szerokości i rozmiarów kątów i t. p., akademicy zainteresowali się sklepieniem i po schodkach zapragnęli dostać się pod strop bóżnicy. Tu jednak nabożny rebe postawił veto, twierdząc, iż zakon zabrania inowiercom włażenia do góry na strych.

Akademicy oczywiście, przynajmniej narazie, zgodzili się z rytualnem stanowiskiem rabina i zaniechali pomiarów strychu i dachu.

Wkrótce rabin udał się na przechadzkę, z paroma przemyślnemi akademikami, interesującymi się innemi zabytkami miejscowej architektury, gdy tymczasem inni dostali się ponownie do bożnicy, tym razem drogą nielegalną.

Oczywiście, że celem ich wędrówki był „zakazany zakonem" strych. Akademicy dobrnęli na górę i aż zdębieli z podziwu przewidującego „zakonu" religji mojżeszowej, bowiem na górze mieściła się nowocześnie urządzona gorzelnia i destylarnia.



Tajna gorzelnia wraz z personelem, ujętym przez straż graniczną w Poznańskiem. Obok 7-iu „gorzelanych“ stoją funkcjonarjusze policji i straży granicznej. Na dole charakterystyczny, a zarazem prymitywny sprzęt gorzelniczy.

Za takie interpretowanie paragrafów talmudycznych, nabożny rebe zetknął się z paragrafami, ale... kodeksu karnego, co dało mu możność studjowania ich praktycznego, na koszt ministerstwa sprawiedliwości i to przez czas dłuższy.



Aparatura tajnej gorzelni, wykryta na Polesiu, wraz z jej dwoma „dyrektorami“, nielegalnymi konkurentami kolegów z monopolu spirytusowego.

Mimo ciągłego prześladowania tajnych gorzelanych przez policję i władze sądowe, z powodu niskich kar, oraz grzywien sądowych, każdy taki zatruwacz ludzi, po odsiedzeniu kary, natychmiast ponownie wraca do „zajęcia“.

Wielki zysk zachęca fabrykantów do kontynuowania tego lukratywnego procederu, czego przykładem jest wspomniana przezemnie Bulbina.

Walka z tajnem gorzelnictwem da rezultaty, o ile w umysły od dziecka wpajane będzie zrozumienie szkodliwości picia alkoholu wogóle i samogonu w szczególności.

Mało uświadomieni chłopi nie zdają sobie sprawy z ryzyka picia samogonu, przetwarzanego z trującego denaturatu, czego dowodem są liczne choroby, powstałe na skutek zatruć po raczeniu się tego rodzaju produktami, a nawet nierzadkie bywają wypadki ślepoty i śmierci.

Michał Godlewski.

JAKA TO LITERATURA?

„Słownik Pijacki i Antologja Bachiczna“ Juljana Tuwima (Warszawa, „Rój“, 1935, str. 303 + 1 nl. Ilustrował Feliks Topolski) zawiera niezwykle bogaty materjał.

Zgodnie z tytułem, książka dzieli się na dwie części, część pierwsza: „Słownik“ zawiera zbiór „wszelkich pijactwa dotyczących wyrazów“ i, według autora, liczy ich do dwóch tysięcy, — część druga, to antologja poetycka (od początków poezji polskiej do końca wieku XVIII).

Jaknajgoręcej należy przyklasnąć myśli podobnego wydawnictwa. Pijaństwo odegrało u nas rolę tak wielką, tak potężną i fatalną zarazem, że podobny przegląd i zestawienie jego objawów i odbicia w mowie polskiej i literaturze są wysoce ciekawe i pouczające.

Ileż dowcipu i śmiechu euforycznego, ile bezmyślności i prostactwa pijackiego, ile cynizmu i wszeteczności, wyuzdania i chamstwa opilczego, obłędnego znajdujemy w zbiorze omawianym!

Genjusz rasy słowiańskiej — wesoły, beztroski, lekkomyślny, bogaty i wynalazczy objawia się tu w pełni i jaskrawo.

Słownictwo pijackie, ułożone pracowitą dłonią Mistrza Słowa polskiego, uderza i olśniewa swą zasobnością i zasmuca jednocześnie swym bujnym rozrostem; ileż to sił poszło przy jego kształtowaniu, ileż łez, krwi i niedoli ludzkiej ciąży na niem, ile upadku i zwyrodnienia?!...

Słownik zajmuje 120 stron druku i stanowi istną kopalnię wyrażeń i zawołań pijackich — tylko wielowiekowy i powszechny obyczaj pijacki mógł wytworzyć tak obszerne słownictwo specjalne.

Słownik opiera się na 434 źródłach drukowanych — jest więc wynikiem wielkiej i poważnej pracy.

Antologja zawiera przeszło 100 utworów poetyckich, lub ich urywków na tematy „bachiczne“ (lub „antybachiczne“).

Całość, jak już zaznaczyliśmy wyżej, stanowi zbiór dużej wartości, niezwykle interesujący.

Na tem poprzestalibyśmy, gdyby nie pewne „ale“ — gdzież niema

tego licha w dziele ludzkiem — a jest tu ono — zdaniem naszem — tak wielkie, że nie możemy go pominąć milczeniem.

Nikt nie może wymagać od podobnego rodzaju pracy, jak słownik, aby miał on jakiś specjalny charakter tendencyjny, np. aby stał na usługach propagandy przeciwalkoholowej, abstynencji i t. p. Byłby to z wielu powodów—nonsens. Ale za niewłaściwe również uznać należy nastawienie przeciwne trzeźwości i abstynencji. A cóż dopiero mówić, gdy Autor tendencji propijackiej wyraźnie hołduje, o czem niedwuznacznie oświadcza w przedmowie do książki. Dwa umiłowania były dlań pobudką do pracy: „umiłowanie słowa i trunku“.



I nie omylimy się chyba, wyrażając przypuszczenie, że układając swą pracę, miał Autor na myśli przedewszystkiem „miłośników słowa i trunku“. „Zawołanych pijaków“ liczy Autor w Polsce — „z pięć miljonów“ — licentia poetica! Zapewne tak, bo p. Skiba, autor cennej pracy „Alkoholizm, jako zagadnienie gospodarcze w Polsce“, oblicza, że pijaków u nas jest tylko około miljona.

A więc nie popełnimy chyba błędu, sądząc, że książka powstała w celu dogodzenia gustom i smakowi miłośników trunku. To stanowi jej „ale“. Kult słowa jest rzeczą wzniosłą, piękną i kulturalną w stopniu najwyższym. Kult alkoholu jest objawem ujemnym, patologicznym, destrukcyjnym i świadczy o braku tendencyj społecznych, albo o tendencjach antyspołecznych, wreszcie istnienie kultu alkoholu może dowodzić absolutnej nieznajomości zagadnienia alkoholizmu, kompletnej w tej dziedzinie ignorancji.

„W bezliku obrzędowych powiedzonek przy kieliszku poezji jest mało“ — stwierdza Wasylewski*) — rozmowy i dysputy pijackie są bezdennie głupie, ordynarne i płaskie, nie można więc, logicznie rzeczy biorąc, łączyć miłośnictwa słowa z miłośnictwem trunku — to zbyt duże nieporozumienie.

---

*) *Stanisław Wasylewski:* „„Świst-drżyst“ (Ocena omawianej książki Tuwima „Gazeta Polska“ z 16.I. 1935 r.).

„Alkohol rozwiązuje języki“, ale jak to czyni — świadczy właśnie „Słownik pijacki“; rozwiązując nasze ośrodki hamujące, kontrolujące, alkohol za wytwór dowcipu podaje zazwyczaj błazeństwa, lub głupstwa „percypowane na gorąco“ za dobrą monetę.

W czasach wielkich zaburzeń w organizmach społecznych — przeistoczeń i przemian psychicznych mas, istnych rewolucyj kosmicznych w świecie ludzkim, — poeta, poeta pierwszorzędny, sławiący kult alkoholu — nie pierwszorzędne sobie wystawia świadectwo!... Urok słowa ma podtrzymać urok alkoholu?... To gorzej, niż niewłaściwość, lub omyłka. Czyż nie było lepiej sprawę tę pozostawić na uboczu? Może Autor powie-



dzieć: — byłaby to ohydna hipokryzja. Tak — byłoby tak, gdyby Autor był młody — ale ta pierwsza młodość już minęła, bo przecież sam mówi w przedmowie, że „przestał na winie zasiadać“, — więc można odeń wymagać zastanowienia i krytycznego stosunku do zagadnienia alkoholizmu.

Kult „słowa i trunku“..., a przecież objawem jego były w Polsce upadającej niekończące się oracje i pijatyki szlachty, która przegadała i przepiła ogromne państwo.

Że książka Tuwima jest hymnem pochwalnym na cześć obyczaju pijackiego — świadczą o tem niektóre krytyki jej poświęcone: znajdujemy tam nastrój spójni duchowej „kompanii całej“. Na zew poety, czciciela trunku — odzew dusz bratnich — nie tyle może dla pracy istotnie cennej, ile dla atmosfery knajpy i jej obyczaju, zalatującej z kart słownika...

Gdy lud nasz w najcięższych warunkach wyciąga ręce po oświatę i wiedzę, gdy mimo głodu i chłodu dąży do światła i ideałów, czem się zajmują panowie w stolicy? — Co mu chce dać pierwszy poeta, chyba największy współczesny mistrz słowa w Polsce? — Pochwałę pijaństwa?

Można na to odpowiedzieć: hola, przesada — to przecież tylko „luksusowy kaprys poety“ (Stanisław Wasylewski). Może, ale w każdym razie szerzenie w ten, czy inny sposób, kultu pijaństwa w Polsce Odrodzonej uważamy za rzecz arcyszkodliwą.

Było u nas sporo chwalców trunku, ale niejeden z nich z wiekiem zmienił swoje zdanie. Np. Kochanowski w młodości wino apoteozował, a później tak pisał: „Jeśli człowiek rad się stworzeniem, a nie bestją widzi, czemu rozum, którym od zwierząt jest różny, dobrowolnie swym pijaństwem tłumi?"

Rozumu u nas w Polsce nigdy za dużo nie było, pocóż więc szerzyć kult trucizny, przedewszystkiem zabijającej rozum!?

Właśnie Słownik i Antologja Tuwima dają materjał, który w krzyczący sposób świadczy, do jakiego stopnia psychika narodu naszego została przesiąknięta oparami alkoholowemi, obyczajem pijackim, kultem trunku, za którym wloką się nieuniknienie najgorsze klęski społeczne, jak pauperyzm, gruźlica, choroby weneryczne, zwyrodnienie.



Gdyby Tuwim nie był Tuwimem, ale przeciętnym skrybą — nie rozwodzilibyśmy się tak obszernie nad jego kultem dla trunku, ale... noblesse-oblige.

Zagadnienie sztuki jest wieczne, jak życie i jak ono nierozwiązalne, stosunek nasz do literatury i jej zadań również niesłychanie trudno określić, ale gdy myślę o takiem zjawisku, jak szerzenie kultu trunku (choćby nieświadome, choćby mimowolne) przychodzą mi na myśl słowa Matlakowskiego o dwu literaturach (r. 1894):

„Są dwie literatury: literatura bolejących i cierpiących, szukających i protestujących, bojowników i zwycięzców, krwawiących sercem i łkających szyderców, literatura Joba, Jeremjasza, Ezechjela, Dantego, Cerwantesa, Lope de Vegi, Byrona, Dickensa i Thackeraya, Carlylea i Ruskina, Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, Gogola i Dostojew-

skiego, Turgeniewa i Tołstego. I jest druga literatura pięknej formy, pochlebców, dworaków i zbytkownisiów, umysłów służalczych i samolubnych. Oni dawno przeszli na stronę potężnych tego świata, dla których wszystko stoi otworem, przed którymi wszystko się chyli. Znalazłszy się



tam zapomnieli o tłumie cierpiących, o znoju i cierpieniach, o wysiłkach i poronieniach życiowych, o litości i dobroci — całkowicie oddali się malowaniu zbytku i rozkoszy. W porównaniu z serafickiemi duchami czuć w nich karjerowiczowskie zawiści, pożądanie setnych, tysiącznych wydań, honorów Akademji, zbytku i rozgłosu; czuć bezmierne zajęcie się sobą



(pamiętniki Goncourtów). W swojej dumie artystycznej, uważając rządzenie społecznością, zapasy polityczne, walki o zasady państwowe, dociekania religijne, spory moralistów, usiłowania wychowawcze, pomysły filantropijne, środki społecznej poprawy za czcze, ckliwe, puste i nudne, wyzbyli się ludzkiej zasady szerokiego światopoglądu, zobczeli dla zasady „homo sum“, zacieśnili do cechu, zwęzili serce swoje i umysł“...

„Ci fanatycy, ci budziciele, ci gorliwcy stanowią jasną stronę ludzkich dziejów i zasługują na cześć bałwochwalczą. Pisarze romansów i sztuk teatralnych w naszych czasach nie są owymi budzicielami, nie niosą no-

wej siły, lub otuchy; nie wloką społeczeństwa. Oni są tylko świetnemi zwierciadłami pewnych dziedzin; przylgnęli do złota, przepychu i zbytku; przy całej dumie i niezależności swojej stali się służkami warstwy zbytkującej i próżniaczej, a dzieła ich są tylko przymnożeniem przyjemności wyżytym i rozpustnikom, lub bezmyślnie ciekawskim".

Rzecz jasna, powyższych słów Matlakowskiego, zbyt jednostronnych, zbyt przepojonych goryczą, w niejednym wypadku przesadnych, nie można i w setnej części odnosić do świetnego tłomacza Puszkina, ale nie naszą jest winą, że Tuwim głuchy i obojętny pozostał dla sprawy walki ze społeczną klęską alkoholizmu, że omawiane „dzieło jego jest tylko przymnożeniem przyjemności wyżytym i rozpustnikom, lub bezmyślnie ciekawskim" — nie nasza to wina, lecz zbyt długotrwałego widać kultu trunku..

Wobec wielkiego znaczenia książki pod względem nagromadzonego w niej materjału — ma ona dużą wartość nie tylko dla bibljo i bibo-filów, ale i dla działaczy przeciwalkoholowych — może ona być istną kopalnią argumentów przeciw alkoholizmowi, przeciw używaniu trunków, przeciw kultowi pijaństwa. Zależy to od tego w czyje się dostanie ręce; dla nieuświadomionych będzie służyć do gloryfikacji alkoholu; w ręku abstynenta będzie doskonałą bronią przeciwalkoholową!

Zewnętrzna szata książki piękna — liczne rysunki Topolskiego świetne, korekta wysoce staranna, wykonanie graficzne bez zarzutu — wszystko to wraz z wyżej omówioną tendencją propijacką pozwala wróżyć, że rychło ukaże się drugie wydanie — oby nie zawierało już ono apologji nałogu, a było tylko tem, czem być powinno: słownikiem i antologją *).

Jan Szymański.

WALKA Z NARKOMANJĄ.

Juljan Firstenberg, Vice-Prokurator Sądu Okręgowego: „Walka z narkomanją i handlem narkotykami na terenie sądowym", Warszawa, 1935, str. 36. Nakładem Księgarni F. Hoesicka.

Literatura polska, dotycząca walki z narkomanją, jest niezmiernie uboga. Nic dziwnego, zainteresowanie tym odcinkiem życia ograniczało się do lekarzy, powiedzmy ściślej, lekarzy psychjatrów i neurologów. Obecnie krąg ten powiększył się. Walka z narkomanją, prowadzona na szeroką skalę na terenie międzynarodowym, jest również w Polsce przedmiotem badań i wysiłków władz sądowych, administracyjnych i policyjnych; lekarze i aptekarze poświęcają jej wieczory dyskusyjne. Broszurka prokuratora Firstenberga ukazała się zatem bardzo na czasie i pracę tę należy powitać z uznaniem. Jest ona napisana zwięźle i jasno, podaje obowiązujące ustawodawstwo polskie, zajmuje się szerzej przestępstwami, związanemi z narkotykami i ich zwalczaniem. Osobne grupy stanowią narkomani, lekarze, apteki. Odrębny rozdział poświęcono handlowi

---

*) Dzięki uprzejmości wyd. „Rój" — możemy podać kilka rysunków Feliksa Topolskiego, zdobiących „Słownik". (Red.)

nielegalnemu, w którym poważną rubrykę zajmuje handel eterem etylowym.

Pracę swą kończy autor szeregiem wniosków, nawołuje do ulepszenia istniejącego systemu ustawodawczo-administracyjnego, które sczasem winno doprowadzić do tego, aby uzyskanie na drodze t. zw. „legalnej“ narkotyku z apteki, lub eteru z drogerji na cele nielecznicze, to zn. dla zaspokojenia nałogu, stało się niemożliwością. Pozostałby wówczas tylko jeden odcinek walki z narkomanją, mianowicie dziedzina handlu nielegalnego.

Autor zna doskonale nietylko obowiązujące ustawodawstwo, ale miał w swoich rękach akta wszystkich spraw, związanych bezpośrednio z narkotykami, jakie przeszły przez Prokuraturę stołeczną, poczynając od 1932 r. Praca jego ma więc znaczenie dokumentu, z którym należy się zaznajomić i nad którym trzeba się głęboko zastanowić. Niektóre stronice wołają wprost na alarm. Tam, gdzie w grę wchodzi obrona państwa, wskazana jest zdwojona czujność i ostrożność.

Marja Sokalówna.

HARCERSTWO I WALKA Z ALKOHOLIZMEM.

Tomasz Piskorski. „Krąg Starszoharcerski. Wskazania organizacyjne, metodyczne i propagandowe“. Warszawa, 1935. (Biblioteki Starszoharcerskiej tom I). Str. 125.

Wywody autora poświęcone są myślom o organizacji, sposobach i celach działania starszego harcerstwa.

Rzecz nacechowana jest głębokiem przejęciem się ideałami harcerstwa, wiarą w te ideały i entuzjazmem. Sprawia to wysoce dodatnie wrażenie. Powiew zdrowej młodości unosi się nad tą pracą, pisanej z myślą o służbie społecznej w najlepszem tego słowa znaczeniu.

W założeniach idei harcerskiej w Polsce leży m. in. sprawa abstynencji, co było wynikiem ideologji pierwszych pionierów harcerstwa w Polsce — czynnych i gorliwych abstynentów.

W biegu lat rozwoju harcerstwa polskiego realizacja zasady absolutnej Trzeźwości napotykała na pewne trudności, które w ostatnich zwłaszcza czasach wzmogły się dosyć poważnie, czego wynikiem były projekty zmiany, lub nawet zniesieniu punktu prawa harcerskiego, traktującego o abstynencji.

P. Piskorski zagadnienie abstynencji porusza jedynie w końcu swej książki, gdzie, mówiąc o „starem“ harcerstwie, powiada: „Inicjatorzy tworzenia organizacji harcerzy - obywateli nie stoją na stanowisku konieczności praktykowania przez nich abstynencji od palenia i picia, gdy tymczasem stare harcerstwo, w mojem ujęciu, przestrzegać winno w pełni całego prawa harcerskiego, łącznie z drugą częścią jego dziesiątego punktu“ (str. 115) i dalej: „*Starych harcerzy winno w całości obowiązywać prawo harcerskie, a więc i ABSTYNENCJA.* Nie tu miejsce przekonywać, dlaczego i od osób dorosłych, nie będących przytem instruktorami, wymagać należałoby wyrzeczenia się tytoniu i alkoholu“ (str. 118) i w przypisku dodaje: „Nawiasowo dodam, że starzy harcerze winni nazewnątrz wyjść z hasłami zupełnej wstrzemięźliwości od alkoho-

lu i tytoniu i na terenie społeczeństwa stać się nieubłaganymi szermierzami w walce z wymienionymi nałogami. Nikt też może bardziej nie byłby powołanym, niż stare harcerstwo, do podjęcia akcji bezwzględnego tępienia: karciarstwa, różnych ruletek, totalizatora i t. p. nieszczęsnych głupstw, rujnujących życie osobiste, rodzinne i publiczne". Autor ma wielką rację — uniknęłoby się wówczas takich niewłaściwości, jak sprzedaż piwa, choćby tylko gościom w „dzielnicy handlowej", na Jubileuszowym Zjeździe Harcerstwa Polskiego w Spale.

Zanadto teoretyczne postawienie zagadnienia abstynencji w Harcerstwie, bez pogłębienia i uzasadnienia wewnętrznego — szkodzi sprawie, której służy Harcerstwo.

Jan Szymański.

„PRAWDA W OCZY" I P. MGR. WASZAK.

Umieszczając w Nr. 8—9 „Trzeźwości" recenzję broszury p. Mgr. Waszaka p. t. „Prawda w oczy" (U źródeł naszego ubóstwa), nie przypuszczałem ani na chwilę, by z powodu zwrócenia uwagi na niedokładność jednej cyfry, Szanowny Autor mógł się aż tak rozsierdzić, że w wystosowanym do mnie artykule w Nr. 11—12 „Świtu" z pominięciem literackich i towarzyskich zwyczajów, usiłuje mnie obrażać.

Pan Mgr. Waszak sądzi, że recenzję pisałem do niego i że jemu, samemu przecież wysoko uczonemu, dawałem nauki, a tymczasem ja pisałem dla czytelników „Trzeźwości". Zwracałem im uwagę na przydatność broszury p. Mgr. Waszaka, ostrzegając przytem przed jednym błędem, jaki w niej zauważyłem, a mianowicie, że w roku 1928 i 1929 spożycie spirytusu nie wynosiło *„całe 2 litry"*, jak podaje p. Mgr. Waszak, ale tylko 1.56 w roku 1928 i 1.55 w roku 1929, jak to obliczyła Dyrekcja Państwowego Monopolu Spirytusowego, jedynie kompetentna do ustalania cyfr spożycia spirytusu.

Bywa tak na świecie, że gdy autor znajdzie w recenzji słuszną poprawkę, to ją przyjmuje do wiadomości, by w następnem wydaniu błąd usunąć, a jeżeli poprawka jest niesłuszna, może autor publicznie wykazać, że się recenzent pomylił, a nawet złośliwie chciał umniejszyć wartość jego pracy.

Jedyną słuszną odpowiedzią p. Mgr. Waszaka na moją recenzję mogłoby być wskazanie źródła, z którego zaczerpnął w roku 1928 i 1929 „całe 2 litry" spirytusu na głowę mieszkańca, lub wykazanie, że P. D. M. Spir. podająca mniejsze ilości, myli się, bo sam autor posiada doskonalsze metody odszukiwania cyfr spożycia spirytusu. — Taką cyfrową odpowiedzią bardzoby mnie p. Mgr. Waszak przygnębił i upokorzył, bo musiałbym się wstydzić, że porwałem się z motyką na słońce.

Jednakże p. Mgr. Waszak, dając „odpowiedź", wcale na moją uwagę nie odpowiada, lecz pisze: „Nie mam ochoty prowadzić dyskusji, czy miałem słuszność, stawiając twierdzenie, że spożycie alkoholu w Polsce dochodziło przed rokiem 1930 do całych dwóch litrów".

Rozumiem! Zaiste trudno mieć ochotę do podejmowania dyskusji w sprawie, której nie można załatwić żadnem dyskutowaniem, lecz jedy-

nie tylko cyfrą, a powtóre największa nawet ochota do dyskusji musi odpaść, gdy się wie, że się nie ma słuszności.

Na szczęście bywa na świecie jeszcze jeden sposób obrony swojej racji, praktykowany u ludów pierwotnych. Polega on na tem, że gdy ktoś wie, że nie ma słuszności, a mimo to koniecznie chce, by jego racja była na wierzchu, wtedy krzyczy, wymyśla, a nawet bije. Nie pojmuję dlaczego p. Mgr. Waszak zdecydował się obrać właśnie ten drugi sposób, i, nie mając nic do napisania na korzyść swego twierdzenia, napisał w „Świcie" całą stronę „odpowiedzi", złożoną z zarzutów przeciw mej osobie, skonstruowanych w fantazji p. Mgr. Waszaka, a nie mających nic wspólnego ze spornem zagadnieniem.

Aby także czytelnicy „Trzeźwości" zaznajomili się z metodą zastosowaną przez p. Mgr. Waszaka, zwrócę uwagę przynajmniej na dwa szczegóły jego dyskusji. I tak p. Mgr. Waszak pisze: „Recenzent powinien przynajmniej w takim stopniu opanować dziedzinę, aby nie wygłaszać dziwolągów, budzących poważne wątpliwości co do jego znajomości statystycznych — jak np. zdanie: „Cyfr tych trzeba szukać w szeregu roczników różnych wydawnictw (?!), na co nie każdy ma dość czasu i nie każdy może sobie pozwolić na kupno całych stosów (!) roczników statystycznych (?)". To zdanie wystarczy, ażeby stwierdzić, że ma się do czynienia z dyletantyzmem, połączonym w dodatku z nadmierną pewnością siebie".

Ponieważ p. Mag. Waszak, opatrując pytajnikami i wykrzyknikami zdziwienia moje zdanie, przyznaje, że nie rozumie tego, co czyta, — chociaż staram się pisać popularnie, więc mu na przykładzie przystępnie wytłumaczę: otóż gdyby jakiś emerytowany pisarz gminny z zapadłej wsi Polesia chciał zająć się walką z alkoholizmem, a przedtem sam czegoś się dowiedzieć o ilościach wyrobu, spożycia, przywozu i t. d. napojów alkoholowych, to musiałby sprowadzić sobie z Warszawy z Głównego Urzędu Statystycznego co najmniej kilka roczników Rocznika Statystyki Polski, Małego rocznika Statystycznego, statystykę skarbową, Roczniki Handlu Zagranicznego i t. p. Te książki utworzyłyby cały stos na jego stole. Na zakup tych książek musiałby wydać dużo pieniędzy, bo w Świnogródku niema bibljoteki uniwersyteckiej, z której mógłby korzystać bezpłatnie. — Tak musiałby zrobić pisarz gminny z Świnogródka, gdyby nie było autorów w mieście, którzy w jednej broszurze zrobili z owych tomów odpis cyfr interesujących w tym wypadku pisarza gminnego z Polesia, tak jak to właśnie zrobił p. Mgr. Waszak, i przez dostarczenie taniej broszurki ułatwili mu poznanie tego, czego bez niej musiałby szukać w stosach tomów pism statystycznych, gdyż nie każdy śmiertelnik umie chwytać cyfry z powietrza i w dodatku wymagać, by nikt nie ważył się prawdziwości ich zakwestjonować.

Pan Mgr. Waszak pisze jeszcze: „oczywiście p. Skiba, autor książki na podobny temat, gotówby bodaj wszystkiego najgorszego się doszukać, jako że śmiałem w wielu sprawach mieć odmienne zdanie".

Jakaż to bujność fantazji! Co się mnie tyczy, nie zauważyłem, by p. Waszak w swej broszurze miał w jakiejkolwiek, a cóż dopiero w wielu sprawach, zdanie odmienne niż moje. Przeciwnie, na str. 17 prawie dosłownie powtarza moje zdanie, które w sprawie spożycia alkoholu

w Polsce wyraziłem na str. 6 mojej książki „Alkoholizm jako zagadnienie gospodarcze“.

Przypuśćmy jednak, że p. Mgr. Waszak ma odmienne zdanie niż ja, to pod przysięgą mogę p. Mgr. Waszaka zapewnić, że mnie to nic nie szkodzi i nic mi na tem nie zależy. Przecież w sprawach alkoholizmu zdanie odmienne niż ja, mają wszyscy browarnicy, fabrykanci wódek, szynkarze i pokrewne zawody, a wraz z nimi co najmniej 20 miljonów nieuświadomionych jeszcze w sprawie alkoholizmu obywateli Polski, a to wszystko także mi nic nie szkodzi. Wiedząc o tem, że tak dużo ludzi, ze szkodą dla siebie, ma o alkoholu zdanie inne niż ja, od lat przeszło 30 usilnie pracuję, by zdanie swoje zmienili, a chociaż tak bardzo trudno nieuświadomionych przekonać, wcale się na nich nie gniewam. Ani na browarników, ani na fabrykantów wódek, ani na szynkarzy, więc tem bardziej nie mógłbym się gniewać na jednego p. Mgr. Waszaka.

W pewnych wypadkach bardzo mi jednak zależy na uznaniu mego zdania. Tak np. cennym jest dla mnie faktem, że zgodne ze mną zdanie ma Ministerstwo Wyznań i Oświecenia Publicznego, które moje książki: „Wykłady o alkoholiźmie“ i „Alkoholizm jako zagadnienie gospodarcze“ poleciło jako podręcznik dla nauczycieli, a taka zgodność zupełnie mi wystarcza.

Jeszcze jedno: Pan Mgr. Waszak, chcąc widocznie zaimponować czytelnikom „Świtu“, przedstawia się, że posiada specjalne studja uniwersyteckie w zakresie statystyki.

To bardzo niedobrze! Kto bowiem ma wysokie studja uniwersyteckie, tego więcej niż kogo innego obowiązuje ścisłość w ogłaszanych pracach i więcej niż kogo innego obowiązuje uprzejmość. Jeśli zaś ktoś, mając wysokie studja uniwersyteckie w pracy z zakresu swej umiejętności, popełnia błędy i przy nich się upiera, a w pismach do recenzentów odzywa się niegrzecznie, to daje dowód, że mu się jego studja nie na wiele przydały.

Lwów. *Mikołaj Skiba.*

POLSKI KOMITET DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZWALCZANIA NARKOMANIJ.

(Sprawozdanie z Walnego Zgromadzenia 20.III. 35 r.)

Dnia 20 marca 1935 r. odbyło się walne zebranie Polskiego Komitetu do Spraw Narkotyków i Zwalczania Narkomanji w Sali Konferencyjnej Państw. Zakładu Higjeny przy ul. Chocimskiej 24 w Warszawie.

Obecni P.P.: Wice-prokurator J. Firstenberg, Prof. Br. Koskowski, Ks. M. Krygier, Prof. J. Modrakowski, Płk. Dr. J. Nelken, p. Kr. Piwowarczykowa, p. Marja Sokalówna, p. Nacz. W. Sokolewicz, Docent G. Szulc i Dr. J. Jakóbkiewicz. Usprawiedliwienie nieobecności nadesłali: Prof. J. Muszyński i Docent W. Łuniewski.

Porządek dzienny: 1. Odczytanie protokółu poprzedniego zebrania. 2. Sprawozdanie z działalności. 3. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej. 4. Budżet na rok 1935. 5. Wybór trzech członków Zarządu na miejsce ustępujących: Doc. G. Szulca, Min. W.

Chodźki i p. Marji Sokalówny. 6. Ukonstytuowanie się Zarządu. 7. Zagadnienie eteru. 8. Statystyka Narkomanji. 9. Zaostrzenie kontroli recept lekarskich. 10. Rozporządzenie wykonawcze o heroinie. 11. Wejście w życie art. 82 Kodeksu Karnego o internowaniu alkoholików i narkomanów. 12. Sprawa funduszu na walkę z narkomanją. 13. Wolne wnioski.

Zagaił zebranie p. Doc. G. Szulc. Na przewodniczącego walnego zebrania został obrany p. Płk. Dr. J. Nelken.

Protokół poprzedniego walnego zebrania z dnia 25 stycznia 1934 r. został po odczytaniu przyjęty i podpisany.

Na propozycję p. Przewodniczącego p. Doc. G. Szulc odczytał sprawozdanie z działalności Komitetu za rok ubiegły. W okresie sprawozdawczym Komitet odbył 2 zebrania: 9 lutego i 2 maja 1934 r. Poza organizacyjnemi zajmowano się sprawami: „Organu kontrolującego" — jako Urzędu Centralnego, składającego się z przedstawicieli zainteresowanych instytucyj (odnośnych Ministerstw, Prokuratury, Policji Państwowej i t. d.), mającego objąć sprawy nie tylko walki z narkomanją, ale i handlu żywym towarem i dziećmi;

włączeniem do rejestracji środków odurzających genomorfiny;

projektami Min. Op. Społ. uzupełniającemi dotychczasowe rozporządzenie o trybie postępowania przy przywozie i wywozie substancyj i przetworów odurzających, jak np. heroiny i innych;

nieodpowiedniemi pozycjami programowemi „Polskiego Radia", jak np. odczyty „Przemytnik haszyszu", lub gramofonowej płyty pod tytułem „Cocaine" i t. p., projektem utworzenia poradni dla narkomanów przy T-wie Eugenicznem; projektem ankiety w stosunku do narkomanów i alkoholików celem stwierdzenia rozpowszechnienia narkomanji i alkoholizmu w Polsce;

Zarząd zawiadomił odnośny Urząd w Lidze Narodów o składzie Komitetu i o pracach podjętych. Liga Narodów w komunikacie swoim sprawozdawczym za rok 1933 umieściła informacje o sprawach Halperna z Warszawy i sprawę chorzowską.

W myśl powziętej na ostatniem Walnem Zgromadzeniu uchwały Zarząd Komitetu zainicjował w Towarzystwie Farmaceutycznem odczyty z dziedziny walki z narkomanją. Docent Dr. G. Szulc wygłosił odczyt „Narkomanja jako zagadnienie higjeny społecznej".

Zarząd zwrócił się do Polskiego T-wa Kryminologicznego z propozycją współpracy w dziedzinie walki z narkomanją i pozyskał cenną współpracę bardzo czynnego w tym zakresie Wice-Prokuratora Sądu Okr. Warsz. p. J. Firstenberga, jak również jeszcze 2-ch kooptowanych członków: redaktora miesięcznika „Trzeźwość" p. J. Szymańskiego i p. D-ra J. Filipczaka.

Po zreferowaniu sprawozdania finansowego p. Naczelnik W. Sokolewicz odczytał protokół Komisji Rewizyjnej treści następującej. Dnia 20 marca 1935 roku Komisja Rewizyjna w składzie: p. Dziekana Bronisława Koskowskiego, p. Dziekana J. Modrakowskiego i p. Naczelnika Wacława Sokolewicza dokonała rewizji ksiąg i dokumentów Polskiego Komitetu do Spraw Narkotyków i Zapobiegania Narkomanji i znalazła je w zupełnym porządku.

Walne Zebranie na wniosek Przewodniczącego uchwaliło absolutorjum dla ustępującego Zarządu Komitetu, poczem uchwalono budżet na rok 1935.

Następnie przystąpiono do wyboru nowych członków do Zarządu Komitetu na miejsce ustępujących: G. Szulca, W. Chodźki i p. Marji Sokalówny. Na wniosek p. Przewodniczącego Walne Zebranie jednogłośnie wszystkich troje ustępujących członków ponownie obrało do Zarządu.

Następny punkt „Zagadnienie eteru“ spadł z porządku dziennego spowodu nieobecności p. Ministra Chodźki.

Punkt 8 porządku dziennego: „Statystyka Narkomanji“ został zreferowany przez p. Wice-Prokuratora J. Firstenberga. Oświadczył on, że statystyka narkomanów w Polsce dotąd nie istnieje. Jedyna istniejąca cyfra w tym zakresie 250 osób jest liczbą tych 250 narkomanów, którzy przeszli w latach poprzednich przez Zakłady dla Narkomanów w Gościejewie i Świacku. Do tego możnaby dodać około 80 osób ujawnionych w procesach Sądu Okręgowego w Warszawie. Cyfrę tą należy uważać za zbyt małą, gdyż w tym materjale cyfrowym nie ma ludzi zamożnych, unikających spraw sądowych, nie ma też lekarzy, felczerów, artystów, wojskowych i t. p. Należy przypuścić, że w Polsce istnieje ponad 5.000 narkomanów, a wśród nich są tacy, co zajmują czasem nawet wysokie stanowiska społeczne, co musi powodować rozmaite trudności i komplikacje w sprawach walki z narkomanją.

Na podstawie posiadanych materjałów referent zaprojektował wniosek o przymusowej rejestracji narkomanów drogą wydania odpowiedniego rozporządzenia, któreby zwolniło odnośne Urzędy i osoby prywatne od obowiązku zachowywania tajemnicy w stosunku do narkomanów.

Przewodniczący p. Płk. Dr. J. Nelken sądzi, iż pewna analogja istnieje w dzisiejszych Niemczech, gdzie podciąganie pod odnośny paragraf o sterylizacji osób wskazanych w pewnych rozporządzeniach (administracyjnych) spowodowało ucieczkę od lekarzy chorych pewnych kategoryj. Wprowadzenie u nas zaprojektowanych zarządzeń przymusowej rejestracji narkomanów może powiększyć rozdział między lekarzami i pacjentami, a nawet spowodować zupełne zerwanie kontaktu i tak dzisiaj już bardzo rozluźnionego.

Ks. Krygier zwraca uwagę na to, że u narkomanów z reguły następuje zachwianie, lub nawet zwichnięcie moralne, a moralna dziedzina wymaga umiejętnego i przedewszystkiem ostrożnego podejścia etycznego, w którym indywidualny wpływ jednostki może posiadać wielkie znaczenie. Zaprojektowany przymus lekarzy do zgłaszania władzom narkomanów obniży autorytet lekarzy. Należy przeto być b. ostrożnym z tego rodzaju przymusem. Można zresztą podawać przypadki bez nazwisk i całą statystykę prowadzić tylko liczbową, nie imienną.

Naczelnik W. Sokolewicz zwraca uwagę na to, że statystyka bez nazwisk jest bezcelową, gdyż wówczas rejestracja nie jest w stanie uniknąć notowania po kilka razy jednej i tej samej osoby z kilku miejsc.

Prof. Br. Koskowski uważa, iż podniesiona sprawa jest bardzo ważną i że powinien w tej kwestji wypowiedzieć się przedewszystkiem świat lekarski. Osobiście, ceniąc wysoko sprawę tajemnicy lekarskiej, zgodziłby się jednak wydzielić z niej sprawy poruszone we wniosku p. Wice-Prokuratora Firstenberga.

Wice-Prokurator J. Firstenberg prosi uważać jego projekt za program maksymalny, za stan jakby idealny, w którym jednak góruje nie tyle koncepcja OBOWIĄZKU rejestracji, ile PRAWO ZGŁASZANIA w odpowiednich wypadkach. Na terenie sądowym obecnie już istnieją możliwości w tym zakresie, gdyż nowy Kodeks Karny w § 3 Artykułu 254, głoszącym: „Niema przestępstwa, jeżeli wyjawiający tajemnicę czyni to ze względu na uzasadniony interes publiczny, lub prywatny, daje możność“ w poszczególnych wypadkach ujawniać tajemnice zawodowe.

W zaprojektowanym wniosku zastrzeżenia budzi tylko część druga. Wobec tego możnaby poddać pod głosowanie wniosek nie całkowicie, lecz częściami.

Przewodniczący postawił pod głosowanie kolejno 3 punkty projektu, mianowicie:

1. Walne Zebranie Komitetu wzywa Zarząd, aby opracował projekt rozporządzenia o obowiązku rejestracji narkomanów.

Rozporządzenie powyższe powinno m. in. realizować zasadę, że wszystkie władze państwowe i samorządowe, a nadto wszyscy lekarze, felczerzy i członkowie zawodów pokrewnych powinni zgłaszać niezwłocznie Wydziałowi Zdrowia właściwego Województwa wszystkie ujawnione przypadki narkomanji.

Z 10 obecnych na zebraniu 2 głosowało za przyjęciem, reszta wstrzymała się od głosowania.

2. Walne Zebranie Komitetu wzywa Zarząd, aby przystąpił możliwie szybko do prac nad zebraniem materjałów do statystyk narkomanów.

Wszyscy obecnie głosowali za przyjęciem wniosku.

3. Walne Zebranie wyraża opinję, że w celu ułatwienia powyższych prac, — koniecznem jest zwolnienie urzędów i osób prywatnych od obowiązku zachowania tajemnicy urzędowej i zawodowej, w zakresie udzielania Komitetowi do Spraw Narkotyków i Zwalczania Narkomanji odpowiednich informacyj i wyjaśnień.

Za wnioskiem głosowało 3, przeciw — 1, wstrzymało się — 6.

Następny punkt porządku dziennego: „Zaostrzenie kontroli recept lekarskich" zreferował p. Wice-Prokurator J. Firstenberg.

Dawniej, gdy działał jeszcze b. Kodeks Rosyjski dla pociągnięcia lekarza do odpowiedzialności trzeba było dowieść złej woli, lub chęci zysku. Obecnie możliwem jest pociągnięcie do odpowiedzialności i bez tego, na podstawie przekroczenia w zapisaniu maksymalnej ilości narkotyków, lub nawet zbyt wielkiej ilości recept na narkotyki, wzbudzających uzasadnione podejrzenie nadużywania dla zysku swoich uprawnień. Były przykłady, kiedy z jednej apteki wydano około 600 recept jednego lekarza na narkotyki, w drugim wypadku 1500 recept jednego lekarza zrealizowano w 30 aptekach, w trzecim wypadku kilka lat temu lekarz narkoman wystawił na narkotyki około 500 recept, zrealizowanych w rozmaitych aptekach.

W obecnym stanie rzeczy, jeżeli recepta jest autentyczna, apteka powinna wydać narkotyk bez względu na ilość przepisaną narkotyku i bez względu na ilość samych recept.

Jeżeli chodzi o lekarzy-narkomanów, to wszystkie sprawy przeciwko nim zostały wszczęte przypadkowo, albo spowodu delikwenta, zdradzającego lekarza, który mu przepisywał narkotyki, albo z innego podobnego powodu.

W tych sprawach dobrzeby było, gdyby istniała instytucja, mogąca stosować w podobnych wypadkach drogę dyscyplinarną, oczywiście z możliwościami sankcji. Należałoby również ustalić pewną miarę w stosunku do wypisywanych przez lekarzy recept na narkotyki. Dzisiaj lekarz sądzi, że nie ma prawa przepisywać wyższej od 10-krotnej dawki dziennej, a nie jednorazowej. Byłoby wskazane ograniczenie tego prawa do 10-krotnej dawki jednorazowej. Potrzebne są również jakieś ograniczenia w sprawie liczby recept na narkotyki. Możeby dało się częściowo przenieść nadzór na starostwa i lekarzy powiatowych.

Naczelnik W. Sokolewicz wyjaśnia, iż Min. Op. Społ. już oddawna udzieliło inspektorom farmaceutycznym instrukcyj, aby ograniczali recepty na narkotyki do 10-krotnej dawki *jednorazowej*, ale Izby Lekarskie nie były o tem powiadomione. Ponieważ obecnie inspekcja apteki obowiązkową jest raz na dwa lata spowodu małej liczby personelu Inspekcji, więc zwracanie przez inspekcję uwagi nie tylko na manko i wiarygodność recept, ale i na merytoryczną stronę sprawy recept, chociaż jest w zasadzie możliwą, ale praktycznie nie da się wykonać wobec szczupłych sił wykonawczych dzisiejszej kontroli.

Przewodniczący p. Płk. Dr. J. Nelken postawił pokolei 3 punkty wniosku p. Wice-Prokuratora J. Firstenberga pod głosowanie.

Punkt 1-szy: — „Walne Zebranie Komitetu wzywa Zarząd, aby wystąpił do Departamentu Sł. Zdr. z prośbą o rozesłanie do Izb Lekarskich pisma okólnego, które zwracałoby uwagę, że przez wyrażenie „najwyższa dawka lekarska", użyte w § 10 Rozporządzenia z dn. 30 stycznia 1934 r. (Dz. Ust. Nr. 11 poz. 96), należy rozumieć najwyższą dawkę jednorazową, — nie zaś dzienną.

Wszyscy obecni na zebraniu głosowali za przyjęciem tego wniosku. Punkt 2: — „Walne Zebranie Komitetu wyraża opinję, iż dla skutecznego nadzoru nad wystawianiem przez lekarzy recept na narkotyki, konieczne jest, aby inspektorzy farmaceutyczni przy lustracji aptek zwracali uwagę nie tylko na formalno-porządkową stronę ksiąg kontroli obrotu narkotyków, ale i na meritum recept na narkotyki, zrealizowanych w danej aptece; o dostrzeżonych uchybieniach lekarzy winni zawiadomić niezwłocznie właściwego inspektora lekarskiego".

Wszyscy obecni głosowali za przyjęciem wniosku.

Punkt 3: — „Walne Zebranie Komitetu wyraża opinję, iż dla skutecznego nadzoru nad wystawianiem przez lekarzy recept na narkotyki koniecznem jest, aby inspektorzy lekarscy kontrolowali perjodycznie recepty na narkotyki, biorąc pod uwagę całokształt recept, zrealizowanych w danym okresie we wszystkich aptekach danego miasta".

Jeden głos za wnioskiem, 9 wstrzymało się od głosowania. Punkty 10 i 11 porządku dziennego zreferował p. Naczelnik W. Sokolewicz.

Rozporządzenie wykonawcze o heroinie, chociaż całkowicie już oddawna jest przygotowane i uzgodnione, mogło być uchwalone w trybie normalnym i będzie niebawem uchwalone w trybie nadanych p. Prezydentowi Rzeczypospolitej uprawnień.

Co się tyczy art. 82 Kodeksu Karnego o „umieszczaniu alkoholików i narkomanów w zakładach", nie może on być wprowadzony w życie, ponieważ Ministerjum Sprawiedliwości nie posiada odpowiednich Zakładów. Dwa oddziały w szpitalach więziennych w Grodzisku Mazowieckim i w Grudziądzu oczywiście nie mogą tego braku zastąpić. Dyskusja na ten temat wyjaśniła, że dotychczasowe próby Ministerjum Sprawiedliwości posługiwania się Zakładami w Tworkach i Świacku dla umieszczania chorych „oskarżonych", sytuacji nie polepszyło. Tak naprzykład, przebywanie w Świacku jednego delikwenta w przeciągu nawet 14 miesięcy, okazało się okresem nie wystarczającym dla kuracji odwykowej. Tymczasem w Świacku można umieszczać tylko tych, którzy mają karty czyste bez objawów psychopatycznych, bo oni tylko są uleczalni stosowaną w tego rodzaju Zakładach metodą.

Większość zostaje umieszczaną w Zakładach dla umysłowo chorych dlatego, że w większości wypadków decydują same objawy chorobowe, a nie podłoże, (narkotyczne), na którem te objawy powstają.

W wyniku dyskusji postanowiono prosić p. Wice-Prokuratora Firstenberga o sformułowanie na piśmie strony prawnej zagadnienia, uwzględniając również możliwości stosowania art. 82 K. K., wówczas, gdy Ministerjum Sprawiedliwości będzie posiadać własne Zakłady dla umieszczania tej kategorji chorych.

Punkt dwunasty porządku dziennego: „Sprawa funduszu na walkę z narkomanją" zreferował p. Prokurator J. Firstenberg.

Szczególnie dotkliwie odczuwa się brak funduszów na nagrody rozmaitym funkcjonarjuszom, wykrywającym nielegalny przemyt narkotyków, a zwłaszcza eteru. Brak również zupełny jest funduszów na obserwację i wykrywanie Zakładów, mniej, lub więcej luksusowych, w których stosują się rozmaite sposoby narkotyzowania. O ile fundusze dla nagród można czerpać ze sprzedaży wykrytych narkotyków, względnie

eteru, to na obserwację i wykrywanie Zakładów wyżej wspomnianych, (co jest czasem b. kosztowne), potrzeba mieć fundusze specjalnie na ten cel przeznaczone. Sekretarz Komitetu odczytał ze sprawozdania delegata Rządu p. Min. W. Chodźki do Komisji Opjumowej Ligi Narodów podczas jej XIX sesji następujący wyjątek. „Na tem posiedzeniu delegat polski z okazji dyskusji, przeprowadzonej podczas ostatniej sesji Centr. Opjumowego Komitetu (Central Board) nad wykonywaniem przez rządy postanowień art. 18 Konwencji Opjumowej z 1931 r., tyczących się postępowania z narkotykami skonfiskowanymi, zwrócił uwagę Komisji na różnolitość stosowanych przez rządy środków — niektóre z nich sprzedają z licytacji skonfiskowane narkotyki, wprowadzając je do wolnego handlu i sprawiając w ten sposób dotkliwy uszczerbek interesom fabryk i firm, stosujących się uczciwie i lojalnie do obowiązujących przepisów o obrocie narkotykami: delegat polski domagał się, aby Komisja Doradcza postarała się o ujednostajnienie tej praktyki w tym kierunku, jak się to dzieje w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i w Indjach Wschodnich brytyjskich, t. j. aby narkotyki skonfiskowane były niszczone, o ile nie zostały przekazane szpitalom na ich żądanie; to ostatnie zastrzeżenie jest o tyle pożyteczne, iż należy unikać przeładowywania szpitali narkotykami, nad którymi szpitalowi trudno jest roztoczyć należytą kontrolę.

W konkluzji obszernej dyskusji, jaka rozwinęła się na ten temat na posiedzeniu Komisji, uchwalono powołać podkomisję, mającą za zadanie zbadanie sprawy postępowania z narkotykami skonfiskowanymi i przedstawiene plenum Komisji projektu odpowiedniej rezolucji: do podkomisji tej powołano delegata Hiszpanji — p. Casaresa, delegata Belgji senatora Carnoy, delegata Szwajcarji, Dr. Carrier'a, delegata Jugosławji — p. Drożdżewicza i delegata polskiego. Na podstawie propozycji tej podkomisji Komisja Doradcza uchwaliła na posiedzeniu w dn. 21 listopada 1934 r. 12-u głosami przeciw 4-m następujący tekst rezolucji:

„Komisja Doradcza do spraw handlu opjum, przypominając rządom, że Konwencja z 1931 r. nie pozwala na wywożenie narkotyków skonfiskowanych, uważając, że powrót do obrotu handlowego narkotyków skonfiskowanych mógłby stanowić niebezpieczeństwo dla należytego działania powyższej Konwencji, — zaleca rządom, ażeby narkotyki skonfiskowane przekazywano na potrzeby szpitali i instytucyj naukowych, albo włączono do zapasów państwowych („Stocks d'Etat") w razie, jeżeli narkotyki te nie byłyby niszczone, albo przerobione, lecz przeznaczone do użytku lekarskiego i naukowego w myśl art. 18 Konwencji".

W sensie powyższej rezolucji Komisji Doradczej narkotyki skonfiskowane mogą być przedewszystkiem niszczone całkowicie, albo całkowicie przerobione na substancje nienarkotyczne (np. na kodeinę), o ile zaś nie nastąpi ani jedna, ani druga alternatywa, można je jedynie przekazywać szpitalom i instytucjom naukowym, czy też włączać do zapasów państwowych.

Rezolucja ta wydaje się tem słuszniejsza, iż jak podniósł w dyskusji delegat Indji Wschodnich brytyjskich, p. Hardy, narkotyki skonfiskowane są najczęściej bardzo pośledniego gatunku, pełne zanieczyszczeń i przymieszek i często muszą być oczyszczane należycie nawet przed przesłaniem ich do użytku szpitali".

Naczelnik W. Sokolewicz proponuje przyjąć zasadę, że połowa sumy uzyskanej od sprzedaży eteru byłaby przeznaczona temu, kto doniósł, względnie ujawnił ten eter. Co się tyczy przemytu narkotyków i wykrywania wyżej wspomnianych zakładów, dążyć do utworzenia przez Min. Op. Społ. specjalnych sum, przeznaczonych dla Centrali Śledczej, Policji Państwowej, Straży Granicznej i ewentualnie dla innych instytucyj, wykrywających przemycane narkotyki.

Docent G. Szulc proponuje, aby konfiskowany eter był wogóle oddany do dys-

pozycji Komitetu do spraw Narkotyków i Walki z Narkomanją, jak również i inne przemycane narkotyki, zaś Komitet sam zajmie się ustaleniem wysokości wydawanych za wykrywanie przemytu nagród i innemi, związanemi z ujawnieniem przemytu i z walką z narkomanją, sprawami.

Propozycja powyższa została przyjęta.

Sekretarz: *Dr. J. Jakóbkiewicz.* Przewodniczący: *Dr. J. Nelken.*

ALKOHOLIZM W GDYNI.

(Garść liczb i faktów).

W Gdyni, tym przedmiocie naszej dumy narodowej, źle się dzieje pod względem rozpowszechnienia alkoholizmu.

Wymowne liczby znajdujemy w „Roczniku Statystycznym Gdyni“, wydanym przez Komisarjat Rządu w Gdyni pod redakcją p. Bolesława Polkowskiego, kierownika referatu statystycznego tegoż Komisarjatu.

W dziale statystyki przestępstw i wykroczeń podane są następujące liczby z dziedziny alkoholizmu (str. 38 i 39):

Rok	Wykroczeń opilstwa		Uratowano osób	Ukarano administr.
	zameldowano:	wykryto:		
1931	1358	1282	1143	
1932	1247	1247	1085	1795
1933	1362	1362	399	1387

Suche te liczby świadczą wymownie o **niebezpieczeństwie alkoholizmu w Gdyni.** Pewnego rodzaju ilustracją stanu rzeczy są „Komunikaty prasowe“ Policji Państwowej w Gdyni, podające z dnia na dzień kronikę wypadków w mieście.

Oto kilka wyjątków z tych „Komunikatów“:

Dn. 11 września 1935 r.

W dn .10 b. m. zatrzymani zostali Roczniak Teodor, zamiatacz ulic z Gdyni i Szostak Wilhelm, jego towarzysz, pod zarzutem zadania ciężkiego urazu cielesnego niejakiemu Hamiakowi Władysławowi, w towarzystwie którego wspólnie zabawiali się w restauracji Zacisze. Naskutek wynikłej bójki Hamiak został tak dotkliwie pobity, że odstawiony został karetką pogotowia do szpitala. Roczniak i Szostak osadzeni zostali w areszcie do dalszych dochodzeń.

Dn. 30 września 1935 r.

Policja zatrzymała 17 osób w różnych punktach miasta pod zarzutem opilstwa i zakłócenia spokoju publicznego.

Dn. 2 października 1935 r.

W Gdyni w dniu 1 b. m. policja zatrzymała 13 osób pod zarzutem opilstwa, które w różnych punktach miasta, bądź w lokalach publicznych,

zakłócały spokój, bądź też zachowaniem się swojem wywoływały zgorszenie publiczne. Pijaków tych osadzono w areszcie do czasu wytrzeźwienia, poczem, po spisaniu na nich doniesień karnych, wzgl. ukaraniu doraźnym mandatem karnym — zostali oni zwolnieni.

Dn. 5 października 1935 r.

W dniu 4 b. m. w godzinach wieczornych przytrzymano 15 osób, które w stanie pijanym w różnych punktach miasta, bądź też w lokalach, zakłócały spokój publiczny, bądź też zachowaniem się swojem wywoływały zgorszenie. Pijaków tych osadzono w areszcie do czasu wytrzeźwienia, a następnie spisano na nich doniesienia karne, wzgl. ukarano doraźnym mandatem karnym i zwolniono.

Dn. 7 października 1935 r.

W dn. 5 b. m. w godzinach wieczornych, w czasie dokonywania lokalnej obławy na elementy przestępcze i włóczęgowskie, przytrzymano ogółem w różnych punktach miasta i w lokalach: 10 kobiet kontrolnych na terenie dzielnicy portowej i częściowo w centrum miasta, za niestosowanie się do przepisów sanitarno obyczajowych, 25 osobników wałęsających się bezcelowo po terenie dzielnicy portowej, objektów kolejowych i częściowo w centrum miasta, których osadzono w areszcie dla przenocowania, oraz 32 pijaków, rekrutujących się przeważnie z murarzy, malarzy i cieśli, którzy w stanie pijanym bądź na ulicy, bądź też w lokalach zakłócali spokój publiczny, bądź też zachowaniem swojem wywoływali zgorszenie publiczne. Tych ostatnich osadzono w areszcie do czasu wytrzeźwienia, a po wytrzeźwieniu w areszcie i spisaniu doniesień karnych, zostali oni zwolnieni.

Dn. 17 października 1935 r.

W dniu 16 b. m. zostało zatrzymanych 12 osób w różnych punktach miasta, które w stanie pijanym zakłócały spokój publiczny, wzgl. awanturowały się w lokalach. Pijaków tych, po wytrzeźwieniu w areszcie — zwolniono.

Dn. 22 października 1935 r.

W dniu 21 b. m. przytrzymano 9 osób, które w stanie pijanym, bądź na ulicach miasta, bądź też w lokalach zakłócały spokój publiczny. Pijaków tych osadzono w areszcie do czasu wytrzeźwienia, poczem zostali zwolnieni.

Dn. 28 października 1935 r.

W dniu 27 b. m. przytrzymano jednego z marynarzy statku zagranicznego, który w stanie pijanym, powróciwszy na statek, dobijał się do kabiny kapitana statku, domagając się otwarcia, przyczem groził kapitanowi statku zastrzeleniem z rewolweru. Został on odstawiony do Sądu.

W dniu 26 i 27 b. m. przytrzymano 23 osoby, które w stanie pijanym bądź na ulicach miasta, bądź też w lokalach zakłócały spokój publiczny, lub też wywoływały zgorszenie. Pijaków tych osadzono w aresz-

cie do czasu wytrzeźwienia, poczem, po spisaniu doniesień karnych, zostali oni zwolnieni.

Dnia 4 listopada 1935 r.

W dniach 2 i 3 b. m. przytrzymano 18 osób, które w stanie pijanym bądź na ulicach miasta, bądź w lokalach publicznych, zakłócały spokój, awanturowały się, bądź też zachowaniem swojem wywoływały zgorszenie publiczne. Pijacy ci, po wytrzeźwieniu w areszcie policyjnym i spisaniu na nich doniesień karnych — zostali zwolnieni.

Dn. 6 listopada 1935 r.

W dniu 5 b. m. przytrzymano 9 osób, które w stanie pijanym na ulicach, bądź też w lokalach zakłócały spokój publiczny, bądź też zachowaniem swojem wywoływały zgorszenie publiczne. Pijacy ci po wytrzeźwieniu w areszcie policyjnym i spisaniu na nich doniesień karnych zostali zwolnieni.

Dn. 24 listopada 1935 r.

Słyś Andrzej, lat 31, robotnik, zamieszkały w Gdyni-Grabówek przy ul. Dreszera Nr. 37, zatrzymany za opilstwo i awantury w miejscu publicznem oraz za czynny opór, stawiany funkcjonarjuszom P. P. w czasie doprowadzania go do aresztu. Wymieniony, jako znany awanturnik i pijak, zostanie odstawiony do dyspozycji władz sądowych.

Dn. 10 grudnia 1935 r.

W dniu 9 b. m. o godz. 19 marynarz łotewski Kutan Waldemar, bez stałego miejsca zamieszkania, będąc w stanie podchmielonym, udał się do portu na wybrzeże duńskie, gdzie usiłował wejść na statek duński „Stiritul“. Wskutek stracenia równowagi Kutan przechylił się i wpadł do wody, lecz przez załogę statku został zauważony i wydobyty.

PRZYJACIELSKA ROZMOWA.

Raz pytał się druh druha, wielce rozżalony,
Czemu od alkoholu organizm ma zniszczony.
Dlaczego to wódka tak na serce szkodzi?
Musi być źle czyszczona — poważnie dowodzi.

Fraszka, mój przyjacielu, tamten mu odpowie,
Na jednych działa kiepsko, a innym — na zdrowie!
Mnie wódka nic nie szkodzi i dobrze sobie żyję.
Doprawdy?! Jak to robisz? Poprostu, — nie piję!

27.X. 35 r. *A. Zan.*

ZWYCIĘSTWO.

Nowela.

Późny, zimowy wieczór. Śnieżyste puchy, jak zaczarowane duszki wirują w powietrzu, by za chwilę w ostatnim pląsie przytulić się do ziemi i tak już trwać, póki niepokalanej ich bieli nie zetrze stopa zapóźnionego przechodnia. Szafir nieba połyskuje miljardem gwiazd, zapalających się to znów gasnących naprzemian, jak uśmiechy sennego dziecka, lub nadzieja lepszej doli w sercach ludzkich.

Spokój.

Spokój tem większy, że i półmrok panuje, na tej zdala od śródmieścia położonej uliczce, półmrok rozświecony nieco mdłym blaskiem, samotnej, gazowej latarni.

Nagle w ciszę tę wpadł rozgwar młodzieńczych głosów, tupot nóg, donośne śmiechy i wkrótce zza węgła narożnego domu wyłoniła się grupa ludzi. Skąpe światło pozwoliło rozeznać zaledwie sylwety przybyszów, ale z chwiejności ich kroków, hałaśliwego rozbawienia, rubasznych żartów, domyśleć się było łatwo, że przed chwilą zapewne opuścili gościnne progi któregoś z barów. „Kochać nie warto, tęsknić nie warto, jedno co warto — upić się warto"... śpiewał fałszywym falsetem jeden z paczki „złotej młodzieży", smukły blondyn o sympatycznej, lecz teraz zeszpeconej pijackim grymasem twarzy. Oho! Rysiek ma słabą głowę, już się ululał i teraz cienko śpiewa" — zaśmiał się któryś. „Nieprawda!" — zaprzeczył młodzieniec Ryśkiem zwany, „nieprawda — wcale nie jestem wstawiony, tylko mi jest wesoło i kwita!"—zakończył, utrzymując przemyślnie równowagę na oślizgłej powierzchni chodnika.

„A widzisz, śledziu! moczony w occie siedmiu złodziei", zahuczał tuż koło Ryśka bas krępego studenta, którego obrzękła, nalana twarz świadczyła o licznych studjach w dziedzinie alkohologji, „Wypiłeś i zaraz cały świat innym ci się wydaje, a przed godziną nieledwie wypłakiwałeś na mojem ramieniu żale na temat: zmarnowanej młodości, wyższych aspiracyj i t. p. głupstw, To wszystko — furda! bracie, wódzia — grunt! jak w tej piosence — Po kieliszku pierwszym jest ci lepiej, po kieliszku drugim humor masz "... — rozbawione twarzystwo podjęło melodję nie tyle zgodnym, ile krzykliwym chórem, aż tu i ówdzie z nocnych dyżurek zaczęli wyglądać dozorcy, a przechodzący policjant zaproponował uprzejmie domorosłym śpiewakom spędzenie reszty nocy pod opieką władzy. To poskutkowało. Wesołe bractwo uciszyło się cokolwiek i zwolna zaczęło się rozchodzić, umówiwszy się uprzednio co do kolejności „fundowania" w dniu następnym. Z umowy tej wynikało niezbicie, że Rysiek, który odbiera jutro pieniądze od matki, musi ponieść koszta tej eskapady. „Bo to widzicie koledzy! informował szydliwie krępy student, mamusia przysyła pieniądze synkowi na „gwiazdkę", a my je wymienimy na kilka „gwiazdek" co? no, serwus, Rysiek! śpij słodko i pamiętaj o jutrzejszej fundzie!".

*

Z labiryntem schodów poszło Ryśkowi niezgorzej, pierwszy poważniejszy opór stawiły mu zamki jego kawalerskiego pokoju, wreszcie i te

ustąpiły, a Rysiek bez zapalania nawet światła, rzucił się na łóżko i zasnął momentalnie, ciężkim, niespokojnym snem, pełnym majaczeń i koszmarnych widzeń. Na soczewkach przymkniętych powiek, niby na ekranie, przesuwają się obrazy dawnych lat, dawnych twarzy, dawnego życia...

Pokój dziecinny — Ryś ustawia na podłodze pudełka, wagony, zczepia je i rozczepia, odbywa urojone podróże, występuje do walki ze srebrzystym pałasikiem w ręku, broni się, atakuje, zwycięża (jak tatuś jego, zwycięski dzielny tatuś, na którego piersi błyszczy, jak słońce, krzyż walecznych), Rysiek bardzo chce być podobnym do swojego drogiego tatuśka. Przy oknie, z robótką w ręku, siedzi mamusia. Niema chyba piękniejszej i lepszej na świecie (tak samo mówi tatuś). Patrzy na zabawy synka, a w jej oczach lśni taki płomień uczucia, że malec, spojrzawszy nagle w te przepastne głębie serca, rzuca zabawki, podbiega i tuli się mocno, bardzo mocno i w dziecinnym szczebiocie spowiada się ze swoich marzeń, jak to on będzie dorosłym i dzielnym, jak będzie inżynierem, jak wujek, albo generałem, a może lotnikiem... promienny uśmiech matczyny przewodzi tym rojeniom dziecięcym, a serce rozmadla się gorącą prośbą do Najwyższego: by ta mała istotka stała się kiedyś wartościowym, szlachetnym człowiekiem...

Duży salon... pośrodku choinka w łunie kolorowych świateł. Przy wigilijnym stole ich troje: na piersi ojca, krzyż walecznych, jak dawniej, gra gamą blasków, ale w surowym grymasie ust widać już znużenie, a wyniosłe skronie, osypane szronem, świadczą o szeregu, ciężkich, znojnych lat. Promienny uśmiech matki wygładza sieć drobniutkich zmarszczek i czyni ją prawie tak młodą, jak dawniej przed laty. Trzecim jest Rysiek i on chyba zmienił się najwięcej. Jest teraz w pełni rozkwitu młodzieńczej urody i sił.

Z dumą patrzą rodzice na swego jedynaka, z dumą i nadzieją, że stanie się chlubą i podporą ich starości. Wprawdzie jest dopiero absolwentem szkoły średniej, ale za rok...

Zadrżał biały opłatek w ręku ojca, zamigotały łzy w przygasłych oczach matki... Padły słowa: „Jakiekolwiek będą drogi twojego życia, pamiętaj, że najtrudniejsza jest walka ze sobą, ale i najświetniejsze zwycięstwo. Pamiętaj jeszcze, że kiedy mnie nie stanie, musisz być opiekunem twej matki, chłopcze“...

Na taśmie sennych wspomnień obrazy zmieniają się szybko... śmierć ojca... biała jak opłatek twarz matki i jej wielkie tragiczne oczy utkwione w nim, w Ryśku, oczy bezbronne i ufne, bankructwo materjalne, praca matki (lekcje języków obcych u pana aptekarza). Wyjazd Ryśka do Warszawy na studja...

Taśma rozwija się teraz z zawrotną szybkością... Pierwsza hulanka w gronie nowych kolegów opłacona nie tylko czekiem wyjętym z białej koperty matczynego listu, ale i spóźnionemi wyrzutami sumienia i kompletnem rozbiciem fizycznem... późniejsze namowy, drwiny, specjalnie tego krępego studenta... Rysiek powoli poddaje się wpływom, hulanki stają się coraz częstsze, wyrzuty sumienia coraz rzadsze, coraz prędzej realizowane przekazy z białych kopert i coraz wolniej przesyłane odpowiedzi na pełne żalu i troski słowa matczyne.

A tam, w małej mieścinie, zblakłe od łez oczy, błądzą po nędznych ścianach „umeblowanego“ pokoju, zatrzymują się na jedynej własności, jedynym skarbie—fotografji syna, budzi się dawny, przejasny uśmiech, i długo w noc jeszcze skrzypi pióro i rwą się w dal słowa, brzemienne miłością...

Rysiek poruszył się niespokojnie na posłaniu, radby się zbudzić... widać ostatnia wizja wstrząsnąć nim musiała, bo z pod zaciśniętej powieki wysączyła się powoli łza... wstydu, skruchy, może tęsknoty... Ale sen trwa dalej, mieszając już rzeczywistość z fantazją, budzącego się umysłu.

Fabryka... Rysiek przy maszynie... jest taki szczęśliwy, że dostał pracę... pierwszą pensję pośle oczywiście , tej swojej najdroższej, dalekiej, a może już niedługo zabierze ją do siebie zupełnie, rozśmieją się znów szczęściem zmęczone, spłakane oczy.

Są pieniądze, chce je wysłać, albo nie, zawiezie je sam, o jakże mateczka się ucieszy. U jej kolan wyzna wszystko i weźmie z jej białych, jak opłatek dłoni błogosławieństwo i siły na nowe, lepsze życie. Idzie z walizą do dworca. Po drodze koledzy — znów namowy, by wstąpić tylko na „jednego“, ulega... wraca nad ranem, bez grosza zasypia zaraz... Z pijackiego snu budzi go ostre, natarczywe kołatanie do drzwi... cóż tam do djabła!? telegram! W głowie szum piekielny, nogi się chwieją, ale już w serce wgłębiają się szpony straszliwego przeczucia... przytomnieje... i nagle okrzyk nieludzkiej rozpaczy wydziera mu się z piersi... Na białej karcie depeszy widnieją obojętnym szykiem liter ustawione dwa słowa: „matka nie żyje“.

*

Co to! Rysiek zrywa się na równe nogi... Straszna zjawa snu trwa dalej, spotęgowana głośnem pukaniem do drzwi... „Boże! ten sen... czyżby matka“... desperackim ruchem szarpnięto drzwi... w ich ramie dłoń z białą kopertą... Rysiek zatacza się po pokoju... jest pijany znów, ale już teraz radością i przeżytym obłędnym strachem. Tuli do ust pismo matczyne, oblewa je łzami. Minął zły sen. Słowa matki wracają mu życie.

„Wierzę: że syn mój będzie godny pamięci swojego ojca i mojej miłości“.

Płyną niepowstrzymane łzy, uroczyste ślubowanie składa w tej chwili wczorajszy grzesznik, dzisiejszy pokutnik, jutrzejszy zwycięzca.

Nela Krzepkowska.

ŚWIETLICA, BIBLJOTEKA I CZYTELNIA CZASOPISM TOW. „TRZEŹWOŚĆ“.

Jedną z racjonalnych dróg walki z alkoholizmem jest prowadzenie pracy oświatowo-propagandowej wśród młodzieży. Formy pracy mają być różne, lecz za najbardziej celowe należy uważać: *świetlice* dla młodzieży nieużywającej zupełnie alkoholu, oraz dla młodzieży, którą pragniemy przekonać o szkodliwości trunków i utworzyć z niej kadry ludzi trzeźwych — dalej *bibljoteki* abstynenckie i *czytelnie pism*.

Czem jest własne ognisko domowe dla każdego człowieka, tem są świetlice dla ludzi, którzy, z domu i z poza szkoły zaczynają wstępować w szersze kręgi życia społecznego. Dom, rodzina — dają dziecku podstawy życia, szkoła kształci umysł, rozwija charakter, świetlica w dalszej linji idzie drogą samokształcenia, samowychowania, w duchu jaknajlepszego współżycia, w duchu uobywatelniania, w myśl wielkiej Mickiewiczowskiej tezy: „Hej ramię do ramienia, wspólnemi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko...“ Ten wspólny łańcuch, wspólna więź łącząca ludzi, to właśnie idea pracy świetlicowej, to ognisko tęskniących do ciepła życia rodzinnego, to szkoła samokształceniowa — dla tych, którzy innej drogi zdobywania wiedzy nie mają.

Zadania świetlicy abstynenckiej są trojakie: po pierwsze, walka z nałogami młodzieży, przedewszystkiem ze zgubnym nałogiem pijaństwa. Walka ta prowadzona jest umiejętnie przez odczyty, wykłady, pogadanki, przez urabianie charakteru. Drugim celem, już wyżej wspomnianym, jest samokształcenie, którego konieczność i ważność rozumieją nietylko wychowawcy i kierownicy świetlic, ale i sama młodzież — uczęszczająca chętnie i tłumnie na pogadanki świetlicowe. Ideę samokształcenia wprowadza się w życie przez podsuwanie młodzieży odpowiednio dobranej lektury (duże znaczenie bibljoteki i czasopism), odczyty, wartościowe filmy, wycieczki. Trzecim celem jest wyrobienie towarzyskie, i danie godziwej rozrywki i wyrobienie poczucia estetyki. Dlatego urządzane są zabawy i gry towarzyskie, na których panuje życzliwy rodzinny nastrój. Wszystko to wpływa na to, że świetlica staje się czemś niezbędnem, radosnem, jasnem i koniecznem w życiu dzisiejszej młodzieży. Świetlica — to wiedza, zdrowie i uśmiech życia; oby tej wiedzy, tego zdrowia i tych uśmiechów, było jaknajwięcej. Do tego właśnie musimy dążyć i ideę współżycia świetlicowego propagować.

Towarzystwo „Trzeźwość“ otworzyło świetlicę, bibljotekę i czytelnię pism 12.XI.1935 r. w lokalu własnym przy Rynku Starego Miasta 38, składającym się z dwóch dużych pokojów, szatni i przedpokoju. Zaopatrzyło nowo otwartą placówkę w sprzęt świetlicowy, radjo, gry, czasopisma i książki. Pierwszego dnia zgłosiło się do bibljoteki i świetlicy 20 osób. Po wstępnem zebraniu, zapoznawczem, po omówieniu w krótkości naszej ideologji, naszych celów — przystąpiono odrazu do rozdzielenia pewnych prac świetlicowych. A więc rozdano dyżury porządkowe. Wyznaczono gospodarzy do gier i czasopism. Przystąpiono do reperacji książek z darów i naklejenia numerków na grzbietach książek. W ciągu na-

stępnych dni frekwencja rosła, w miarę tego też rozwijała się świetlica. Codziennie omawiano punkty regulaminu świetlicowego, wreszcie gotowy i zatwierdzony przez walne zebranie regulamin, wywieszono na widocznem miejscu i zaczęto się doń stosować. Tymczasowym gospodarzem świetlicy został mianowany przez kierownictwo świetliczanin, jeden z najbardziej godnych zaufania, p. Stanisław Wiśniewski. Dn. 24.XI. 35 r. ten sam pan, został jednogłośnie wybrany przez walne zebranie, gospodarzem świetlicy na trzy miesiące. W miarę powstawania kół świetlicowych zaczął się tworzyć zarząd, pomimo to, dotychczas jeszcze nie ma pełnej formy samorządu.

Pierwszem zorganizowanem Kołem, jakie wystąpiło na terenie naszej placówki, jest *Koło Dyżurnych przy bibljotece*, które ma za zadanie nietylko obsługiwanie czytelnika, zapisywanie i podawanie książek, ale robienie statystyki, naprawianie książek, naklejanie numerków i tym podobne prace techniczne, oraz pilnowanie i konserwację księgozbioru. Gospodynią Koła Dyżurnych została wybrana p. Teodozja Kłosowska.

Koło liczy 9 osób. Sześć osób ma wyznaczone raz na tydzień dyżury, trzy osoby stanowią rezerwę.

Koło Rozrywkowe — założone 25 listopada 35 r. Osób 12. Gospodarzem jest p. Janusz Sztern. Celem koła jest dostarczenie godziwej rozrywki koleżankom i kolegom, oraz gościom zaproszonym, a więc urządzanie zabaw tanecznych, gier towarzyskich, urozmaicenie wieczornic występami artystycznemi i t. p. Dotychczas zorganizowano trzy zabawy taneczne, uroczystość wigilijną, cały szereg popisów artystycznych podczas imprez rozrywkowych.

Koło Śpiewacze — osób 15. Gospodarzem i instruktorem jest p. Chajęcki Józef. Koło prowadzone jest sprawnie i ze znajomością rzeczy. Opracowano pięć kolęd i trzy piosenki. Śpiewano na Dekadzie w Tow. Trzeźwość dn. 30.XII. 35 r., oraz na otwarciu świetlicy Z .P. O. K. na Pradze i w zaprzyjaźnionej z nami świetlicy na Annopolu.

Koło Muzyczne — osób 10. Instruktor p. Łucek Leonid, gospodarzem jest p. Miskiewicz St. Pracę zaczęto od podstaw. Opracowano już Hymn Abstynencki na melodję „Warszawianki" i kilka kolęd. Hymn odegrano na Dekadzie 30.XII. 35 r.

Koło Gospodyń — członkiń 15. Gospodynią obecnie jest p. Kretkiewiczówna Lucyna. Obok prac porządkowych — bieżących, prowadzona jest praca samokształceniowa. Każda z członkiń opracowuje raz na 2 tygodnie referat na wybrany przez siebie temat. Temat na referaty wybierają raz na trzy miesiące, a więc jedna w ciągu trzech miesięcy pisze np. życiorysy zasłużonych kobiet, inna — gospodarstwo domowe — a jeszcze inna — sztuka teatralna — i t. p. Najlepsze referaty bywają czytane na zebraniach. Oprócz tego do Koła Gospodyń należą także prace, jak robienie i rozprzedawanie kotyljonów, urządzanie i dyżury w bufecie na zabawach. W projekcie ma ono robótki ręczne, urządzanie kiermaszów, kursy przyrządzania napojów bezalkoholowych i t. p.

Koło Esperantystów — około 20 członków. Prelegent p. Rokicki. Gospodarz — p. Stec Wacław. Lekcje odbywają się 2 razy na tydzień po godzinie. Dotychczas były już cztery lekcje.

Koło Redakcyjne. Gospodarz Koła p. Chcyński Wiktor, sekretarz,

p. Winosławski Edward. Tygodnik S. T. T. (ścienny) zawiera różne działy, jak: sprawy społeczne, wiadomości ze świata, wiadomości kobiece, sport, cuda techniki, morze, utwory własne, humor, z życia świetlicowego, plotki, pochwały i nagany i t. p. Materjału do gazetki mogą dostarczać wszyscy świetliczanie, muszą zaś obowiązkowo dostarczać — kierownicy działów.

Dotychczas wyszły dwa ilustrowane tygodniki „S. T. T.". Dla estetycznego wyglądu, artykuły pisane są na maszynie; wymaga to dużej pracy członków redakcji, którzy przed wyjściem numeru muszą poświęcać całą niedzielę od godz. 10 rano do 6 p. p. sprawom gazetki.

Koło Dramatyczne — około 13 osób. Gospodynią i reżyserką jest p. Woźniakówna Michalina. Dotychczas opracowywano części koncertowe na Dekady Tow. „Trzeźwość". Poza naszą świetlicą wystąpiło Koło Dramatyczne ze swojemi produkcjami w świetlicy Z. P. O. K. na Annopolu.

Najwięcej pracy w Kole wykazują p. Tykwińska, p. Zawadzki Jerzy, rodzina pp. Kretkiewiczów, p. Choimówna i szereg innych członków. Wkrótce Koło Dramatyczne przystąpi do opracowywania poważniejszej sztuki teatralnej.

Prace poza Kołami — lub staraniem wszystkich świetliczan.

1) 10 osób ukończyło Kurs Alkohologji, każda z tych osób wygłosi referat podczas tyg. Trzeźwości na tematy poruszone na kursie.

2) Codzienny „Hymn Abstynencki" i modlitwa „Ojcze z Niebios" — w wykonaniu wszystkich świetliczan.

3) Odbyły się trzy zabawy taneczne staraniem wszystkich świetliczan. Wszyscy mieli rozdzielone obowiązki - dyżury, czy to w szatni, czy na sali, lub w bufecie, ozdabianie sali, zakupy i t. p.

4) 4 zebrania walne — okolicznościowe, 1 zebranie miesięczne — sprawozdawcze, na którem gospodarze Kół przedstawiali obraz pracy prowadzonego przez siebie Koła i projekty na następny miesiąc.

5) Jeden z członków świetlicy p. Winosławski Edward po odpowiedniem przygotowaniu przez p. red. Szymańskiego — został mianowany prelegentem na wystawy przeciwalkoholowe.

Wszyscy świetliczanie dzielą się na członków stałych i kandydatów. Każdy kandydat przechodzi okres próbny, trwający od 2 do 6 tyg., podczas którego wykazuje się pracą, następnie zostaje zaliczony w poczet członków stałych, wypełnia deklarację i otrzymuje legitymację tymczasową. Obecnie członków stałych jest 24. Kandydatów i sympatyków około 70 osób. Dzienna frekwencja przeciętnie wynosi od 60 do 70 osób. Liczba odwiedzin za okres od 12.XI. 1935 r. do 1.I. 1936 r. wynosi — 2740.

Bibljoteka.

Nieodzownym warunkiem powodzenia zamierzonej pracy jest odpowiednio dobrany księgozbiór, zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym, oraz czujność w kierunku zaspokojenia zauważonych zainteresowań. Przy doborze księgozbioru uwzględniono książki łatwiejsze i trudniejsze, wszystkie jednak o możliwie wysokim poziomie artystyczno-literackim.

Księgozbiór zawiera trzy działy: 1) beletrystykę, 2) książki historyczne i naukowe, 3) literatura dziecięca. Ogółem około 400 dzieł. Oprócz tego zaliczony został do działu naukowego komplet broszur z dziedziny alkohologji. (140 egzemplarzy). Każdy dział posiada oddzielny katalog kartkowy ułożony alfabetycznie według autorów.

W dziale beletrystyki staramy się dać dużo książek pisanych łatwym i prostym stylem o żywej akcji, i treści *społeczno-obyczajowej* takich autorów, jak np. Rodziewiczówna, Orzeszkowa, Prus, Reymont, Żeromski, Perzyński, Sieroszewski, Orkan, Strug i inni, a z obcych Dickens, W. Hugo, Loti, Chesterton, London, Upton Sinclair i t. p. Uwzględniono również dział *beletrystyki awanturniczo-sensacyjnej*, dobierając przytem możliwie lepsze rzeczy.

Czytelnikami muszą być obowiązkowo wszyscy świetliczanie, mogą również być kandydaci, sympatycy, oraz członkowie Tow. Trzeźwość. Pragniemy, aby wszyscy, którzy do nas przychodzą, zapoznawali się z literaturą trzeźwościową, która musi nam służyć jako jeden z czynników wychowawczych.

Opłata miesięczna wynosi 20 gr. Kaucja zwrotna 1 zł. Książki można wypożyczać do domu lub czytać w pokoju czytelnianym.

W okresie sprawozdawczym wiele dni bibljotecznych zabrał nam Kurs Alkohologji i Święta Bożego Narodzenia, dlatego bibljoteka otwarta była tylko 26 wieczorów.

Statystyka.

Księgozbiór — 350 książek i 140 broszur.

Wypożyczono: książek dla dorosłych — beletrystyki — 250 volum.
„ historycznych i naukowych — 198 „
„ literatury dziecięcej — 14 „

Przeczytano czasopism — 128.

Razem przeczytano *598* książek i czasopism. Liczba odwiedzin w bibljotece wynosi *279*.

Na 1.I. 36 roku liczba zapisanych w bibljotece — 70 osób. Jaka jest przeciętna frekwencji czytelników, jeszcze obliczyć nie można, ponieważ liczba zapisanych coraz wzrasta.

Ze statystyki widać, że zainteresowanie książką poważniejszą jest niewiele większe, niż beletrystyką, co jest objawem rzadko spotykanym, a dowodzi dobrego nastawienia i wyższego poziomu czytelników, niż w innych bibljotekach.

Należy sądzić, że Dekady, odczyty, przeźrocza, pogadanki i cała akcja Tow. Trzeźwość rozwinięta na Starem Mieście — zapuściła korzenie głębiej, niż się napozór wydaje i przygotowała umysły odbiorców do zainteresowania poważniejszemi zagadnieniami.

Czytelnia czasopism.

Czynna codziennie od 6 do 10. Korzystać z niej mogą wszyscy ci, którzy korzystają z bibljoteki Tow. Trzeźwość.

W czytelni obok pism trzeźwościowych mamy również pisma o treści ogólnej i różnych nastawieniach społeczno-politycznych, pisma co-

dzienne, tygodniki i miesięczniki. Dyżurny od czasopism prowadzi frekwencję i opiekuje się niemi, rozkłada do teczek, notuje i reklamuje braki.

Oto początek naszej pracy. Jest w niej jeszcze wiele niedociągnięć, ale może w przyszłości rozwinie się ona tak szeroko, jak tego pragniemy, a pragniemy wiele. Będziemy szli naprzód w swoich dążeniach, nie zrażając się trudnościami, — i choć walka z alkoholizmem jest bardzo ciężka, będziemy stosowali się do słów poety: „Niech was darmo nie przestrasza, że dziś podłość górą wszędzie, z wiary waszej — wola wasza, z woli waszej czyn wasz będzie".

Stanisława Krecińska.

NIECH ŻYJE „TRZEŹWOŚĆ"!

Przypomniał mi się wiersz, który i wy pewnie znacie,
Pamiętam treść,

Nawet poszczególne zdania
Stanęły na mój apel w bojowym ordynku:
Jak to młody robotnik, w sobotniej wypłacie
Wziąwszy pieniądze ostatni
Wychodzi — z dziwną jakąś na duszy tęsknotą —
I w zachodzącej zorzy roztopione złoto
Patrzy — tak chciałby słyszeć przy sobie głos bratni —
życzliwy — i dobre, mądre chciałby — słyszeć słowa.
Dusza jego do wrażeń niezwykłych gotowa,
Rozpłomieniona, jasna i wszechmiłująca —
Lecz uczucie to gaśnie z promieniami słońca,
Bo któż jemu poza tą pracą i warsztatem
Jest bliski, dłoń uściśnie, któż nazwie go „bratem"?
A jego towarzysze? Tam w pijackim wrzasku
Głuszą pragnienie wiedzy i dobra — i blasku.
Więc — po chwili wahania,
Nie mogąc znieść

Tak mu przykrej po znoju pracy samotności —
„Postał — podumał trochę — i poszedł — do szynku".
Wiersz był z dawnej epoki, dziś, w dziejach ludzkości
Ogromne zaszły zmiany
Przeróżne wynalazki, zdobycze techniczne,
Szkoły liczne,

Zniknął podział na stany.
Zarówno wnika wiedza w pałace — jak w chaty —
A w dzień wypłaty —

Czy też wogóle po pracy —
Jakże jest wszystko inaczej,
Młodego robotnika spełniły się sny —
Otwarte drzwi —

Świetlicy — gdzie młodzież się zbiera:
Trzeźwa, rozumna, gwarna — lecz nie hałaśliwa.
Ten w książkach szpera —

Ów — do jakiejś wesołej gry kolegów wzywa —
W tamtej sali jest wykład, — a tu znów zebranie —
I oto — serc kuźnica — dusz ludzkich zbratanie —
Podświadomej tęsknocie — stało się więc zadość —
Młodzież sens życia z pracy — nie z kieliszka pije —
Tętni w niej pęd do dobra — skrzy w niej szczera radość —
Taka młodzież niech żyje! i „Trzeźwość“ niech żyje!

Nela Krzepkowska.

PRZEGLĄD PRASY.

INSTYTUCJA DOZORU KURATORSKIEGO W ST. ZJEDNOCZON. AM. PÓŁN. WZGLĘDEM PRZESTĘPCÓW DOROSŁYCH. WALKA Z NIERZĄDEM, ALKOHOLIZMEM I POZOSTAWIENIEM RODZINY BEZ UTRZYMANIA *).

Większość kryminologów Zachodniej Europy w swych pracach naukowych, dotyczących warunkowego skazania i jego karno-społecznego znaczenia, ogranicza się zazwyczaj do kilku uwag o istnieniu w Ameryce odrębnego systemu warunkowego wymiaru kary, na mocy którego wyrok sądu jest połączony z wyznaczeniem kuratora urzędowego (probation officer), który obowiązany jest czuwać nad sprawowaniem się warunkowo skazanego. Amerykański system dozoru zainteresował Europę dopiero 10 — 15 lat temu i wyłącznie tylko w stosunku do przestępców nieletnich w związku z organizacją sądów dla nieletnich. Zasady i warunki zastosowania tego systemu do dorosłych przestępców pozostały prawie zupełnie pominięte.

Częstokroć starają się udowodnić, że poprawienie i przekształcenie dorosłych ludzi o uformowanym charakterze stanowi czcze marzenie i złudzenie, wynikające z bezpodstawnego idealizmu. Jest to jednak dziwny, a nawet szkodliwy przesąd, nie mający żadnych naukowych i życiowych podstaw. Nasze wewnętrzne przeświadczenie stanowczo stwierdza, że pod wpływem zmiany warunków, w których żyjemy, zmienia się i nasze wewnętrzne „ja“. Poucza nas o tem doświadczenie. Każdy chyba słyszał lub widział, że człowiek dorosły, pod wpływem innej osoby, lub zmiany otoczenia, zmienia się — jak się to zwykle mówi „do niepoznania“. Czy to nie jest przekształcenie już uformowanego dorosłego człowieka?

---

*) W Nr. 18 „*Gazety Administarcji i Policji Państwowej*“ ukazał się niezmiernie interesujący artykuł p. Prokuratora S. N., Stanisława Czerwińskiego, który ze względu na doniosłość poruszonych w nim zagadnień w całości podajemy. (Red.).

Oczywiście, poprawienie i przekształcenie dorosłych w porównaniu z wychowaniem dzieci będzie wymagać dużo więcej czasu, pracy, cierpliwości i wytrwałości, lecz kto dąży do skutecznych wyników swojej działalności, powinien być przygotowany do pewnych wysiłków, celem stworzenia i zastosowania nieoderwanych i nieskoordynowanych, lecz dobrze i dokładnie obmyślanych i rozważonych środków i sposobów.

Według zdania wybitnych kryminologów angielskich, wprowadzona w życie w Ameryce instytucja „probation officers" — ma wielką przyszłość, jako najradykalniejszy sposób walki z przestępczością nietylko nieletnich, lecz i dorosłych.

W niniejszym artykule przytoczymy główne zasady t. zw. „adult probation" [1]).

„Instytucja „probation" składa się z dwóch zasadniczych pierwiastków: 1) prawo sędziego odroczenia na okres dowolny wydania wyroku, lub zawieszenia wykonania wymierzonej już kary; 2) oddanie osoby, co do której zapadły postanowienia o odroczenie wydania wyroku, lub zawieszenia wykonania już wymierzonej kary, pod dozór kuratora urzędowego.

Z pierwszego prawa w Ameryce i w Anglji sędziowie korzystali na mocy t. zw. „commun law". Sędziowie byli uprawnieni do odroczenia ferowania wyroku w różnych przypadkach: w razie potrzeby naradzenia się z kolegami w kwestjach prawnych, przeniesienia sprawy do wyższej instancji sądowej, bądź udzielenie czasu oskarżonemu na przygotowanie sprzeciwu i t. p. W połowie XIX stulecia *M. D. Hill*, sędzia pokoju m. Birmingham, znany ze swych karno-politycznych poglądów, stosował zawieszenie wykonania orzeczonej kary względem skazanych, co do których powziął przekonanie, że nie są moralnie zepsuci, pod warunkiem jednak dobrego sprawowania się ich, przyczem żądał poręczycielstwa. Jeżeli warunek ten został dotrzymany, sędzia zwalniał zupełnie oskarżonego od kary.

Na podstawie tej praktyki sądowej została wydana ustawa o zawieszeniu wykonania kary, która z początku miała moc obowiązującą w Bostonie, ale wkrótce weszła w życie i w innych Stanach Ameryki Północnej. Znany filantrop *R. Cook* często występował jako poręczyciel w stosunku do skazanych z zawieszeniem wykonania kary. Sędziowie jednak żądali nietylko poręczycielstwa, lecz również stałej obserwacji w ciągu określonego czasu nad sprawowaniem się skazanego t. j. t. zw. probation.

Z początku obserwację wykonywały osoby prywatne dobrowolnie i bezpłatnie, lecz działalność ich została uznana za nieodpowiednią. Na mocy ustawy z r. 1878 burmistrz miasta był upoważniony do mianowania kuratorów urzędowych (probation officers), a w r. 1891 mianował

---

[1]) *Max Leder:* Das Probationssystem in Nordamerika.
A. Lenz: Angloamerikanische Reformbewegung im Strafrecht.
Hartmann: Die Strafrechtspflege in Amerika.
Mis E. P. Hayhes: The probation system of Amerika.
Lucy Bartlett: Probation in American cities.
Czasopisma: „Survey". „Journal of the American Instituts of criminal law", „New-York State Probation Commision".

ich sędzia. W r. 1900 przepisy powyższej ustawy zostały usystematyzowane i były stosowane nietylko do przestępców nieletnich, lecz i do dorosłych. W ten sposób ukształtował się drugi pierwiastek amerykańskiej ustawy warunkowego skazania — „probation", który na mocy bill'u z r. 1911 był przyjęty przez wszystkie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Omawiana ustawa określa tylko w głównych zarysach istotę i charakter dozoru, sędzia zaś może według swego uznania, w każdym poszczególnym przypadku postanowić: a) o wstrzymanie wydania wyroku, lub zawieszenia wykonania wymierzonej kary; b) o okresie dozoru, z tem jednak zastrzeżeniem, że nie może on przekraczać okresu czasu określonego przez ustawę (dla przestępstw ciężkich do lat 5, dla mniej ciężkich do lat 2 i dla wykroczeń do jednego roku).

Sędzia sprawuje ogólną kontrolę, bezpośrednim zaś organem dozoru jest urzędowy kurator, który wykonywa polecone przez sędziego czynności, a mianowicie: przed rozprawą sądową kurator obowiązany jest zająć się zbadaniem osobistości oskarżonego, wyjaśnić w miarę możności cały przebieg jego życia od urodzenia, a nawet zbadać stosunki przed urodzeniem, *w celu ustalenia atawizmu, dziedziczności, zwyrodnienia, alkoholizmu u rodziców i dalszych przodków*, okoliczności, w jakich oskarżony żył i rozwijał się, jego pracy, środków utrzymania, jego otoczenia, wpływów, pod któremi działał i t. d., oraz środków, które można wyzyskać w razie zastosowania względem oskarżonego dozoru. Po rozważeniu sprawy, w przypadkach wyznaczenia dozoru, kurator doręcza oskarżonemu kartę, zawierającą obowiązujące go przepisy.

Dozorowany obowiązany jest co najmniej raz w ciągu miesiąca osobiście, lub na piśmie dostarczać kuratorowi wiadomości o tem, jaki prowadzi tryb życia, kurator zaś powinien też, co najmniej raz na miesiąc, odwiedzać powierzone jego dozorowi osoby i starać się o uzyskanie ich zupełnego zaufania, a co za tem idzie, mieć wpływ na ich moralne przekształcenie.

W Ameryce istnieją dwa systemy „probation": a) w niektórych stanach stosuje się „probation" przy zawieszeniu wyrokowania — „suspension of the sentence" i wtedy skutkiem pomyślnego wyniku dozoru jest zupełne uniewinnienie oskarżonego; b) w innych zaś zawiesza się tylko wykonanie wymierzonej już kary, — „suspension of execution" i wtedy skuteczny wynik dozoru staje się tylko warunkiem umarzającym karę, wreszcie c) w niektórych stanach mają zastosowanie obydwa powyższe systemy. — Prawo sądów co do warunkowego zawieszenia kary przyjęte zostało przez wszystkie ustawodawstwa zachodnio-europejskie. Różnica zachodzi tylko co do warunków zastosowania powyższego przepisu. Natomiast nie została przyjęta organizacja dozoru względem przestępców dorosłych.

Skład osób powołanych do wykonywania dozoru ulegał pewnym zmianom i ewolucji. Z początku dozór kuratorski pełniły osoby prywatne dobrowolnie i bezpłatnie, lecz działalność ich była uznana za nieodpowiadającą wymaganiom kurateli sądowej. Osoby te zastąpili kuratorzy urzędowi, a mianowicie funkcjonarjusze policji państwowej, delegowani do rozporządzenia sędziego. Jednak i ten skład kuratorów był również uznany za nieodpowiedni, albowiem funkcjonarjusze policji, zajęci obo-

wiązkami zawodowemi, nie mogli poświęcać dużo czasu działalności dozorowania, a ponadto często brak im było niezbędnych kwalifikacyj, wymaganych od kuratorów.

W drugim okresie rozwoju powyższej instytucji mianowanie kuratorów oraz kierowanie ich działalnością przeszło do sędziów. Sędzia nietylko mianuje i zwalnia kuratorów, lecz daje im również ogólne instrukcje i szczególne polecenia w zakresie wykonywania dozoru. System ten ma jednak też pewne ujemne strony i wady. Przedewszystkiem sędzia może być wybitnym prawnikiem, lecz niezdolnym kierownikiem kuratorów. Ponadto, obciążony pracą zawodową, sędzia nie będzie mógł poświęcać dużo czasu na sprawy, dotyczące dozoru nad przestępcami. Wreszcie każdy sędzia będzie stosował swój odrębny system co stworzy niepożądaną rozbieżność przy stosowaniu środków dozorczych.

W niektórych stanach obecnie została stworzona odrębna państwowa komisja do spraw „probation" — „state probation commission" — której działalność polega nietylko na centralizacji materjału informacyjnego, lecz i na opracowaniu różnych projektów, celem ulepszenia organizacji pracy dozorczej i wprowadzenia jednolitej formy sprawozdań w tym zakresie spraw. Ponadto przed powyższą komisją składają egzaminy osoby, które zgłaszają swoją kandydaturę na stanowisko kuratora. Ponieważ kurator obowiązany jest posiadać dyplom z odbytych studjów w jednym z wyższych zakładów naukowych Stanów Zjednoczonych prawa karnego i kryminologji, egzaminy te mają przeważnie charakter praktyczno - teoretyczny.

Według zdania *dr. Bolstera,* kurator powinien posiadać następujące przymioty: bezwzględną pracowitość, zdolność rozpoznawania indywidualnych cech charakteru dozorowanych i umiejętnego psychologicznego oddziaływania i stosowania sposobów przekształcenia wad charakteru danego osobnika i t. d.

Wydajność działalności systemu „probation" należy zawdzięczać w wielkim stopniu współpracy różnych organizacyj społecznych. „Probation movement" liczy tysiące gorących zwolenników i dziesiątki stowarzyszeń, pracujących nad rozszerzeniem i utrwaleniem w życiu instytucji „probation". Tak np. w Stanach Zjedn. znany jest „National Conference of Charities and Correction", który wyłonił specjalną komisję, mającą na celu najszersze i rozleglejsze stosowanie najodpowiedniejszych sposobów dozoru nad przestępcami, co do których wykonanie kary, lub wydanie wyroku zostało zawieszone.

Współpraca sędziego i kuratora ma decydujący wpływ nietylko na stosowanie sposobów walki z przestępczością, lecz również i na charakter i tryb procesu sądowego. Z punktu widzenia metod walki z przestępczością *dr. Bolster* trafnie uznał „probation" za jeden ze sposobów prewencji sądowej.

Obowiązek kuratora, jak zaznaczyliśmy wyżej, polega na tem, żeby zapomocą umiejętnego oddziaływania duchowego na osobnika, który odchylił się od normalnego trybu życia społecznego i moralnego sprawowania się, *usunąć przyczyny, które pchały go na drogę przestępczości*, albowiem wymiar sprawiedliwości ma na celu nietylko, jak to było dawniej, ukaranie sprawcy, lecz *przeważnie stosowanie środków wychowawczych i zabezpieczających.* Każdy rodzaj czynów przestępnych wymaga stoso-

wania pewnych określonych, całkiem odrębnych sposobów walki, a przeto skomplikowana praca sądowa wyłoniła myśl o specjalizacji sądów, a co za tem idzie ustalenie nowych przepisów procesowych.

Wiadomo wszakże jaką rewolucję wywołało w dziedzinie sposobów walki i w trybie postępowania sądowego w sprawach o przestępstwach popełnionych przez nieletnich.

Aby przyśpieszyć załatwienie drobnych spraw o wykroczenie, w Ameryce zostały wprowdzone t. zw. sądy nocne (night courts). Nocleg zatrzymanych w komisarjacie za drobne wykroczenia, strata czasu przez świadków, zmuszonych odrywać się w dzień od pracy, celem stawienia się do sądu, nadużycia na tle zwolnienia zatrzymanych za poręczeniem— wszystko to spowodowało urządzenie wspomnianych nocnych sądów, by natychmiast rozpatrzeć sprawy karno-policyjne, wynikłe po zakończeniu dziennych posiedzeń sądowych.

Praktyka ujawniła, że sądy nocne rozważały przeważnie sprawy o pewnym charakterze. *Znaczny procent* osób sądzonych w sądach nocnych stanowiły *kobiety*, oskarżone o uprawianie *nierządu i o zakłócenie spokoju* na ulicach (soliciting on the street). Zatrzymanych dostarczają do sądu nocnego, który natychmiast wymierza im karę. Jednocześnie specjalna komisja (Page commission) wyodrębniła oddział sądu nocnego dla kobiet.

Z początku sędziów ogarnęła rozpacz z powodu bezcelowości ich pracy, polegającej na skazywaniu na areszt, lub grzywnę kobiety oskarżonej o nierząd, która następnego dnia powracała do swego przestępnego zawodu. Przeciwko stosowaniu grzywny, jako kary za nierząd, pomimo niemoralności wzbogacania się skarbu kosztem uprawiania hańbiącego zawodu przez oskarżoną, przemawia i ta okoliczność, że przymusowe uiszczenie grzywny pcha kobietę w jeszcze większą przepaść, albowiem zazwyczaj jest ona zmuszona szukać sutenera, który spłaca za nią grzywnę i wykorzystuje ją w najohydniejszy sposób. Ten stan rzeczy jednak w krótkim czasie uległ gruntownej zmianie. *Do dyspozycji sędziego zostały przydzielone kuratorki i kobiety - lekarze.* Sędzia, ustaliwszy winę oskarżonej uprawiania nierządu, nie wymierza jej natychmiast kary, lecz zarządza przez kuratorkę obserwację. Kuratorka poleca kobiecie-lekarzowi zbadanie stanu zdrowia oskarżonej i w razie skonstatowania choroby wenerycznej — skierowuje ją do szpitala. Drogą poufnej rozmowy z oskarżoną, oraz zapomocą innych odpowiednich sposobów, kuratorka stara się ujawnić nazwisko oskarżonej, miejsce zamieszkania i stosunki rodzinne. Na przewodzie sądowym oskarżona zazwyczaj bądź z powodu wstydu, bądź strachu, opowiada o sobie niestworzone rzeczy. Podczas poufnej biesiady z kuratorką, przyczyny powyższe prawie zupełnie znikają. Kuratorka obowiązana jest sprawdzić otrzymane od oskarżonej wiadomości, wyświetlić warunki jej życia i otoczenia, oraz przyczyny, które skłoniły ją do uprawiania nierządu i wreszcie wykorzystać wszystko, co mogłoby nawrócić kobietę na drogę uczciwego życia [1]). Jeżeli kobieta nie jest niepoprawną prostytutką, kuratorka, wyjaśniwszy okolicz-

---

[1]) W Stanach Zjednoczonych uprawianie nierządu jest karalne: według naszego k. k. podlegają karze tylko osoby ułatwiające cudzy nierząd z chęci zysku (art. 208 k .k.).

ności sprawy, składa przed sądem wniosek o oddanie oskarżonej pod dozór kuratorski. Gdyby się okazało niemożliwe stworzyć odpowiednie warunki do poprawy takiej kobiety przez umieszczenie jej w rodzinie, kuratorka obowiązana jest skierować ją do „Probation Association", *która posiada kilka przytułków pracy dla kobiet*. Po upływie określonego czasu kuratorka czyni starania, *aby zapewnić takim kobietom odpowiednią pracę*. Gdyby nie udało się osiągnąć pomyślnych wyników i kobieta powróciłaby do uprawiania nierządu, to sędzia na wniosek kuratorki może skierować ją *z powrotem do domu pracy* na przeciąg czasu do 6 miesięcy, bądź do kobiecego reformatorium.

Długoletnia przełożona reformatorium w Betfordzie *Mrs. K. B. Davis*, na mocy danych statystycznych stwierdziła, że 70% kobiet, które przeszły przez reformatorium, powróciło do uczciwego trybu życia.

Zdaniem *Mrs. Davis*, dozór kuratorski ma w Ameryce bardzo doniosłe znaczenie nietylko w walce z prostytucją, lecz również w walce z urządzeniami zakazanej *gry hazardowej i z alkoholizmem*, albowiem utrudnił dobrze znaną ogółowi „przychylność i życzliwość policji amerykańskiej dla domów schadzek, gry hazardowej i potajemnej sprzedaży napojów alkoholowych".

Drugim przykładem specjalizacji metod walki z przestępczością zapomocą nadzoru kuratorów stanowią „sądy familijne".

Prawie we wszystkich stanach Ameryki obecnie wprowadzone zostały t. zw. „non support laws", t. j. *ustawy przewidujące odpowiedzialność karną za pozostawienie rodziny bez utrzymania*. Kara ma przeważnie charakter zastraszający, chodzi zaś głównie o zabezpieczenie materjalne porzuconej rodziny. Sprawy powyższe podlegają właściwości sądów dla nieletnich. Sąd, ustaliwszy niedbałość głowy rodziny co do wykonywania swych obowiązków, bądź pozostawienie rodziny bez środków materjalnych, skazuje go na karę więzienia, lub na umieszczenie w domach pracy, wstrzymuje jednak wykonanie wyroku pod warunkiem wypłaty tygodniowo określonej sumy pieniężnej na korzyść rodziny. Pieniądze otrzymuje kurator i doręcza rodzinie.

Stanowisko urzędowego kuratora, jako pośrednika między małżonkami, bądź małżonkiem a jego rodziną umożliwia mu głębsze i dokładniejsze zapoznanie się ze stosunkami rodzinnemi i warunkami stron, a tem samem pozwala załatwiać wszelkie nieporozumienia rodzinne, pomijając uciążliwy i kosztowny proces cywilny.

Sąd familijny bardzo rozszerzył swoją działalność. Obecnie do jego kompetencji należą wszystkie sprawy, dotyczące różnych konfliktów rodzinnych (court of domestic relation), a mianowicie: porwanie dzieci do lat 12 przez jednego z rodziców, utrzymanie dzieci nieślubnych, demoralizacja dzieci, *sprzedaż dzieciom tytoniu, wódki* i t. p.

Jawny sąd działa deprawująco na kobiety i dzieci, zmuszone zwracać się do sądu ze skargami; tajemnica życia rodzinnego staje się przedmiotem próżnej i szkodliwej ciekawości tłumu i częstokroć, zamiast zgody, wprowadza w życie rodzinne wzajemne rozjątrzenie. Natomiast działalność powyższych sądów familijnych wywiera nietylko zbawienny wpływ na stosunki rodzinne, lecz i na życie społeczne, zmniejszając ilość rodzin, wymagających wsparcia i pomocy społecznej, oraz ilość nałogowych próżniaków, albowiem sądy te stosują umieszczenie w domach pra-

cy tylko wówczas, gdy zostaną wyczerpane wszelkie inne sposoby zachęcenia do pracy na wolności.

Według danych statystycznych w r. 1924 w Chicago z ogólnej liczby 2896 spraw — 1173 zostało rozstrzygniętych przez sądy familijne, jak następuje: w 430 przypadkach wyznaczono zapomogi przez towarzystwa dobroczynne. 247 spraw skierowano do prokuratora; 980 — załatwiono przez kuratorów; 66 — nie wymagało żadnych porad. Z liczby 416 spraw o alimenta dla dzieci nieślubnych — 130 zakończyło się, wskutek ingerencji kuratorów, zawarciem związku małżeńskiego ojca z matką nieślubnego dziecka.

Skuteczność działalności kuratorów urzędowych, czuwających nad przestępczością nieletnich, prostytucją i niewykonywaniem obowiązków rodzinnych, spowodowało rozszerzenie tychże metod również *na walkę z jedną z najpoważniejszych klęsk społecznych — alkoholizmem.*

Zgóry można być przekonanym, że nawet nałogowy pijak będzie miał lepsze warunki do poprawy, jeżeli będzie oddany pod dozór wykwalifikowanego kuratora urzędowego, niż gdyby był umieszczony w więzieniu, lub domu pracy, *ponieważ częstokroć jeszcze więcej się tam demoralizuje, dochodzi do rozpaczy, zatraca poczucie wstydu, honoru i wciąga się do środowiska przestępców.*

Kurator obowiązany jest zarządzić obserwację i przeprowadzić wywiad, by ustalić tryb życia oskarżonego i wysłuchać jego wyjaśnień. Przedstawia oskarżonemu szkodliwe następstwa nadużycia napojów wyskokowych dla niego osobiście i dla otoczenia, radzi, jednocześnie zaś uprzedza, że pozostaje pod obserwacją i w razie braku poprawy będą względem niego zastosowane środki surowsze.

Takie psychologiczne oddziaływanie w większości wypadków, jak twierdzi *dr. King*, daje bardzo dodatnie wyniki, szczególnie względem t. zw. „normalnych alkoholików", gdy przyzwyczajenie do alkoholu wywołane było przez szkodliwy wpływ otoczenia, a czynnik indywidualny pobudzający do pijaństwa, nie jest zbyt gwałtowny. Jeżeli bezpośredni wpływ kuratora na wolę dozorowanego nie wystarcza, to powinien on użyć wpływu ludzi bliskich i przyjaciół dozorowanego, a w razie potrzeby — lekarza i osoby duchownej.

Na mocy ustawy z dnia 8 maja 1905 r., dla wykonania powyższych obowiązków, kurator urzędowy powinien być powiadomiony o każdej osobie zatrzymanej z powodu stanu opilstwa ze wskazaniem miejsca jego zamieszkania, rodzaju zajęcia, oraz członków rodziny, znajdujących się na jego utrzymaniu, o ile oczywiście, te wiadomości mogą być natychmiast ustalone. Kurator ma prawo, jeżeli uzna za odpowiednie, zwolnić aresztowanego przed rozprawą sądową, na rozprawie zaś obowiązany jest przedstawić sędziemu zebrane wiadomości, dotyczące osoby zatrzymanej, jego stanu rodzinnego i poprzedniej karalności.

System powyższy daje możność osiągnięcia jednocześnie dwóch celów: a) zwolnienie zatrzymanego od przymusowego noclegu w pomieszczeniu dla aresztowanych przy policji w towarzystwie chronicznych alkoholików i włóczęgów; b) ułatwia sędziemu natychmiastowe odróżnienie przypadkowo nietrzeźwego od nałogowego pijaka. Częstokroć stawiennictwo oskarżonego o opilstwo na rozprawę sądową staje się zbędne, albowiem sędzia na wniosek kuratora może zawiesić wyroko-

wanie. Okoliczność powyższa ma również poważne znaczenie, ponieważ w tych warunkach przypadkowy przestępca unika hańbiącego figurowania na liście sądzonych. Według danych statystycznych 1/3 aresztowanych za tego rodzaju wykroczenia korzysta z dobrodziejstwa powyższego przepisu.

W New-Jorku w r. 1911 weszła w życie ustawa, na mocy której w miastach, liczących powyżej 50.000 mieszkańców, zostały zorganizowane specjalne rady — „board of inebriaty". Członkowie tych rad są mianowani przez burmistrza. Rada posiada dla alkoholików nałogowych specjalne zakłady lecznicze i *kolonje rolne*, na których czele stoją wybitni lekarze.

Władza policyjna obowiązana jest zawiadomić radę o każdym zatrzymanym w stanie opilstwa, która poleca swemu agentowi przeprowadzenie dochodzenia. Osoby, które przedtem w ciągu 12 ostatnich miesięcy nie były zarejestrowane jako zatrzymane z powodu opilstwa, mogą być zwolnione przez agenta rady bez sprawy karnej. Na mocy wyroku sądowego osoby wymagające leczenia, podlegają umieszczeniu w specjalnych zakładach leczniczych, *recydywiści zaś—w kolonjach rolnych, gdzie również korzystają z opieki lekarskiej.*

W miastach mniejszych rada obowiązana jest utrzymywać określoną ilość łóżek w szpitalach ogólnych dla alkoholików nałogowych.

Powołana ustawa przewiduje również dobrowolne wstąpienie do zakładu leczniczego dla alkoholików. W tym przypadku składa się podanie na piśmie z odpowiedniem zaświadczeniem lekarskiem.

Oprócz tej procedury ogólnej, ustawa zna jeszcze procedurę specjalną, dotyczącą t. zw. niebezpiecznych pijaków. W tych wypadkach rodzina może się udać do „rady", która uprawniona jest do natychmiastowego pozbawienia alkoholika wolności i umieszczenia go w szpitalu, jeżeli przyjdzie do wniosku, że jest on niebezpieczny dla rodziny, lub otoczenia, lub też dla siebie samego wobec możliwości samobójstwa.

Ustawodawstwa Europy Zachodniej przyjęły tylko przepisy dotyczące zawieszenia wykonania orzeczonej wyrokiem kary, zupełnie pomijając organizację dozoru kuratorskiego względem przestępców dorosłych.

Warunkowe odroczenie wykonania kary stanowi tylko prawną podstawę, na której rozwija się nadzór kuratorski, jako środek uzdrowienia warstw przestępnych i zapobieżenia przestępczości.

Sądy nasze, stosując zawieszenie wykonania kary, tem samem stwierdzają, że przestępstwo zostało popełnione przypadkowo, pod wpływem czynników społecznych. Pozostawiają one skazanemu możność udowodnienia tego przez wstrzymanie się od popełnienia nowych czynów przestępnych w przeciągu określonego czasu. W ten jednak sposób sądy pozostawiają warunkowo skazanego pod wpływem tych samych czynników społecznych i warunków życiowych, które oczywiście znowu go skłonią do popełnienia przestępstwa. Wtedy sąd mu powie: „jesteś niepoprawnym przestępcą i zasługujesz na cięższą karę".

Sądy amerykańskie, przemawiając do skazanego w tych samych słowach, co i nasze sądy, troszczą się jednak o to, żeby usunąć działanie i wpływy szkodliwych czynników społecznych i warunków życiowych i wymierzają oskarżonemu karę tylko w przypadku, gdy po usunięciu

powyższych czynników i warunków, skazany warunkowo ujawni te same występne skłonności.

Jeżeli przestępstwo jest chorobą społeczną, jeżeli sąd jest powołany do walki z nią, to powinien, jako lekarz, nietylko stosować odpowiednie środki lecznicze, lecz przedewszystkiem czuwać nad usunięciem przyczyn, które spowodowały chorobę.

Jeżeli pozostawić chorego w tem samem otoczeniu i w tych samych warunkach, które wywołały chorobę, staje się ona zazwyczaj chroniczną, a przeto nieuleczalną.

Stanisław Czerwiński

W SPRAWIE ETERYZMU NA ŚLĄSKU.

Na klęskę eteryzmu na Śląsku zwrócił po raz pierwszy uwagę opinji publicznej w Polsce p. Dyrektor Kazimierz Hrabin, wygłaszając na Zjeździe Delegatów Kół Tow. Trzeźwość w r. 1933 w Warszawie referat p. t. „Narkomanje w Szkole“, który został podany w „Trzeźwości“ i następnie wydany w postaci osobnej broszury *). Dane o eteryzmie wśród dzieci szkolnych w szeregu miejscowości G. Śląska, przytoczone przez autora były tak groźne, że cała niemal prasa polska zwróciła na broszurę p. Hrabina baczną uwagę, obszernie ją omawiając. — W grudniu 1934 r. ukazał się w Kurjerze Porannym artykuł p. J. Radzymińskiego p. t. „Wsie i osiedla w szponach przemytników eteru“, który podaliśmy w Nr. 1 „Trzeźwości“ z r. b. (str. 40—42). W maju b. r. „Dobry Wieczór—Kurjer Czerwony“ zamieścił szereg sensacyjnych reportaży pod ogólnym tytułem: „Tam pachnie eter“ — gdzie przed zdumionymi oczami czytelników stanął groźny obraz *wielkiej już klęski społecznej. Autor p. S. M. S.* stwierdza istnienie na Śląsku warunków, w szczególny sposób ułatwiających istnienie i rozwój przemytu; i tak w marcu b. r. straż graniczna ujęła przemyt wartości 69.000 zł. (udowodniono go na 90.000 zł.), schwytano 724 przemytników; m. in. zatrzymano 217 klg. spirytualij i 156 klg. eteru. W Rybniku w sądzie odbywa się rozprawa przeciw szoferowi, któremu udowodniono przemyt eteru z Niemiec — tłomaczył się, że nie wiedział, co wiezie. Na pytanie sędziego, czy nie zwrócił uwagi na charakterystyczny zapach eteru wydobywający się z bidonów, odpowiedział: „tu wszystko śmierdzi eterem, że skądbym wywąchał, że tu jest eter. Ja tego zapachu już tu nie odróżniam“.

I autor pojechał na Śląsk, aby zbadać stan sprawy na miejscu,

„Odsłonić smutną przeraźliwą zasłonę, okrywającą ten nieznany zielony piękny Śląsk. Jedziemy posłuchać, jak noc w noc w sosnowych gaikach, wśród łanów wschodzącego żyta trzaskają salwy strzałów. Jedziemy zobaczyć ziemiste, upiorne twarze dzieci, które migają nam za szybami wagonów na peronach Bełsznicy, Wodzisławia, Redlina...

„Patrzą, trzymając się za ręce, w okna wagonów, małe upiorki. Dziwne upiorki o sinych ustach i nieprzytomnych oczach. Pociąg przej-

---

*) *Hrabin Kazimierz.* — Narkomanje w szkole. I. Alkoholizm. II. Eteryzm. Z przedmową Doc. Dr. G. Szulca. Z 16 tablicami wykresów. W-wa, Nakł. Tow. „Trzeźwość“. 1934 r. Str. 32. Cena 1 zł.

dzie i syte wrażeń i sensacyj przejeżdżającego pociągu, pójdą do swoich schludnych domostw wśród sadów. A w domostwach tych czekają je inne sensacje: właśnie matka studzi wodę i szykuje cynamon. Gdzieś w skrytce czeka zatajona flaszka z eterem, którą właśnie przyniósł tylko co ojciec. Tylko patrzeć, a napój będzie gotowy. Nie potrzebują upominać się o kieliszek, matka sama da i Hetce i Karolkowi i Pietrkowi... Ojciec wypije i matka i szwagier i ciotka. Dzieciom dadzą...

I popłynie nad czerwonem domostwem duszny upiorny sen. Sen pachnący eterem i cynamonem...

Chodźmy za temi upiorkami trzymającemi się za ręce i biegnącemi miedzą ku widniejącemu zdala domkowi...

Otwieramy drzwi wagonu. O, rybnicki szofer miał rację. Zdaje się — nie jabłonie to pachną. To pachnie eter..."

Autor stwierdza dalej, że „eteryzm pleni się dotąd niemal bezkarnie" i sądzi, że liczba ulegających nałogowi eteromanji, podana przez p. Wiceprokuratora Firstenberga w jego doskonałej broszurze o walce z narkomanją na około 10.000 jest zbyt mała.

„Zaraza idzie szeroką falą. Śląsk jest zatruty eterem, Śląsk jest zaczadzony... I jest to zaraza ogromna, idąca, jak trujący wiatr nad szerokiemi połaciami naszego kraju... o której trzeba mówić głośno, coraz głośniej, zanim nie będzie za późno. Już teraz wsie idą z dymem, już teraz ludzie kładą się pokotem, krają się nożami w przerażającej eterowej furji. Już teraz setki i tysiące dzieciarni trupio-bladej charcze i pluje krwią, tępieje, wysycha, gnije w zatrutem bagnie nałogu...

Dzieci... Otóż one...

— Ach, panie, — mówi, rozkładając ręce, kierownik jednej ze szkół w okolicy Wodzisławia, — panie, przecież na to rady niema. żadna epidemja, żadne szkarlatyny, dyfteryty, koklusze nie wytrzebią tak dzieciarni, jak eter. Panie, to leci przez palce. Niema na to medycyny, sądów, szczepionek, batów. To leci przez palce. Trzy czwarte mojej szkoły kretynieje z dnia na dzień, a za dziesięć lat z tych, co pan widzi (pokazuje ręką na gromady dzieciaków ciągnących sznurem po szosie do szkoły), za pięć-dziesięć lat z tych będzie żyła czwarta część. Resztę zje eter...

Patrzymy z niedowierzaniem.

— Panie — rozkłada ręce — czy uwierzy pan, że co drugie dziecko z tych, co pan widzi, jest w tej chwili pół-przytomne? O, zaraz pan zobaczy. Hetka, chodź tu! — woła.

Od gromadki dziewczynek oddziela się jedna. Idzie wolno naukos przez szosę, bujając tornistrem. Jest wysoka, szczupła. Może mieć lat czternaście — piętnaście. Zdala widać dwa blond warkocze. Idzie wolno ku ogródkowi przed szkołą, gdzie stoimy w cieniu zakwitającej jabłoni...

— Hetka! A pośpiesz się, — woła kierownik.

Dziewczyna przyśpiesza kroku.

Ale o niej — nieco później. Narazie — kilka cyfr i kilka słów o drogach jakiemi idzie zaraza na Śląsk.

W jednym tylko miesiącu straż graniczna przyłapała około pięciuset osób przemycających eter.

U przyłapanych skonfiskowano sto pięćdziesiąt sześć kilogramów eteru.

Z przemytnikami stoczono sześćdziesiąt dwie krwawe walki. Kilkadziesiąt osób zostało rannych, trzy zabite.

To wszystko na przestrzeni jednego miesiąca i na szczupłym odcinku granicznym kilku powiatów.

I to wszystko, co dało się przyłapać, skonfiskować i zarejestrować. A ileż przeciekło przez palce, umknęło spod najczujniejszego oka straży, zwiodło najczujniejszy węch. Dziesięć, dwadzieścia, sto razy tyle? Być może i więcej. Być może na tej samej przestrzeni i w tym samym czasie wypito tysiące litrów eteru. Dziesiątki tysięcy litrów trucizny przewaliło się przez roztrzęsione serca i odurzone mózgi dziesiątków tysięcy ludzi. Ileż trupów i rannych padło pod rewolwerowemi strzałami i ciosami noża z rąk, któremi miotał eter. Ileż katastrof zatajonych, nieuchwytnych, wymykających się spod wszelkich rejestracyj i statystyk zrodziło się w osiedlach ludzkich ,rozsypanych jak groch na zielonych płaszczyznach Śląska. Ileż nieszczęścia, choroby, zmarnowanych pieniędzy, zwyrodnienia, upadku i śmierci spłynęło wraz z temi cysternami trucizny, które poprzez tamy straży i czujności zalały na tym małym odcinku, w tym krótkim czasie tysiące istnień ludzkich. Tego nie złapie żadna statystyka..."

Eter przemycany jest tysiącznymi sposobami, często bardzo pomysłowymi.

„Niema granic — i tysiące litrów eteru rozsprzedaje się w tysiącach zakamarków Śląska spod poły, z za lady, pocichu, potajemnie, z za furtki, przez uchylone okiennice. Litr eteru, to 10 litrów napoju. 10 litrów napoju — to 50 ludzi leżących pokotem, zaczadziałych, oszalałych, wytrąconych na kilka godzin ze świata ludzi normalnych. To litry zwyrodniałej krwi, to hekatomby zwyrodniałych komórek mózgu, to upiorny sen zwyrodniałych, zaczadzonych dusz...

Tak, to wsiąka stamtąd tu. Statystyka, rejestracja, liczby, numerki — cóż? To tylko słabe odbicie rzeczywistości..."

Następuje obrazek ze szkoły:

„Dziewczyna mogła mieć lat czternaście — piętnaście. Kanciastość ruchów podlotka podkreślała jeszcze chorobliwa jej szczupłość. A najbardziej chorobliwa była twarz — ziemista i bezbarwna. Cera, nie ta anemiczna, którą często miewają podlotki, lecz wyprana z wszelkich rumieńców, które byłyby, gdyby nie była narkomanką... i to narkomanką w obecnych warunkach nieuleczalną.

Świecąc zapadłemi oczodołami podkrążonemi siną obwódką, stała niezdecydowanie. Bujała tornistrem z widocznem zakłopotaniem.

— No, cóż, Hetka, — zagadnął kierownik, — dziś cię głowa nie boli już, co?

Potrząsnęła warkoczami, co mogło oznaczać — nie.

— Lekcje odrobiłaś, co?

Spojrzała tępo. Coś jakby strach zamigotało w oczach. Skinęła głową.

— To dobrze. — Kierownik silił się na ton najbardziej ojcowski (mógłby, coprawda być dziadkiem tej dziewczyny) — to dobrze, Hetka. Bo to wstyd, że ty taka mądra dziewczyna, a Nowakówna uczy się lepiej od ciebie. Prawda?

Skinęła głową. żal było patrzeć, jak męczy ją ta rozmowa.

— Ano, bo widzisz: Nowakówna nie upija się tak, jak ty. Prawda?

Zdanie to powiedział tym samym ojcowskim tonem. I dzięki temu, że ton ten był tak ojcowski, o brzmieniu tak powszedniem i codziennem— powiedzenie do młodego podlotka, że się upija, brzmiało niemal groteskowo. Przeraźliwie groteskowo. O wszystkiem można było mówić z tą dziewczyną, o szkole, o lalkach, o sukience, o wszystkiem w granicach jej czternastu lat — ale nie o upijaniu się.

— Nie pije tak, — ciągnął z niezmąconym spokojem kierownik, — no, wypije czasem kieliszek — dwa, jak już musi, choć i to jest wielki grzech i bardzo niedobrze, ale nie tak jak ty: dzień w dzień.

Hektyczny słaby rumieniec wypłynął na jej policzki. Najwyraźniej zawstydziła się. Zerknęła w moją stronę onieśmielona i zmieszana obecnością obcego przy tej ojcowskiej admonicji. Z wielkiego zażenowania jeszcze raz skinęła głową, potwierdzając to „dzień w dzień".

— ... i przez to Nowakówna teraz lepiej się uczy niż ty. A mówiłaś matuli, co ci mówiłem wczoraj?

Skinęła głową.

Spojrzała hardo. Zmieszanie i zawstydzenie przemieniło się w jakąś niewyzwoloną wściekłość. Po raz pierwszy odezwała się:

— Matula powiedziała, że to nieprawda. I że to nie pana kierownika rzecz...

Jeszcze parę tak samo dziwnych pytań i skinień głową — odeszła. Bujając tornistrem, skręciła za dom, skąd dolatywały głosy innych dziewczyn...

— No, i widzi pan, — mówił kierownik, — pokazałem panu zbliska jedną z tych narkomanek. Jedną z setek, niesłychanie typową. Jest w szkole od czterech lat, była miłem rezolutnem materjałem do wychowania. Teraz kretynieje, z dnia na dzień coraz bardziej chora i wykolejona. Narkomanka, jedna z setek, a, właściwie, takich są tysiące. Widział pan, jak wygląda? Przecież to zupełnie chora. Uczy się coraz gorzej, właściwie wcale się nie uczy. Łapie coś niecoś resztkami wrodzonej inteligencji, ale to już niedługo. Za rok—będzie do niczego, nie posunie się ani o krok dalej. Rozwój jej umysłowy skończył się, tak samo niemal jak fizyczny. Charłacieje, gnije, za rok — dwa, byle mała choroba i zgniły organizm nie wytrzyma...

— Powtarzam: to jedna z tysiąca. Niech pan opisze ją jedną — opisze pan takie same Hetki w dziesiątkach szkół na Śląsku. Zwyrodniałe pokolenie, zatrute, zniszczone. Narkomanja zżera ich, — powtarzam— gorzej, niż najgorsze epidemje. I to nie są żarty, to nie są sporadyczne wypadki. To jest klęska, o której wie się mało, a która jest stokroć groźniejsza niż się wydaje.

— Nie mamy statystyk, nie mogę panu powiedzieć liczb. Ale jedno jest pewne: takich Hetek są setki. A nawet tysiące. Jedyna niemal statystyka, jaką mamy dotąd, to są wykresy zrobione przez człowieka, który bodaj pierwszy przemówił w druku o pladze eteromanji na Śląsku: prof. Hrabina, byłego kierownika szkoły w Tychach. Ale to są wykresy z roku 1929 — 1930, a więc jak na dziś — grubo przestarzałe i nie odzwierciadlające klęski tej dziś".

„Dziś, dodaje, dzieci eteromanów można liczyć na tysiące, bo eteromanja na Śląsku wzrosła wielokrotnie".

Kierownik szkoły uważa, że w walce z klęską eteryzmu jest tylko jedna broń: perswazja. Mówiąc „nie pijcie“, działa na ambicję.

— „Perswazja, oto co mi pozostało. Urządzałem konferencje, pogadanki, straszyłem, wzywałem rodziców. Odsyłałem pijane dzieci ze szkoły do domów. Groziłem wydaleniem. Na nic. Zbuntowałem przeciw sobie wszystkich, a osiągnąłem tylko tyle, że dzieci nie przychodzą pijane do szkoły. Ale zato upijają się po powrocie do domu. Tak...

— Ta Hetka. Dowiedziałem się, że jej matka jest gorliwą katoliczką. Gdy spotkałem któregoś wieczora przed kilku dniami Hetkę na ulicy kompletnie zaczadzoną od eteru i powiedziała mi, że się upiła, bo są matuli imieniny, kazałem jej, aby powiedziała matce, że to wielki grzech dla młodej dziewczyny pić eter. Słyszał pan, co odpowiedziała dziś — „to nie pana kierownika rzecz“... I to jest źródło tej klęski — sami rodzice. Rodzice, którzy wytruwają swoje dzieci. Świadomie wytruwają.

— Opowiem panu, czego tu, w mojej wsi byłem świadkiem. Wie pan, jak wyglądają ludzie upici eterem? Nie? Opowiem panu... Nie umiem opowiadać, ale może pan to napisze lepiej...

Mniejsza o to, gdzie się działo to, o czem opowiadał p. Ch., ten sam, który po wielu latach zaciętej walki z eteromanją wśród dzieci szkolnych w okolicach Wodzisławia, walczy ostatnią trzcinką, jaka mu pozostała — perswazją. (Jest wiele tragicznej bezradności i pesymizmu w posługiwaniu się tą ostatnią bronią).

Mniejsza o to, gdzie. Równie często dzieje się to wszędzie, w różnych Kokoszycach, Murklowicach, Popielowach, Swierklanach, w setkach osad i wsi zielonego Śląska. Tak jak Hetka jest jednem z tysięcy dzieci, przeżartych eterem, tak „krzciny“ u jakiegoś Szulca, czy Antczaka w Popielowach, czy Kokoszycach dają obraz tego, co dzieje się wszędzie i codzień.

Pije się eter codzień. Na całym zielonym Śląsku niema, dosłownie niema domu, w którymby nie znalazło się eteru. (Dość powiedzieć, że przeprowadzona niedawno przez celników lotna rewizja we wsi Bojszowy, przeprowadzona zresztą pobieżnie, wykryła w kilku zaledwie domach 90 litrów eteru). Pije się codzień. Eter jest tańszy niż piwo i wódka, litr przemyconego eteru kosztuje około dzisięciu złotych, z litra eteru produkuje się około dziesięciu litrów napoju. A więc wypada po złotówce litr. Więc pije się litrami, rano, idąc do pracy, przy obiedzie. (Eter zabija głód, wystarczy więc na obiad misa kartofli za parę groszy, a resztę uzupełni eter, lepiej niż mięso i chleb). Pije się na noc. Eter jest tak powszechny, tani, dostępny, że traktuje się go niemal jak lemonjadę, jak piwo, jak wodę sodową. W mróz i upał, przy okazji i bez. Czem szklaneczka wina dla Francuza i Włocha, a kufel piwa dla Niemca — tem szklaneczka eteru dla Ślązaka.

Pije się więc codzień. Tak jak u nas częstuje się miłego gościa herbatą — tak tam wyciąga się ze skrytki (bo to jednak niewiadomo, czy właśnie nie napatoczy się celnik, lub ze straży granicznej) eter. Jak wino, piwo, herbata.

Powszedni ten trunek nabiera jednak specjalnego charakteru przy lada okazji „świątecznej“. A więc chrzciny, urodziny, wesele. Coprawda i wódka też zmienia swój charakter w Polsce przy takich okazjach, ale u eteromanów ostrzej występuje zjawisko znane w patologji medycznej

pod nazwą „prozelityzm narkomanów". Prozelityzm polega na usilnem namawianiu całego otoczenia do używania narkotyków. Łączenie się w stado, przeżywanie wspólnie patologicznych sensacyj i oszołomień charakteryzuje kokainistów i morfinistów (stąd wywodzą się ich kluby). Alkohol równie wywołuje pewien prozelityzm (niepijący uczestnik ogólnej „biby" wywołuje przeciw sobie niemal wrogi stosunek pijących). Eteromani bodaj w najsilniejszym stopniu są prozelitami. Dlatego „krzciny", czy inne święto u jakiegoś Szulca, czy Antczaka, zgarniają niemal całe Kokoszyce, lub Marłkowice.

Skrzykują się, zwąchują, ściągają z bliższych i dalszych stron. Jest coś zaraźliwego w wieści, że tu, lub tam idzie gromadne „picie". Matki ciągną z dzieciakami, bo przecież niesposób zostawić małych w domu, a zresztą „niech sobie też popiją". I gromadne „picie" przemienia się w groźną bachanalję, w bezładną orgję zaczadzonego tłumu.

Z jednego litra eteru przygotowuje się około dziesięciu litrów napoju. Jest słodki, smaczny i pachnący (cynamon, goździki, cukier). Działanie tego, jak mówią tam „picia", jest o wiele gwałtowniejsze, niż działanie alkoholu. Do zupełnego upicia się eterem wystarczy najwyżej pół litra zdradzieckiej mieszanki. A więc litr czystego eteru przemienia w zwierzęta dwudziestu ludzi. Dziesięć litrów wystarczy, aby cały tłum „chodził na uszach".

Efekt upicia się eterem jest o wiele gwałtowniejszy i groźniejszy, niż alkoholu. Ataki furji, podniecenie seksualne prowadzące do dzikich zbiorowych ekscesów, rozprzężenie wszelkich hamulców moralnych, wyzwolenie najgorszych instynktów — do tego trzeba niewiele. „Krzciny", czy wesele stają się najwyuzdańszą orgją, kończącą się niemal zawsze rozlewem krwi. Gromadne bójki zaczadzonych eterem są przerażające w swem okrucieństwie i zaciekłości. Z reguły w epilogu „krzcin" leżą pokotem trupy i ranni. „Krzciny", na których nie pokrajano się nożami, lub nie wybito wszystkich szyb, albo zgoła nie podpalono stodoły, czy obory (epilog bardzo częsty, stąd wielka ilość pożarów na zielonym Śląsku) — takie „krzciny" nie udały się. Szulc, czy Antczak jest skompromitowany.

W orgjach tych biorą udział i dzieci. Wśród nieprzytomnej wrzawy, zbiorowego obłędu furjatów — błąkają się zaczadzone i nieprzytomne, zsiniałe, ze szklistemi oczami. Ojcowie, matki, szwagrowie i ciotki wlewają im do gardła słodką truciznę, bo jak zabawa, to niech i dzieciaki użyją sobie. Zaczadziałe, odurzone plączą się w miazmatach masowego obłędu, a w nawiasie: — jakże często padają ofiarą zboczeń seksualnych uczestników „zabawy"...

To nie jest literatura. To nie jest wymysł i opis, nieudolny, zresztą, jakiegoś odosobnionego wypadku.

Jest to w tamtych stronach zjawisko powszechne. Zaraza rozłazi się jak liszaj po mapie zielonego Śląska. Pszczyna i Wodzisław — dwa ogniska tej zarazy, wielkie centra przemytników eteru, skąd trucizna rozlewa się coraz szerszą falą. A jak głęboko sięga ta fala, niech służy przykładem chociażby fakt, wyrwany z ogólnej całości, niezmiernie nieuchwytnej: w miejscowości Bojszowy Nowe na 145 dzieci w wieku szkolnym nie piło stale eteru zaledwie 12. To jest statystyka sprzed roku, kto wie, czy dziś i tych dwanaścioro nie pije...

A dla nich zwłaszcza, dla dzieci — to prosta droga do całkowitego

zwyrodnienia. Eter w niezwalczony, gwałtowny sposób rujnuje organizm, wielekroć ostrzej niż alkohol. Wykresy szkolne w okręgach nawiedzonych eteromanją już na pierwszy rzut oka wskazują stały ostry spadek postępów w nauce. Na przestrzeni kilku lat procent dzieci niezdolnych do nauki wzrasta w zastraszający sposób. Dzieci kretynieją, chorują, wypadają z drogi normalnego gdzieindziej rozwoju. Co drugie dziecko tam, — spojrzeć tylko na nie, — to właśnie taka Hetka, pół-trupek błądzący na pograniczu idjotyzmu. Co drugie dziecko przeżyje niewiele lat...

— Gdzieniegdzie, — mówi p. Ch., — mamy komitety rodzicielskie. Nauczyciele apelują do tych komitetów — napróżno. Czegóż można żądać od tych ludzi, którzy sami są przeżarci eterem tak, że nie rozumieją jego grozy. Jakże mogę perswadować matce, aby zabroniła swej starszej córce pić eter, gdy matka ta codzień usypia swoje niemowlę, wtykając mu do ust gałganek nasiąkły eterem. Albo wytłomaczyć ojcu chłopaka, że eter to trucizna, gdy ojciec ten najświęciej jest przekonany, że właśnie eter jest najlepszem lekarstwem i na ból brzucha i na anginę i chorobę płuc. A że chłopak tępieje, charłacieje, gnije na duszy i na ciele — no, to „z kartofli, co je, albo od radja"... I tłomacz takiemu, i perswaduj!... Ręce opadają...

— Środki, jak zaradzić złu? Nie wiem... Muszą być jakieś środki... Powinny być, bo zaraza pleni się. Kilkanaście lat temu istniały tylko małe ośrodki eteromanji na pograniczu polsko-niemieckiem. Teraz zaraza rozlewa się na Podkarpacie, na okręg Częstochowy i Łodzi. Rozłazi się wzdłuż Wisły (ogromny przemyt do wsi i gmin nadwiślanych płynie parostatkami żeglugi rzecznej). Podchodzi pod Warszawę, eteromanją już zarażone są powiaty sochaczewski, gostyniński i okolice Płocka.

To nie są żarty. Środki, jak zaradzić złu muszą się znaleźć".

W konkluzji autor stwierdza, że eteryzm jest „klęską zżerającą jedną z najpiękniejszych dzielnic Polski".

Sposoby następujące opanowania tej klęski podaje autor:

1) *zwiększenie represyj karnych za przemyt eteru;* (przemytnika eteru traktować nie jako przestępcę, ale jako zbrodniarza);

2) ułatwienie i wzmocnienie nadzoru nad granicą (straż graniczna i celna są przeciążone pracą);

3) nakładanie najwyższych kar za przechowywanie i handel eterem i za picie eteru.

Poza tem walkę z eteromanją powinny podjąć Kościół i szkoła:

„Walkę najbezwzględniejszą, skoordynowaną, zorganizowaną. Uświadamianie ludności Śląska o zagładzie, jaka czeka ją, gdy stan obecny będzie trwał dłużej — nie może być walką z wiatrakami, prowadzoną przez zacne i ofiarne jednostki. Kwestja eteryzmu jest zbyt ważnym i groźnym problemem, aby mogły dać jej radę najofiarniejsze nawet wysiłki jednostek.

„Istnieje w Polsce T-wo Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość". Zdziałało wiele, bardzo wiele. Przez swą propagandę, publikacje, zjazdy, wystawy, kursa — w ogromnej mierze przyczyniło się do zmniejszenia plagi alkoholizmu w Polsce. Niestety — kwestję eteromanji w Polsce „Trzeźwość" niemal pomija.

„Wzorując się na „Trzeźwości" powinny powstać towarzystwa wal-

ki z eteromanją. Akcja walki winna być planowa i w akcji tej ważki głos powinno mieć społeczeństwo śląskie, pełne najlepszych sił i chęci do walki z zatruwaniem zielonego Śląska — ale jak dotąd, w walce tej osamotnione i puszczone samopas...“

Sprawa eteryzmu powinna być dokładnie zbadana, a Państwo i społeczeństwo muszą rozpocząć z tą klęską najenergiczniejszą i planową walkę.

*

„Przewodnik Katolicki“ w Nr. 46-m z dn. 17 listopada zamieścił wierszyk p. t.

WÓDKA.

Choć wciąż koszmarny kryzys wzrasta:
Zgłodniałe wsie, obdarte miasta,
Choć nędza wokół się panoszy —
Na wódkę znajdzie parę groszy
Człek najuboższy. W domu zasię
O chlebie marzy i okrasie,
O szczypcie soli, lub ubranku...
Rodzina głodna bez ustanku...
... A po libacjach żal się, Boże,
Rewolwer w kursie, tasak, noże,
Najohydniejsza, krwawa zbrodnia...
(„Brukowiec“ ma zarobić codnia!)
Utrata zdrowia, sławy, mienia,
Charłactwem strute pokolenia...
Więc niech wie o tem chłop, niewiasta,
że złem największem wódka... Basta“!

Lapis.

*

WYKOLEJENI.

Pod tym tytułem zamieściła p. *Zofja Zaleska* w „Kurjerze Warszawskim“ artykuł, na który należy zwrócić baczną uwagę:

„Jeśli w naszych osiedlach dla bezdomych kwitnie alkoholizm i demoralizacja, to dlatego, że trudno jest stamtąd wydobyć się „na światło, że trzeba być jednostką o siłach olbrzyma, aby stamtąd się wydostać i zaczerpnąć tchu“ — oto, co mówi lekarka, znająca dobrze warunki mieszkania i bytowania ludności bezrobocznej.

Jednocześnie inna, codziennie stykająca się z „barakowcami“ działaczka społeczna, kreśli następujące uwagi:

Zabiegi, stosowane przy wykolejeniach wszelkich lokomocji, są uznane za konieczne, bo każdy rozumie, że dalszy ruch prawidłowy wykolejonemi wozami, czy motorami, jest absurdem, przynoszącym straty, i nie prowadzącym do niczego.

Wykolejenia duchowe i psychiczne spotykają się w życiu znacznie częściej, niż wykolejenia materjalne, lecz niestety, na nie się nie reaguje, i zamiast wykolejeńców postawić na nogi, podnieść ich na duchu, cią-

gnie się ich w pochodzie ludzkości, jak zdrowych duchowo ludzi, gdy oni tymczasem szerzą wkrąg spustoszenia i zgliszcza.

Kto temu nie wierzy, niech przejdzie się po dzielnicach miasta, w których się znajdują „baraki dla bezdomych“, inaczej zwane „Miejskie schroniska dla bezdomych“, niech zamieszka wśród tych wykolejeńców i — pozna przez pewien czas ich codzienne życie.

Wtedy przekona się, że opieka i pomoc społeczna w Polsce idzie fałszywą drogą, nie stwarzając postępu, polepszenia warunków. Powiększa się nędza nietylko materjalna, ale przedewszystkiem moralna, którą można tłomaczyć, ale której nie wolno zostawiać bez przeciwdziałania.

O zwiększaniu się tej nędzy moralnej świadczą bójki, świadczą protokuły policyjne, a także — wory pustych butelek, wynoszonych co poniedziałek przez „handlarzy starzyzną“.

Krzyki, przekleństwa, kłótnie, bicie żony i dzieci — to „zwykła rzecz“ w rodzinie, gdzie rozwinął się alkoholizm. Wiadomo: raz zakosztowawszy w pijaństwie, ludzie nie cofają się przed niczem, wyniosą ostatnią poduszkę, ostatni — mówiąc językiem „barakowców“ — łach.

A przykład jest zaraźliwy, a namowy i drwiny („Boisz się baby?“), a „obowiązek rewanżu“ — robią swoje i zaraza pijaństwa szerzy się, jak ogień.

Do tego dochodzi straszliwa sprawa: dzieci.

Dr. Skokowska-Rudolfowa mówi o życiu w przepełnionych izbach:

— Tam, gdzie dziecko jest ciągle „na oczach“, gdzie ono „pęta się“, nie mając swego kąta, ani skrawka pościeli, tam, gdzie jedyną „pocieszycielką“ jest wódka i gdzie malcom wlewa się przemocą do gardła wódkę, tam, gdzie „wszystko“ dzieje się „na oczach wszystkich“, gdzie całe fizjologiczne życie dorosłych, brutalne w formie i sprowadzone do poziomu zoologicznego, jest powszednim widokiem dla dzieci i młodzieży, gdzie są sublokatorki przyjmujące „gości“, — tam jest źródło tego zbrodniczego nałogu, jakiem jest alkoholizm i tej drugiej potwornej hańby, która nam wszystkim wszakże obciąża sumienia.

Cytowana zaś już również działaczka podkreśla:

— Wszak w barakach żyją, rosną i chowają się dzieci. Dla tych dzieci litościwe społeczeństwo organizuje żłobki, przedszkola, szkoły. Największe jednak znaczenie w wychowaniu ma dom i to, co się w nim dzieje. A że dzieją się tam okropności — dziecko się z niemi oswaja.

Do szkół wprowadzono od nowego roku szkolnego obowiązkowe fartuchy czarne, w które się oczywiście i dzieci barakowe ubierać winny, ale tak, jak fartuszek nie jest w stanie usunąć brudu i robactwa, tak samo towarzystwo dzieci dobrze wychowanych nie zasłoni złych nawyków dzieci zepsutych. Ratunek musi przyjść innemi drogami.

Przedewszystkiem trzeba z gruntu zmienić opiekę nad bezdomymi. Niedopuszczalne jest, aby na jednem miejscu nagromadzono takie zastępy ludzi wykolejonych i niedołężnych, bo czem są oni sami dla siebie, przekonać się można po tyloletniej pracy dla nich i wśród nich. Czy widać jaką zmianę na lepsze? Przeciwnie, jesteśmy świadkami, że utarło się pojęcie baraków dla bezdomnego i bezroboczego, jako coś, co istniało i istnieć winno, bez czego nowe pokolenie nie rozumie świata.

Ale nie w tem leży cały tragizm sprawy polskiej, — jest jeszcze coś strasznego, co każe dzwonić na alarm! Tem jest przyszłość narodu. Jaką ona będzie, skoro inteligencja nie może sobie pozwolić na liczniejszą rodzinę i w najlepszym razie ogranicza się do jednego dziecka, bo, jak twierdzi brak jej środków na wychowanie i wyżywienie liczniejszego potomstwa. Przedstawia się to tak przy obecnych stosunkach w szkolnictwie, że za każde dwie osoby inteligentne przyszła Polska otrzyma tylko jedną, i to wtedy, gdy się dziecko przy życiu utrzyma i zdrowo na człowieka wyrośnie.

Wśród wykolejonych natomiast dzieci nie brak, co więcej ledwie chłopak czy dziewczyna wyrośnie z pieluch, już, albo się pobierają, albo, na modę barakową, łączą się ze sobą związkami nielegalnemi, których wynikiem są dzieci. Nielegalne małżeństwa mają w dodatku większe szanse, bo wszak panna dostanie „zasiłek z opieki", gdy tymczasem prawa małżonka i wdowa, z prerogatyw tych dla swych ślubnych dzieci korzystać nie może.

Gdy się pomyśli, jakiemi obywatelami będzie zaludniona przyszła Polska, to włosy stają dęba, bo czyż naród wykolejeńców i niedołęgów będzie się mógł utrzymać?

Anglja podobno znalazła dobry sposób dla swych bezdomnych, a jest nim opieka zamknięta.

Z chwilą, gdy rodzina nie może się utrzymać, bierze ją społeczeństwo pod swoją opiekę, ale w ten sposób, że mężczyzn umieszcza w domach męskich, kobiety na oddziałach żeńskich, a dzieci gromadzi do zakładów wychowawczych. Taki stan rzeczy trwa do chwili, gdy rodzina się podniesie i zdobędzie korzystniejszą pracę, wtedy opłacają mieszkanie w domu robotniczym i dalej prowadzą życie normalne.

Czy coś podobnego nie byłoby z korzyścią i u nas zaprowadzić? To trzymanie wszystkich ludzi, jak w stadzie, razem, i to w takich warunkach, jakie się w naszych schroniskach dla bezdomnych wytworzyły, jest sprawą fatalną dla przyszłości.

Reformatorzy, którzy chcą ludzkość uszczęśliwić bez dekalogu, niech przyjdą na mieszkanie do Polusa, niech zakosztują rozkoszy, wypływających z podeptania praw boskich, a wtedy może otworzą się im oczy i zrozumieją, że niema szczęścia bez wiernego przestrzegania 10 przykazań. Na tory Boże wprowadzić trzeba ludzi, jeżeli chce się uchronić świat od rozbicia.

Do tych pełnych bólu uwag, można dodać tylko, że w Warsazwie jest zgórą 18.000 „barakowców", a prócz nich setki rodzin, w których sublokatorstwo stwarza podobne warunki. Rodziny te trzeba wszelkiemi wysiłkami usamodzielnić. Dać im owe „ogródki rodzinne" pod uprawę. Wciągnąć w robotę. — Jak? Nad tem powinni radzić ekonomiści i działacze społeczni, władze państwowe i samorządowe, bo kwestja „wykolejeńców" wysuwa się na czoło naszej nędzy materjalnej i zagadnień społecznych".

Z. Z.

PO WYPŁACIE...

„Zaczęło się od tego, że w sklepiku nie mieli reszty ze stu złotych.

— Mój Boże, sto złotych! — zawołał właściciel. — Rzadko kiedy przez dwa tygodnie utarguję tyle, a pan się dziwi, że nie mam reszty!... Tu, naokoło, nikt panu nie zmieni: chyba w knajpie, „pod czwórką“... Tak, tam będą mieli tyle pieniędzy: dziś sobota, wypłata, to u nich pełno...

Sobota, wypłata, knajpa... Te trzy słowa, tak silnie związane ze sobą w tragicznej rzeczywistości życia naszego proletarjatu, słyszałem niejednokrotnie wypowiadane z akcentem dziwnej niezaradności i rezygnacji przez ludzi, którzy poświęcili niejeden dzień, niejeden rok pracowity celom społecznym.

Taka to już, od smutnych lat narośnięta, tradycja... W sobotę bierze się pieniądze, jakże tu nie wypić z kolegami, z którymi się tyra przez sześć dni w tygodniu? Dzwoni szkło o szkło, kieliszek idzie za kieliszkiem — i tak jakoś czas schodzi. Coraz mniej złotówek — ale człowiek coraz weselszy. A potem, to już wszystko jedno: raz się, psia krew, żyje!...

Tak rozmyślając, doszedłem do restauracji, na której zamglonej szybie wystawowej białemi, tryumfalnie wołającemi literami, była wypisana firma tego przybytku:

„Bar pod czwórką“.

Pchnąłem drzwi: uderzył we mnie niezbyt wonną falą zapach jakichś potraw, smażonych w każdym razie nie na śmietankowem maśle, zmieszany z bardzo podejrzanemi aromatami innych arcydzieł kulinarnego kunsztu, demonstrowanych publiczności przez mocno brudnawe szkła bufetu.

Przed tym właśnie bufetem, zgrupowani koło blaszanej lady, za którą rezydował jakiś młodzieniaszek o oczach wszystkowidza, który notuje w pamięci kieliszek wódki, zanim palący płyn przepłynie przez gardło, stali czterej mężczyźni.

Tak, napewno żaden z nich nie był miljonerem; ani tramwajarz, w granatowej czapce, cofniętej ku tyłowi głowy, dzięki czemu widać było zlepione od potu włosy i błyszczące czoło; ani wysoki, chudy osobnik w meloniku i szarem palcie o poszarpanych brzegach, z których wyłaziła strzępkami zabrudzona, stara wata; i trzeci z nich, blady straszliwie człowiek, ubrany z jakąś rozpaczliwą elegancją nędzarza — też nie często widywał banknot; ani ostatni, który właśnie mówił, bardzo głośno z przerwami w najmniej spodziewanych momentach.

— ...czterdzieści złotych. Czekaj — myślę sobie — toś ty taki?! Grosza, draniu, nie zobaczysz...

— Daj spokój, Janek — przerwał tramwajarz, poprawiając czapkę. — No, jeszcze po jednym?!

— Chyba...

— Co się pytasz Panie Władysław, takie same!...

Wprawny ruch, butelka wskakuje do ręki. Chwila skupionej ciszy: przez wąski lejek spływa do kieliszków biały płyn.

— Dla mnie wstrzyknij pan gorzkiej! — zażądał mężczyzna w meloniku.

— I dla mnie także samo — dołączył się nazwany Jankiem.

Nalano — Pan Władysław przysunał gościom cztery angielki: dwie

wypełnione czystą wódką, a dwie zabarwione zlekka żółtą odlewką.

— Nooo...

Cztery prawice wyciągnęły się zgodnym ruchem; tramwajarz wypił pierwszy, wstrząsnął się nerwowo i pośpiesznie przegryzł kawałkiem czarnego chleba; „Janek“ pił powoli, podtrzymując szklankę lewą ręką; tamci dwaj trącili się raz jeszcze i opróżnili naczynia prawie jednocześnie; blady osobnik oparł się o bufet, odetchnął kilka razy ciężko, potem wyciągnął powoli papierosa i długo nie mógł go zapalić: zapałka nie chciała wyjść z pudełka...

Czujny młodzieniec z za bufetu zainteresował się moją osobą.

— Pan szanowny — wódeczkę?! — zapytał zawodowym tonem, sięgając jednocześnie po kieliszek.

Miał obłudny, niby-to grzeczny — a jednak irytujący uśmieszek na wymokłej i upstrzonej pryszczami twarzy.

— Proszę o piwo... jasne! — uprzedziłem drugie pytanie tego pośrednika między wódką a gardłem, obserwując jednocześnie stojącą przed bufetem czwórkę.

— No, jadziem dalej?!—pytał właśnie tramwajarz, najwyraźniej dyrygent w tym zespole.

Nikt nie zaprotestował...

— Panie Władysław — zwrócił się do subjekta. — Cztery szlacheckie...

— Dla mnie z gorzką...

— I dla mnie!...

Znowu serja szybkich ruchów. Nalane. Wypili z pośpiechem, ale ostrożnie: broń Boże, nie zgubić ani jednej kropli...

Gentleman w meloniku był już zupełnie pijany: oparł się ciężko o poręcz, dzielącą bufet od naporu takich właśnie gości i zaczął się śmiać bełkotliwie.

— No — czego to, Wacek?! — zapytał tramwajarz.

— A moja stara o trzeciej będzie czekać przed budą!

— Nie mogę!... Heca, co?!

Blady jegomość zaczął wtórować jakimś szarpiącym ucho śmiechem; trzymał się kurczowo poręczy i bezskutecznie usiłował coś powiedzieć.

— Kiedyś taki cwaniak i żona cię nie znalazła, to lu, jeszcze po jednym! Panie Władysław, nalewać!

Wypili, tramwajarz znowu przegryzł kawałkiem chleba z solą, tamci nic, żadnej zakąski; oczy mieli zupełnie błędne; śmiali się rechotliwie, mówili coraz mniej zrozumiale, ale żadne nie ruszył się z przed bufetu.

Skinąłem na wszystkowidza.

— Długo oni piją? — zapytałem szeptem.

— A od wpół do drugiej... — odpowiedział niedbale.

Spojrzałem na zegarek: była za dziesięć piąta...

— I dużo już wypili?!

— Teraz idzie czternasta!... — wycedził powoli, obserwując mnie jednocześnie szparkami plugawych, zaczerwienionych oczu.

A tamci „rozmawiali“ głośno; jeden usiłował drugiego przekrzyczeć, coś sobie wzajemnie perswadowali, coraz wymowniej i coraz kłótliwiej, któryś śmiał się histerycznym, wysokim śmiechem...“

Kurjer Warszawski. *Stefan Stojan.*

„CAŁĄ PROSZĘ“...

„W niewielkim sklepiku artykułów kolonjalnych w jednej z miejscowości podmiejskich, jak zresztą w wielu temu podobnych — niema ruchu. Sklepik ma jednak prawo sprzedaży alkoholu i to pozwala właścicielowi egzystować.

Dojeżdżające od czasu do czasu półciężarowe samochody różnych firm stołecznych, mając za zadanie zaopatrywanie w artykuły pierwszej potrzeby sklepy osiedli podmiejskich — z niewiele zmniejszonym ładunkiem produktów wracają z objazdu wieczorem do stolicy.

Handel temi produktami, zdawałoby się pierwszej potrzeby, idzie coraz oporniej. Ale wódka ma zbyt. Wódka „idzie“ strumieniem.

Połowa półek niewielkiego sklepiku zastawiona jest butlami z gorzałą. Od najmniejszego kalibru — t. zw. popularnie „setki“ — wypijanej zazwyczaj na miejscu, do potężnych rozmiarów butelek litrowych. Wszystko „czysta“ — najgorszego gatunku. Bo — kryzys...

Ale oto objaśnia mnie sprzedawca — nie było kryzysu — też tylko ta „czysta“ najgorszego gatunku była kupowana, od czasu, kiedy sklep tu założył, jakieś 40 lat temu... Wtedy targowało się do 15 litrów dziennie — dziś... do 25. A, to ciekawe! Albo raczej może... smutne.

Przychodzi tu kupować robotnik. Ten, który ciężko zresztą pracuje przy budowie nowych domków, ten, który pracuje przy naprawie toru kolejowego, pół dnia niestrudzenie przybijając tłuczeń pod podkłady — i co może najbardziej znamienne, ten, który od dłuższego czasu jest bez posady. Nie kupuje zazwyczaj nic więcej — conajwyżej kawałek ogórka, lub poł bochenka komyśniaka. Z wysupływanych z kieszeni brudnemi, zgrabiałemi palcami niklowych monet na produkty spożywcze idą groszaki — na gorzałę zazwyczaj złotówka. Pod sklepem czeka kamrat — niecierpliwie oczekujący na ucztę‘.

Robotnik, który zjawił się w sklepiku w czasie mojej obecności, odziany niemal w łachmany, zabiedzony, mizerny, chyłkiem podchodząc do lady, wyszeptał krótko — „całą poproszę“... Nic więcej. Ogromna litrowa butla z przezroczystym „życiodajnym“ (!) płynem, schwycona łapczywym ruchem, zginęła troskliwie włożona pod łachmany marynarki. Pozostawione dwa złote z groszami uregulowało należność. Opodal sklepu czekali kamraci — „wóda“ była zapewne składkowa. Niewątpliwie poszły na nią zarobki całego dnia ciężkiej pracy. Z butli zręcznym ruchem wybito korek — i krążąc od gardła do gardła, rychło została opróżniona. Potem rżnięto nią o pień pobliskiego drzewa i para ludzi „sytych“ rozeszła się do domów.

Obrazek codzienny. To, co piszemy — nie są to rzeczy nowe. Wśród ludzi ciężkiej pracy fizycznej wzrasta pijaństwo ustawicznie, pochłaniając niemal w całości kurczące się ustawicznie zarobki. Staje się drugą naturą. Drugą naturą, z której monopol spirytusowy, jako jeden z instytucyj dochodowych państwa, czerpie poważne zyski, ale, która jednocześnie staje się coraz większą plagą w społeczeństwie. A to drugie jest chyba ważniejsze“.

„Czas“, 23.XII. 35. *Stef.*

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY.

W Szwajcarji organizacje kobiece abstyneckie mają dwa pisma: jedno — „La Petite Lumière“, jest organem Ligi Kobiet Abstynentek w Szwajcarji francuskiej, wychodzi w Lozannie pod redakcją pani Janiny Correvon *). „La Petite Lumière“ założone zostało przed 24 laty przez p. A. Duvillard i rozwija się w całej pełni, wytworzywszy pewien specjalny charakter pisma, łączący dużą kulturę literacką, z gorącem umiłowaniem idei abstynenckiej. Bogaty dział nowelek i opowiadań z życia, działając w pierwszej linji na uczucie i wyobraźnię, otwiera oczy na całe kompleksy powikłań psychologicznych, powodowanych przez alkoholizm. Widzimy, że „La Petite Lumière“ wielkie znaczenie pedagogiczne przypisuje utworom literackim, zawierającym życiową konsekwencję zwyczaju alkoholowego, który jest zawsze siłą ujemną w ogólnym bilansie wpływu wywieranego na jednostkę. Nowelka jest bronią doskonałą, celną, nadającą temu pismu wartość wyjątkowo miłą i pociągającą.

Ale obok tego działu mamy w „La Petite Lumière“ cały szereg artykułów, świadczących o realnej pozytywnej pracy kobiet abstynentek w Szwajcarji. Prowadzą one zorganizowaną, planową propagandę spożycia owoców surowych, oraz wytwarzania wszelakiego rodzaju napojów bezalkoholowych. Jest to ogromny dział pracy niesłychanie ważnej dla kraju tak obfitującego w winnice. Jednocześnie kobiety - abstynentki stworzyły specjalną sieć hoteli, restauracji i gospód bezalkoholowych, które są ośrodkami życia abstynenckiego, mającemi kolosalne znaczenie wychowawcze. Pani Zuzanna Orelli, która w grudniu obchodziła dziewięćdziesięcioletnią rocznicę swych urodzin, jest jedną z inicjatorek i założycielek słynnych restauracji bezalkoholowych w Zurychu, a będąc obecnie w pełni sił, cieszy się, widząc, że rozwój i powodzenie tych instytucji przeszły oczekiwania największych optymistów. W Montreux, pani Krähenbühl, stworzyła wspaniały hotel Helvetie — jest to placówka wzorowa, szerząca abstynencję nietylko wśród rodaków, ale i turyści muszą ją ocenić, poddać się jej urokowi, a może mimowoli niejeden zainteresuje się i zapozna z wielką ideją, której ona służy.

Charakterystyczną cechą działaczek abstynenckich w Szwajcarji, którą się czuje z artykułów i z całego „stylu“ „La Petite Lumière“, jest entuzjazm i wdzięk dobroci naturalnej, szczerej, ale i wesołej zarazem. Nic w nich niema męczeństwa, nic kaznodziejstwa i ofiary — radość z pracy realnej, produkcyjnej, twórczej, radość pociągająca i jednająca przyjaciół wymową swego uśmiechu. W odczycie wygłoszonym na Zjeździe 19 czerwca 1935 r. pani Kretzschmer nawołuje, że trzeba, by kobiety-abstynentki stroiły abstynencję w piękno i poezję, by one wytwarzały wokół siebie nastrój wesela tak sugestywnego, by przykład ich stał się zaraźliwym, by inni mogli zazdrościć im tego dodatniego samopoczucia. Zwracam szczególną uwagę na ten rys, tak mało znany w naszej pracy przeciwalkoholowej — jest on zresztą całkiem psychologicznie wytłumaczony: nie możemy naszych warunków życiowych porównywać ze szwajcarskiemi. W Szwajcarji samo życie ma więcej słońca i radości

*) W Szwajcarji niemieckiej co dwa miesiące wychodzi pismo pod tyt. „Wegweiser“.

i one się ujawniają w metodach pracy — nasza mroczna rzeczywistość tak nas zasępia, że trudno nam wykrzesać z siebie beztroską pogodę — tem nie mniej powinniśmy pamiętać, że abstynencja, to źródło właśnie, skąd może wypłynąć polepszenie warunków ekonomicznych i moralnych, a więc jednocześnie zapowiedź lepszej doli — należałoby więc może już teraz choć trochę jaśniejszych barw wprowadzić, zwłaszcza do literackiego działu, poruszającego zagadnienie alkoholizmu,—a więc np. temat dodatniego wpływu abstynencji na życie jednostki i rodziny nie jest u nas wyzyskany w nowelkach, czy powieściach. Znaleźliby się niewątpliwie czytelnicy wrażliwi na dodatnie wartości psychiczne, rozwijane przy pomocy abstynencji, podatni na wpływ konstrukcyjny, zawarty w typach, wyzwalających z siebie moc, zdolności, osiągających powodzenie życiowe, zawdzięczając właśnie temu, że mózgu nie zatruwali, lub przestali zatruwać alkoholem. Dobrze, zbyt dobrze, niestety wiemy, jak niszczy człowieka alkohol — za mało wiemy jeszcze, ile mocy, dobra i piękna wyzwala w nas abstynencja. „La Petite Lumière" uczy kochać abstynencję. Należy nam również uświadomić sobie wagę i znaczenie takiego podejścia do zagadnienia — bo może my zbyt jednostronnie i wyłącznie uczymy tylko nienawidzieć alkohol.

Nie znaczy to wcale, by „La Petite Lumière" nie poruszało tych samych zagadnień, nad któremi i my się zastanawiamy. Pani Kretzschmar, (o której już pisałam wyżej) w referacie swym pisze, że abstynencja, to nie jest tylko walka z alkoholizmem, lecz walka o nowy ustrój, który pragniemy wprowadzić przez zmieniony obyczaj, którego wartość higjeniczną, społeczną i ekonomiczną w całej pełni doceniamy. Cieszę się niezmiernie, że i ja prawie w każdym numerze „Trzeźwości" tak samo ujmowałam walkę z alkoholizmem, nadając jej znaczenie idei, odradzającej życie.

„La Petite Lumière" ma bogaty dział niezmiernie ciekawych, głębokich aforyzmów treści ogólnej, etycznej — wiele z nich posiada krzepiącą wymowę wartości, osiągalnych przez każdego człowieka - abstynenta.

Polecam gorąco czytelnikom „Trzeźwości" zaprenumerowanie tego pisma. Dla domów, gdzie jest młodzież, odda ono nieocenione usługi, gdyż wprowadzając w zagadnienie abstynencji, jednocześnie będzie okazją gruntowniejszego wdrażania się do obcego języka, którego znajomość nabywana w szkole, jest tak niedostateczna.

„L'Étoile Bleue" wychodzi w Paryżu, jest organem Ligi Narodowej Przeciwalkoholowej, łączącej wszystkie towarzystwa przeciwalkoholowe francuskie, redagowanym przez p. F. Riémaina, sekretarza generalnego Ligi. Treść bardzo urozmaicona. Zagadnienie walki z alkoholizmem omawiane z rozmaitych punktów widzenia. Dowiadujemy się, w jakiej formie Liga prowadzi niezmiernie trudną pracę wychowawczo-uświadamiającą.

A więc przedewszystkiem doskonale zorganizowana sieć odczytów i wykładów, połączonych z przeźroczami i artystyczno-literackiemi produkcjami, obejmująca wszystkie zakątki Francji, gromadzi duże zastępy słuchaczy wszystkich warstw. Dzieci, młodzież i starsi otaczają przybyłego wykładowcę sympatją i szczelnie wypełniają sale. Sprawozdania p. Sam. Bastid'a z takich objazdów tchną wdzięcznością za entuzjastycz-

ne przyjęcie i pełne są wiary, że praca jego wyda owoce. Ciekawem jest, że nietylko koszty przejazdu, hotelu i t. d. w niektórych miejscowościach pokryło społeczeństwo, ale nawet prelegent został opłacony.

Bardzo dużo miejsca zajmuje w piśmie sprawa bezalkoholowego przetwórstwa owocowego. Kącik dla dzieci prowadzony żywo. Interesujący przegląd prasy codziennej.

Ostatni numer „L'Étoile Bleue" zawiera ciekawe wspomnienie osobistego zetknięcia się dyrektora Międzynarodowego Biura do Walki z Alkoholizmem p. dr. Roberta Hercod'a, z obecnym prezydentem Czechosłowacji, Beneszem. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności fotel prezydencki w tym kraju został po raz drugi zajęty przez abstynenta.

Profesor Masaryk, w pierwszych latach naszego stulecia, zgrupował kolo siebie garstkę wybranej młodzieży, w której właśnie znajdował się Benesz. Od 1901 r. profesor Masaryk był abstynentem. Abstynencji przypisywał swą wyjątkową zdolność pracowania. Wpływem swym narzucił abstynencję kilku uczniom, a jednym z nich był Benesz, który odtąd rozpoczął czynną walkę z alkoholizmem, wygłaszając szereg odczytów, wykładów, pisząc artykuły i broszury, oświetlające zagadnienie walki z alkoholizmem, głównie z punktu widzenia ekonomicznego.

Zostawszy po wojnie powołany przez Masaryka na stanowisko ministra spraw zagranicznych, musiał się wycofać z szeregów walczących z alkoholizmem, ale nietylko nadal pozostał wiernym abstynencji, lecz żywo się interesował tym ruchem. W Genewie okazywał wielkie przejęcie się zagadnieniem, popierał wniosek, by Liga Narodów zajęła się jego zbadaniem, co go naraziło na gwałtowne ataki ze strony kapitału czesko-słowackiego, który wprost oskarżał ministra o zdradę interesów narodowych. P. Hercod wyraża niepłonną nadzieję, że Benesz będzie kontynuował tradycję abstynencką, przekazaną mu przez prezydenta Masaryka, który zdobył szacunek abstynentów świata całego.

W tymże numerze znajdujemy gorące wezwanie p. R. Hercod'a do młodzieży abstynenckiej całego świata w sprawie zorganizowania Związku Międzynarodowego Młodzieży Abstynenckiej. Twórcą idei zrzeszenia młodzieży abstynenckiej całego świata jest dr. Courtenay-Weeks (Londyn). Chodzi o to głównie, by młodzież abstynencką pobudzić do czynnej akcji przeciwalkoholowej, Mało jest być samemu abstynentem— rola bierna musi ustąpić czynnej postawie. Młodzież winna wytworzyć karne szeregi armji, walczącej o wyzwolenie ludzkości z jednej z plag ją gnębiących, jaką jest alkoholizm. Wniesie ona szersze tchnienie, rozmach, nowe siły, nowe metody do ruchu naszego, ożywi go zapałem, przepoi entuzjazmem, a to są czynniki niezmiernie potrzebne, nieodzowne dla całej akcji. Związek Międzynarodowy Młodzieży Abstyneckiej ma się opierać na trzech podstawowych zasadach:

1. Abstynencja od wszystkich napojów alkoholowych.
2. Zobowiązanie do czynnej pracy w ruchu przeciwalkoholowym.
3. Uznanie potrzeby wspólnej akcji przeciwalkoholowej z organizacjami innych krajów.

Kontakt młodzieży abstynenckiej z rozmaitych krajów stanie się czynnikiem przyczyniającym się do pokoju światowego, tak potrzebnego, by ruch abstynencki mógł się w całej pełni rozwinąć. Abstynent każdy, będąc dobrym obywatelem swego kraju, będzie widział w innych na-

rodach nie wrogów, lecz towarzyszy i przyjaciół, walczących o wspólną ideję dobra powszechnego.

Projektodawcy rzucają myśl zorganizowania w bieżącym roku w Montreux Zjazdu przedstawicieli młodzieży dla omówienia metod pracy. Byłoby to zarazem przygotowaniem się do wielkiego Zjazdu Młodzieży Abstynenckiej do Warszawy w 1937, z racji Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego.

Gdyby młodzież polska pragnęła się wypowiedzieć w tej sprawie, to redakcja „Trzeźwości“, będąca w ciągłym kontakcie z „Biurem Międzynarodowym do walki z alkoholizmem“ w Lozannie, ogniskującem całą działalność w tym kierunku, będzie przesyłać głosy tych, którzy zechcieliby należeć do tego rodzaju powstającej organizacji, mogącej mieć niewątpliwie wielkie znaczenie dla sprawy.

I właśnie łącznie z wyżej podanym planem akcji międzynarodowej, zaprenumerowanie również „L'Étoile Bleue“ przez domy polskie, mające nietylko młodzież, ale i dzieci młodsze (specjalny kącik dla nich), byłoby rzeczą ważną, łączyłoby dwie kwestje: zapoznawanie się z tem, co się robi we Francji dla walki z alkoholizmem przez starsze i młodsze pokolenie i pogłębianie wiadomości językowych tak nam potrzebnych.

W Paryżu wychodzi jeszcze miesięcznik „Les annales antialcooliques“ redagowany przez doktora Legrain'a. Jest on organem grupy abstynentów i prohibicjonistów francuskich, organem Zakonu Dobrych Templarjuszy i Lekarzy Abstynentów. Celem pisma jest doprowadzenie do prohibicji, wprowadzonej dobrowolnie przez uświadomionych obywateli. Metodami pracy jest popularyzowanie zagadnienia walki z alkoholizmem i przykład, bezalkoholowe przetwórstwo owoców i uprzemysłowienie alkoholu. Miesięcznik ten posiada cały szereg artykułów lekarskich, dowodzących, jak świat lekarski gorąco i rzeczowo uzasadnia konieczność walki z alkoholizmem, dając społecznikom niewzruszone, naukowe podstawy dla ich pracy. Spotykamy tam tak dobrze znane naszym polskim działaczom pesymistyczne rozmyślania, gorzkie uwagi pod adresem dziwnie zmaterjalizowanego społeczeństwa, które łaknie wygodnego użycia życia, a będąc obarczone zupełnym zanikiem poczucia odpowiedzialności indywidualnej, czy zbiorowej, odnosi się do ludzi walczących, z alkoholizmem, jak do „dziwaków“, którym się śle uśmiech dobrotliwej pogardy. Dopóki będziemy ulegać dyktaturze opinji publicznej, goniącej za sensacją i skwapliwie oddającej się w niewolę łatwym, oportunistycznym światopoglądom, to ideja walki z alkoholizmem nie będzie miała wielu sprzymierzeńców (Dr. Stoerr).

Konstatujemy te same troski, analogiczne trudności, o które potyka się, załamuje i nasza robota, podjęta w imię najszczytniejszych haseł narodowych i ogólno-ludzkich, a jednocześnie wyczuwamy tą samą wiarę w ostateczne zwycięstwo naszej Idei, której pragniemy służyć z całych sił.

Zapoznanie się z czasopismami innych krajów nietylko nas wzbogaca wiadomościami, ale jednocześnie poszerza krąg naszych przyjaciół, łączy idejowo ludzi, którzy w rozmaitych punktach kuli ziemskiej, w zasadniczo odmiennych warunkach, zmierzają powolutku ku jednemu celowi i mają w swych duszach bliskie sobie zrozumiałe nastawienia psy-

chiczne. Czujemy, że nie jesteśmy samotni, że stanowimy jedną wielką rodzinę, jedną armję walczącą o odrodzenie moralne całej Ludzkości.

Grudniowy biuletyn prasowy „Międzynarodowego Biura do Walki z Alkoholizmem" zawiera bilans 1935 r. i zamyka go uwagami niezbyt optymistecznemi. Kryzys światowy wszędzie wycisnął piętno i sparaliżował niejedno poczynienie dodatnie, lub nawet zmusił do zaniechania prac, będących w całej pełni rozwoju. Brak środków materjalnych, łącznie z apatją i przygnębieniem nie pozwoliły wypełnić programu prac, które zwykle nakreślamy sobie na początku nowego roku.

W Stanach Zjednoczonych zorganizowanie pracy przeciwalkoholowej na nowych metodach jeszcze nie nastąpiło, a wskrzeszone saloon'y prowadzą nadal swą destrukcyjną robotę.

We Francji, niestety, władze zdają się sprzyjać kapitałowi zagranicznemu. Towarzystwa przeciwalkoholowe w odpowiedzi na to prowadzą intensywną propagandę napojów bezalkoholowych.

Belgja zachowała w mocy obowiązujące prawo co do alkoholu, a dzień przeciwalkoholowy w listopadzie cieszył się wielkiem powodzeniem.

We Włoszech niema faktycznie ruchu przeciwalkoholowego. Propaganda za winem w ciągu ostatnich kilku lat uczyniła ogromne postępy.

W Szwajcarji starania szynkarzy, by Rada Związkowa zabroniła otwierania restauracji bezalkoholowych, spotkały się ze skutecznym sprzeciwem nietylko abstynentów, ale i całej opinji publicznej, dbałej o dobro powszechne.

W Finlandji spożycie nielegalnego alkoholu się zmniejszyło, natomiast nastąpiło powiększenie legalnej sprzedaży.

Oto sytuacja w zasadniczych linjach ruchu przeciwalkoholowego, z którą wkraczamy w nowy 1936 r.

H. N-O. S.

X KURS ALKOHOLOGJI

w Państwowej Szkole Higjeny

(2—7.XII. 1935).

Kurs ten, dziesiąty z rzędu, w Państwowej Szkole Higjeny, ściągnął tak wielką liczbę słuchaczy, jakiej jeszcze na poprzednich kursach (zawsze licznych) nie było — zapisało się bowiem 282 osoby — tak, że wielka aula P. Szkoły Higjeny z trudem mieściła zebranych. Słuchaczki i słuchacze przybyli z całej Polski: z Warszawy 174, z województw: Warsz. 8, Łódzk. 5, Kieleck. 9, Lubelsk. 9, Białost. 6, Wileńsk. 19, Nowogródzkiego 1, Wołyńsk. 3, Poznań. 8, Pomorsk. 6, Śląsk. 11, Krak. 12, Lwow. 8, Stanisł. 3.

Według zawodów było: lekarzy 10, stud. medycyny 21, stud. innych wyższ. zakł. n. 7, pielęgniarek, higjenistek 8, księży rz.-kat. 17, duchown. prawosł. 12, innych wyzn. 1, sióstr zakonnych 68, nauczycieli 30, słuchaczy P. Instytutu Pedagogiki Specjalnej 40, kolejarzy (czł. Abst. Ligi Kol.) 25, różnych org. społecznych 27, rozm. 16.

Kurs otworzył p. Minister Dr. Witold Chodźko, wygłaszając niezmiernie interesujące zagajenie, w którem omówił związek pomiędzy alkoholizmem, a śmiertelnością. (Przemówienie to w całości podamy w następnym numerze). W ciągu sześciu dni trwania Kursu wygłoszonych zostało 37 wykładów, odbyła się 2-godzinna demonstracja chorych na psychozy alkoholowe w klinice psychjatrycznej U. J. P., oraz 1-godź. pokaz przezroczy przeciwalkoholowych. Kurs zakończyło 3 - godzinne Seminarjum Dyskusyjne, czyli kursanci przeciętnie mieli 7 godzin zajęć — można więc bez obawy przesady powiedzieć, że Kurs pracował bardzo intensywnie — i należy tu podkreślić wybitną gorliwość zapisanych w uczęszczaniu na wykłady. Wszyscy prelegenci wygłosili zapowiedziane wykłady, które odbywały się z wzorową punktualnością.

Po wyczerpaniu programu wykładów — głos zabrali słuchacze podczas obrad seminaryjnych. *P. Pustelnik* podnosił konieczność szerokiej propagandy przeciwalkoholowej wśród nauczycielstwa, robotników, wojska, b. poseł p. *L. Czerniewski* podniósł ogromne uświadamiające znaczenie podobnych Kursów, należy je urządzać częściej—conajmniej dwa razy na rok. Uważa za niezbędne tworzenie w rozmaitych organizacjach społecznych specjalnych Sekcyj Przeciwalkoholowych. P. Dr. *Sawicki* omawiał zagadnienie stosowania alkoholu w medycynie, jako leku, p. *Miłoszewski* wzywał nauczycielstwo do abstynencji; nie argumenty werbalne, ale przykład całkowitej osobistej trzeźwości może oddziałać na dzieci, młodzież i otoczenie, p. *Kubicki* podkreślał socjalne przyczyny alkoholizmu, p. *Kozakiewicz* nawoływał, żeby prowadzący walkę z alkoholizmem stanęli frontem do młodzieży, p. *inż. Kuropatwińska* zaznaczyła, że wieczór spędzony w Kole Tow. „Trzeźwość" w 1 miejskim Ośrodku Zdrowia na Mokotowie pozostawi niezatarte wrażenie — jako przykład realny systemu pracy przeciwalkoholowej, jej możliwości i świetnych wyników — młodzież, zgrupowana w tem Kole, *znalazła konkretne, dodatnie zainteresowania* — to najlepsza forma walki z alkoholizmem. P. *Mazurówna* mówiła o pracy pielęgniarki zdrowia, zajętej w przychodni przeciwalkoholowej, p. *Łączkowska* mówiła o możności wykorzystania do walki z alkoholizmem Kół Młodzieży Pol. Czerw. Krzyża, p. *Szczyrba* uważa, że taki Kurs powinien być reklamowany przez radjo; film również powinien służyć sprawie walki z alkoholizmem. A tymczasem Dyrekcja Pol. Radja w Warszawie nie jest zwolenniczką idei walki z alkoholizmem. *Ks. Dr. Ochnicki* podnosi usilnie znaczenie w walce z alkoholizmem hamulców moralnych, pobudek religijnych, np. w imię przykazania: nie zabijaj życia obcego i swego. *Ks. Rektor Dr. Padacz* mówi o zabiegach tow. Caritas, mówcy i ks. Sprusińskiego, aby na Kurs ten uczęszczało, ze względu na jego wyjątkowo wysoki poziom, jak najwięcej członków organizacyj katolickich. W szeregu szkół są liczne zastępy dzieci abstynentów. W walce z niesumiennymi sprzedawcami alkoholu dzieciom i młodzieży (co jest zabronione ustawowo), powinna wziąć czynny udział policja kobieca.*Ks. Wiśniewski* uważa, że walka z alkoholizmem nie jest prowadzona dostatecznie intensywnie, zamało się na nią przeznacza pieniędzy. P. *Maciaszek:* wszystko sprzyja pijaństwu, szynki i karczmy na każdym kroku, a brak szkół, domów ludowych. Walka z klęską pijaństwa niezbędna — w Niemczech i w Sowietach czynniki państwowe prowadzą taką walkę b. intensywnie.

P. Z. *Wiśniewski* z Łap zgłosił kilka wniosków, tyczących się sprawy walki z alkoholizmem.

Kilkakrotnie zabierał głos, udzielając wyjaśnień, odpowiadając na pytania, p. red. *Jan Szymański*, który jako kierownik Kursu, prowadził obrady Seminarjum — z prelegentów wziął udział w Seminarjum p. Dr. *St. Stypułkowski*, który dwukrotnie zabierał głos w dyskusji.

Podaliśmy nieco obszerniej przebieg obrad seminaryjnych, aby wykazać, ile zagadnień powstaje przy poważnej dyskusji nad omawianą sprawą, mimo, iż przytoczyliśmy z natury rzeczy tylko drobną część bardzo ożywionej dyskusji, trwającej z małą 10-minutową przerwą 3 godziny.

Liczne wnioski, zgłoszone przez uczestników Seminarjum, ze względu na brak miejsca podamy i omówimy w następnym numerze.

W uroczystości zamknięcia Kursu, która odbyła się pod przewodnictwem p. Dyrektora Państw. Zakładu Higjeny, Doc. *Dr. Gustawa Szulca*, wzięli udział przedstawiciele Władz, oraz liczni goście.

Uroczystość zaczęła się punktualnie o g. 6 odśpiewaniem przez uczestników Kursu hymnu abstynenckiego (Konopnickiej).

Pierwszy przemawiał p. doc. dr. *Gustaw Szulc*, dyrektor Państwowego Zakładu Higjeny, stwierdzając z wielkiem zadowoleniem niezwykle liczny udział słuchaczy w tegorocznym Kursie. Fakt ten wskazuje, że walka z alkoholizmem rozwija się w Polsce coraz lepiej, że obejmuje coraz większą liczbę zwolenników i zaczyna zdobywać arenę naszego życia społecznego z wzrastającą nieustępliwością, domagając się posłuchu i uwagi. Są to wymagania tembardziej słuszne i uzasadnione, że alkoholizm powszechny, jaki obserwujemy w dzisiejszej Polsce, stanowi klęskę równie niebezpieczną dla suwerenności Państwa, jak groźby zbrojnych najazdów, przed któremi ubezpieczamy się, popierając akcję obrony przeciwgazowej, lub przeciwlotniczej. Państwo okazuje zrozumienie dla walki z alkoholizmem i czynnie ją popiera, a jednak, obok tego zrozumienia i poparcia, istnieją na terenie naszego wewnętrznego życia instytucje tak przeciwne naszym dążeniom, jak Monopol spirytusowy. Wytwarza się tutaj, w tem zestawieniu korzystnej działalności społecznej Państwa z działalnością, dającą się usprawiedliwić jedynie względami fiskalnemi, sytuacja wręcz paradoksalna, której ulegają wszystkie dzisiejsze organizmy państwowe, nie mogąc stworzyć harmonijnego programu uzdrowienia gospodarczego, łączącego w sobie pierwiastki pozytywnie korzystne i twórcze, i umiejącego rezygnować z doraźnych i efektownych zysków w imię nierównie większej, przyszłej, wspólnej korzyści. To też dzisiaj, gdy zrozumienie dla tej prawdy jest jeszcze tak niedostateczne, należy się szczególna wdzięczność Ministerjum Opieki Społecznej, takim ludziom, jak p. redaktor Jan Szymański, który od wielu lat pracuje nad otrzeźwieniem narodu i organizuje imprezy o tak wielkiem znaczeniu społecznem, jak nasz tegoroczny Kurs alkohologji, oraz tym wszystkim, którzy tak licznie na Kurs przybyli, manifestując w ten sposób swoje zrozumienie i głęboką solidarność ze sprawą walki z alkoholizmem.

Następnie, w imieniu Naczelnych Władz Sanitarnych, zabrał głos p. dr. *Bohdan Ostromęcki*, wicedyrektor Departamentu Służby Zdrowia w Min. O. S., stwierdzając, że nie po raz pierwszy bierze udział w Kur-



X Kurs Alkohologji 2—7. XII. 35. W pierwszym rzędzie (od prawej): Dr. St. Stypułkowski, Doc. Dr. Gustaw Szulc—Dyrektor Państw. Zakł. Higjeny, Minister Dr. Witold Chodźko—Dyrektor Państw. Szkoły Higjeny, Kazimierz Kalinowski — Prezes Zarządu Gł. Tow. Trzeźwość, Wiceprokurator S. O. J. Firstenberg, Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska, b. sen. Aleksan. Iżycki.

się alkohologji i że żaden z poprzednich Kursów nie mógł się poszczycić tak licznym udziałem słuchaczy, reprezentujących wszystkie województwa naszego Państwa. Świadczy to, że zagadnienie walki z alkoholizmem staje się coraz bardziej popularne, a chociaż, w związku z kryzysem, spożycie alkoholu w ostatnich latach stale się zmniejsza, należy dążyć do jaknajszerszego propagowania idei trzeźwości, gdyż dotychczasowe wysiłki w tym kierunku i dotychczasowe osiągnięcia nie są wystarczające. Jest rzeczą niezmiernie pocieszającą, że w tegorocznym Kursie tak liczny udział wzięło nauczycielstwo, duchowieństwo różnych wyznań, oraz siostry zakonne, gdyż przedstawiciele tych zawodów powołani są do wychowywania młodego pokolenia, na którem opiera się przyszłość narodu i państwa. Świetna organizacja Kursu i wydatna pomoc Państwowej Szkoły Higjeny sprawiły, że — dzięki doborowi wybitnych prelegentów — słuchacze zaznajomili się z zagadnieniem alkoholizmu w sposób bardzo dokładny i wszechstronny i niewątpliwie na terenie swojej codziennej pracy usilnie będą zwalczali alkoholizm, pamiętając, że byli na tym Kursie i że zasady trzeźwości szerzyć należy nie tylko słowem, ale czynem i osobistym przykładem.

W imieniu Zarządu Głównego Tow. „Trzeźwość", przemawiał jego wiceprezes b. senator *Aleksander Iżycki* który podkreślił, że członkowie Tow. „Trzeźwość" tworzą jakgdyby armję, a świadectwa ukończenia Kursu, które otrzymają słuchacze, powinny stanowić pewnego rodzaju karty poborowe, świadczące o gotowości wstąpienia w szeregi tej armji. Należy życzyć, żeby polski ruch przeciwalkoholowy zdobywał sobie jaknajwięcej takich żołnierzy, uzbrojonych w fachową wiedzę i wiarę w konieczność i doniosłe znaczenie walki z alkoholizmem.

P. *Ludomił Czerniewski*, przemawiający w imieniu Tow. „Caritas", wyraził przekonanie, że wszyscy słuchacze opuszczą salę Państwowej Szkoły Higjeny z głębokiem przeświadczeniem konieczności walki z alkoholizmem w imię najżywotniejszych interesów społecznych. Jeżeli Polska ma być wielkiem mocarstwem — musi być trzeźwa, i dlatego wszyscy słuchacze Kursu alkohologji staną się niewątpliwie mężnymi bojownikami w walce z klęską alkoholizmu.

Następnie zabrali głos przedstawiciele ogółu i poszczególnych grup słuchaczy Kursu:

W imieniu ogółu słuchaczy Kursu p. Dr. Marjan Gąsowski, Starosta Kursu.

W imieniu ogółu Słuchaczy X Kursu Alkohologji mam zaszczyt podziękować Ministerjum Opieki Społecznej, Państwowej Szkole Higjeny, Organizatorom i pp. Prelegentom za trudy, które w swym rezultacie dały nam możność uczestniczenia w Kursie i odniesienia tych bezcennych korzyści.

Czujemy się naprawdę szczęśliwi, a to przedewszystkiem dlatego, że zyskaliśmy sami — gdyż mając dotychczas dość chwiejne stanowisko w sprawie szkodliwości używania alkoholu, dzięki odbytemu Kursowi, zdajemy sobie sprawę z tego, że nieszczęście, tak podstępnie czyhające już nas nie dosięgnie; następnie dlatego, że wiedzę zdobytą będziemy mo-

gli obecnie w pełnej wierze i z całkowitem przekonaniem siać wśród dostępnych nam mas społeczeństwa, ratując bliźnich od zguby i podnosząc siłę i dobrobyt kraju.

Niechże wyrazem naszych uczuć, wyrazem naszego ustosunkowania się do idei trzeźwości, będą oświadczenia przedstawicieli poszczególnych grup, zawodów i działaczy, uczestniczących w Kursie, oraz jednomyślnie powzięte uchwały:

W imieniu nauczycielstwa p. Jerzy Miłoszewski.

Mam zaszczyt przemawiać w imieniu Nauczycielstwa, uczestniczącego w Kursie. Świat nauczycielski prawdopodobnie niemniej, niż inne zawody miał sposobność obserwowania, jakie skutki sprowadza alkoholizm. Wszyscy przeczuwaliśmy potrzebę walki i — choć sporadycznie — walczyliśmy ze złem. Ale dopiero ubiegły tydzień naprawdę nas do niej uzbroił. Pójdziemy teraz w teren szerzyć zaszczepione nam tu hasła.

Z głębokiem przeświadczeniem pragnę zapewnić Was, PP. Prelegenci o należytej ocenie przez nas zasady, że *najskuteczniejszą propagandą trzeźwości jest nasze całkowite powstrzymanie się od używania alkoholu.*

Składając wszystkim, którzy przyczynili się do zorganizowania Kursu, a zwłaszcza P. Redaktorowi Szymańskiemu, oraz PP. Prelegentom serdeczne podziękowanie, jedno tylko wyrażam pragnienie: *aby Kursy Alkohologji objęły jaknajszersze rzesze Nauczycielstwa i społeczeństwa.*

W imieniu sióstr zakonnych s. Zofja Gazdowska.

W imieniu Sióstr zakonnych, biorących udział w X Kursie Alkohologji, a mianowicie: SS. Franciszkanek, Służebniczek Krzyża, SS. Loretanek, SS. Albertynek, SS. Urszulanek Konającego Serca Jezusowego, SS. Rodziny Marji i Sióstr Miłosierdzia Św. Wincentego á Paulo, składamy serdeczne podziękowania Szanownemu Zarządowi, a w szczególności Szanownemu Panu Redaktorowi Janowi Szymańskiemu i Szanownym Panom Wykładowcom za tyle pracy i poświęcenia w zorganizowaniu tego Kursu.

Zagadnienie przeciwalkoholowe ma tak doniosłe znaczenie dla społeczeństwa, że z całego serca pragniemy, aby zainteresowanie się niem objęło jaknajszersze warstwy i przyśpieszyło odrodzenie moralne ludzkości.

Oceniamy wartość przesłuchanego Kursu, który dał nam możność wzięcia czynnego udziału w ruchu przeciwalkoholowym, a życząc szlachetnym pionierom jaknajwiększego błogosławieństwa Bożego, składamy serdeczne: „Bóg zapłać“.

W imieniu duchowieństwa katolickiego ks. Dr. Czesław Ochnicki, Łódź.

Życie ludzkie jest ustawicznym pochodem w przyszłość. Poszczególne pokolenia płyną jak fale. O ile jednak pomiędzy falami istnieje zależność mechaniczna, o tyle każde ludzkie pokolenie może tworzyć świa-

domie pokolenie nowe, a to tworzenie odbywa się nie tylko przez dawanie życia, ale, jak powiada Żeromski w „Doktorze Piotrze“, przez wychowanie i zabezpieczenie materjału bytu. Te ostatnie czynniki tworzą faktyczne życie; pierwsze są zainicjowaniem życia. Pokolenie więc starsze winno wychowywać pokolenie młodsze przez usuwanie przeszkód i nałogów, a zaszczepianie w duszach swych potomków, czy wychowanków szlachetnych idej. Jedną z cnót zasadniczych człowieka — to trzeźwość, która pozwala na wszechstronne rozwinięcie młodej duszy: umysłu i woli i czem tak wyraźnie przypomina, że człowiek jest obrazem Bożym. Tej idei trzeźwości, jej poznaniu i wcieleniu w życie był poświęcony X Kurs Alkohologji w Warszawie, w którym wzięliśmy z przyjemnością udział. Przeprowadzony on został wzorowo, wykłady były na wysokim poziomie. Myśli abstynenckie głęboko utkwiły swemi korzeniami w naszej psychice. Jako księża Polacy, wsparci ramieniem Bożem pójdziemy z ochotą w Polski lud z ideą trzeźwości, jako pochodnią, mającą przyświecać pochodowi naszego narodu ku świetlanej przyszłości.

W imieniu duchownych prawosławnych ks. Konstanty Bajko.

Dzięki staraniom i materjalnej pomocy Jego Eminencji Księdza Metropolity Kościoła Prawosławnego w Polsce Djonizego, Koło Teologów Prawosławnych Studentów Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie, rok rocznie deleguje kilku księży i kilkunastu studentów na Kursy Alkohologji, którzy, po przesłuchaniu Kursu, w referatach, wygłaszanych na zebraniach Sekcji abstynenckiej, dzielą się swemi wiadomościami z innymi kolegami, a po ukończeniu studjów teologicznych, obejmując stanowiska proboszczy parafji prawosławnych, roznoszą kaganiec światła abstynencji po całej Polsce.

Po przesłuchaniu X Kursu Alkohologji, studenci Teologji Prawosławnej, pogłębiwszy swe skromne wiadomości z dziedziny alkohologji i uświadomiwszy sobie ważność i wielkość idei walki z alkoholizmem, poczuwają się do obowiązku wyrażenia swojej serdecznej wdzięczności inicjatorom, opiekunom i realizatorom tych tak ważnych w życiu społecznem i ogólnoludzkiem Kursów, uświadamiających i werbujących kadry bojowniczek i bojowników do walki o człowieka, ze straszną klęską alkoholizmu.

W imieniu obecnych tu na sali studentów Teologji Prawosławnej, Inicjatorom, Opiekunom i Realizatorom Kursów Alkohologji, składam serdeczne: „Bóg zapłać“, za tak ofiarną i świętą pracę.

A nowozaciągniętym bojownikom do walki z alkoholizmem: szczęść Boże!

W imieniu duchownych Kościoła metodystycznego
ks. pastor Emil Majewski.

W imieniu Kościoła Metodystycznego, mającego miljony wyznawców na całym świecie, a przedewszystkiem w Stanach Zjednoczonych A. P., gdzie, jako naczelne wyznanie ewangelickie, potępiające i zwalczające bezwzględnie alkoholizm, przyczynił się w znacznej mierze do prze-

prowadzenia chlubnego dzieła, jakiem jest prohibicja, niniejszem oświadczam:

1. Chrześciaństwo nie powinno się dać zawstydzić mahometanizmowi i buddyzmowi w zwalczaniu alkoholizmu, lecz wszystkie bez wyjątku wyznania chrześcijańskie i każdy prawdziwy chrześcijanin powinien tę wielką plagę społeczną dla dobra bliźnich, przyszłych pokoleń, całej ludzkości zwalczać jaknajgorliwiej, gdyż leży to całkiem w duchu nauki Chrystusa Pana, czyli Ewangelji Św. — Apostoł Paweł np., wyliczając różnych grzeszników, „którzy królestwa bożego nie odziedziczą", wylicza także pijaków.

2. Jeżeli zaś chodzi o przykład, który jest niezbędny do zwalczania alkoholizmu, to uważam, że przeedewszystkiem stan duchowny powinien świecić przykładem, nie pijąc alkoholu, w innym bowiem razie nie ma prawa nawoływać ludzi do cnoty trzeźwości, gdyż ci mogą mu uczynić słuszny zarzut: „lekarzu, ulecz najpierw samego siebie".

W imieniu młodzieży przemysłowej i rękodzielniczej w Krakowie p. Zygmunt Kozakiewicz.

Kiedy z tego miejsca padły już tak piękne i pełne znaczenia słowa, jakże trudno mi skolei zdobyć się na jakieś słowo oryginalniejsze, by się nie powtarzać.

Będąc daleki od czczego tylko frazesu, niech mi będzie wolno w skromnej mowie pochylić czoło w dziękczynnym hołdzie dla Dostojnych Prelegentów, przedewszystkiem zaś przed Tobą, Czcigodny Panie Redaktorze, niezmordowany bojowniku o wielką Ideę Trzeźwości, na której ołtarzu złożyłeś trud życia swojego, jako całopalną ofiarę i jako stygmat poświęcenia na drodze odrodzenia społecznego.

A słowa moje, które rzucam w imieniu kilkunastotysięcznej rzeszy młodzieży spod sztandaru Związku Młodzieży Przemysłowej i Rękodzielniczej w Krakowie, który to związek już przed laty bardzo wielu ideę trzeźwości krzewić rozpoczął na terenie Krakowa, a którego Ty, Panie Redaktorze, jesteś serdecznym przyjacielem, — są głęboko szczere.

Za chwil parę odejdziemy do warsztatów swej pracy, jakże często żmudnej i odpowiedzialnej, — proszę: rozglądajmy się dokoła swoich środowisk pracy, popatrzmy wstecz, — tam z oddali kroczy zwartym szeregiem pełne entuzjazmu młode pokolenie — Nowa Polska!

Stańmy pod rozwiniętemi szeroko jego sztandarami, bądźmy mu przewodnikami na drodze odrodzenia społecznego!

Rzucam hasło: frontem do młodzieży!

Ona ziści bezsprzecznie nasz sen o trzeźwej Polsce! — Młodzież trzeźwa, to świetlana przyszłość naszego Państwa! — Młodzież trzeźwa bowiem, to bogata, szczęśliwa i mocarna Rzeczpospolita Polska!

W imieniu działaczy społecznych p. Władysław Bernaciak z Gniezna.

Jako uczestnik X Kursu Alkohologji, mam zaszczyt powiedzieć, co następuje:

Niezmiernie cieszę się, że mogłem cyklu wykładów wygłoszonych przez najwybitniejszych znawców kwestji alkoholizmu wysłuchać i wynieść stąd niezwykłe korzyści. Od przeszło 20 lat pracuję na niwie abstynenckiej w Kat. Kołach Abstynentów, dawniej t. zw. Wyzwolenie, a od czasu niepodległości Ojczyzny szerzę idee trzeźwości, szczególnie pomiędzy kolejarzami w Wielkopolsce. To też przemawiam, jako społecznik z tej dzielnicy, którą niektórzy prelegenci nazwali najwięcej zamożną i z tego powodu mocno zalkoholizowaną. Czuję się szczęśliwy, że przez Kurs poznałem najnowsze zdobycze nauki na polu badań tak ważnej kwestji, jaką jest alkoholizm, że przyswoiłem sobie najnowsze dane statystyczne z tej arcyciekawej dziedziny.

To też niezmiernie dziękuję Zacnym Inicjatorom urządzenia tego Kursu, Wysokiemu Ministerjum Opieki Społecznej, a w szczególności Wielce Szanownemu Panu Redaktorowi Janowi Szymańskiemu, który nie szczędził trudów i mozołów w organizowaniu tak pożytecznych wykładów.

W czasie niewoli praca nasza odrodzeniowa opierała się na zapale, który wytryskał z najświetniejszych uczuć miłości dla Tej, „dla której zjadłe smakują trucizny“ i na tych przesłankach, że jeżeli chcemy się odrodzić, jeżeli chcemy doczekać się lepszej przyszłości, musimy innem życiem żyć, niż nasi wrogowie. Niech sobie zaborca pije, niech się demoralizuje, my musimy wyżej stać, jeśli jutrzenka swobody ma kiedyś nam zaświtać.

Otóż takie rozumowanie — trzeba przyznać — przyciągało do organizacyj abstynenckich szeregi najlepszej młodzieży i dorosłej inteligencji. Dzisiaj, gdy mamy Polskę niepodległą, zdaje się nam, że inne motywy, zgoła odmienne, powinny odgrywać rolę w walce z alkoholizmem. A jednak tak nie jest. Słowa jednego z naszych wieszczów, „że Polakiem być na ziemi, to żyć bosko i szlachetnie“, winny obowiązywać i dzisiaj wszystkich polaków patrjotów. W Polsce będzie lepiej, jeżeli w niej trzeźwość zakwitnie. Przybliżymy przyjście Królestwa Bożego na ziemi, jeśli uwolnimy siebie i bliźniego od demona - alkoholu. W tem kryje się kwintesencja całego Kursu. Oby ten Kurs sprawił, że wszyscy uczestnicy, przejęci duchem zaparcia się siebie, to jest wyznając odtąd zasady zupełnej wstrzemięźliwości, szerzyli to hasło wśród jaknajszerszych warstw. Tylko wtedy unikniemy zarzutu: „Lekarzu, ulecz się sam“. Idźmy tedy na święty bój, jak go Marja Konopnicka słusznie zwie, bój o lepszą przyszłość narodu, a choć praca nie wyda natychmiastowych rezultatów, nie ustawajmy. To, co wieki popsuły, nie da się w kilku latach naprawić. Praca nasza, to praca ideowa, a idee, w ogólnym chaosie, w czasie, jak słusznie jeden z p. prelegentów zaznaczył, kiedy cały świat nieomal postradał zmysły, nie łatwo trafiają do przekonań. Kto jednak kocha Boga, kocha Ojczyznę i bliźniego, kto umiłował ideę abstynencką, dla tego chwilowe zwycięstwo złego niema znaczenia, pójdzie on naprzód w myśl wskazań naszego wieszcza: „Niech was darmo nie przestrasza, że dziś podłość górą wszędzie, z wiary waszej — wola wasza, z woli waszej czyn wasz będzie“.

W imieniu 25 delegatów Abstynenckiej Ligi Kolejowców, uczestników Kursu, p. inż. Juljan Gedeon Kossowski (Stanisławów).

Jeśli walka z alkoholizmem ma tak doniosłe znaczenie we wszystkich dziedzinach czynności ludzkich, to wśród kolejowców wyplenienie tej klęski społecznej ma wprost olbrzymie znaczenie.

Wszyscy rozumiemy, że bez trzeźwości niema bezpieczeństwa ruchu na kolejach, bo dotknięty alkoholizmem kolejowiec nie jest w stanie godnie, celowo ujarzmić potężnych sił, powierzonych mu dla uskutecznienia przewozów, nie może gwarantować bezpiecznego ich użytkowania, a wszelkie przeoczenia i niedociągnięcia stają się często powodem nadzwyczajnych i strasznych katastrof.

Natchnieni błogiemi myślami starszej swej siostrzycy, Tow. „Trzeźwość“, zrzeszyliśmy się w Abstynenckiej Lidze Kolejowców, liczącej 2.500 członków i wedle sił swoich prowadzimy akcję przeciwalkoholową.

Łecz jakżebyśmy się czuli osamotnieni i pozbawieni oparcia, gdyby nie wpływ prześwietnie zorganizowanego Tow. „Trzeźwość“ na czele z jej światłym, twórczym, niezmordowanym apostołem i bojownikiem P. Redaktorem Janem Szymańskim, nieustannie, z godnym podziwu uporem czuwającym, ratującym, wyciągającym w ciężkich chwilach swe bratnie ku nam ramiona dla wspólnych działań ku lepszej przyszłości.

Dowodem wyraźnego wpływu tego jest ta uczta duchowa w postaci X Jubileuszowego Kursu Alkohologji, gdzie przed nami przeszła barwna wstęga groźnych ostrzeżeń i prawd o skutkach spożycia alkoholu, tak realnie i wypukle nam przedstawionych przez zespół najzdolniejszych i utalentowanych prelegentów!—To też, owiani uczuciem wdzięczności, my, kursanci X Kursu Alkohologji i Delegaci A. L. K., składamy najgorętsze, płynące z głębi serc naszych podziękowania:

Ministerjum Opieki Społecznej.

Tow. „Trzeźwość“ na czele z p. redaktorem Szymańskim.

Oraz wszystkim PP. Prelegentom, którzy raczyli podzielić się z nami bogactwem swej wiedzy, doświadczeniem i gorącem umiłowaniem sprawy, dla stworzenia z nas licznych, a przekonanych działaczy abstynencji.

Ostatni przemawiał p. red. *Jan Szymański*, zaznaczając, że przed chwilą w tej dostojnej sali rozbrzmiała silna i podniosła pieśń — pierwszy to raz zapewne — ale w tym fakcie zawarty jest pewien symbol: skojarzenia, zespolenia badań naukowych, ich wyników z poezją, poezją czynu — to symbol naszej działalności abstynenckiej. W pierwszej części swego przemówienia dał szczegółowe sprawozdanie z przebiegu Kursu, a następnie przeszedł do omówienia tych refleksyj, które nasuwają się w związku z całością wysłuchanego Kursu. Wykłady, objęte programem, niewątpliwie nas przekonały, że walka z alkoholizmem łączy się najściślej z wszystkimi najważniejszemi zadaniami i sprawami człowieka. Destrukcyjny wpływ alkoholu daje się zaobserwować we wszystkich dziedzinach ludzkiego życia, poczynając od obniżenia sprawności i wydajności organizmu poszczególnych jednostek, a kończąc na tragicznych chorobach duchowości zbiorowej. W takiem postawieniu sprawy nie ma ani odrobiny przesady. Postawa psychiczna społeczeństwa jest najściślej zależna od dominacji pewnych wartości duchowych w ży-

ciu jednostek i o ile w życie psychiczne wielu poszczególnych indywiduów, potrafimy wbudować pozytywnie korzystny ideał osobowości, tem samem będziemy wpływali na podniesienie poziomu duchowości zbiorowej. Alkohol, niszcząc egzystencje ludzkie, uderza odrazu na wszystkich frontach, rujnuje człowieka fizycznie, moralnie, materjalnie, zmniejsza wydajność jego pracy, potrafi w ciągu niedługiego czasu zniszczyć to wszystko, co jednostka zdobyła nakładem własnych wysiłków i to, co niesie w sobie jako moralny fundament, jako konstytucję psychiczną, wypracowaną doświadczeniami szeregu pokoleń. Przy takiem postawieniu sprawy, jedynie właściwem i słusznem, walka z alkoholizmem nabiera szerokiego, ogólnoludzkiego znaczenia, staje się walką o siłę narodu, o trwałą suwerenność państwa, o przyszłego, lepszego, wolnego człowieka!

Po przemówieniu tem, Kurs urządził p. red. Szymańskiemu burzliwą i długotrwałą owację, będącą wyrazem wdzięczności kursantów za organizację i prowadzenie Kursu — p. Szymańskiemu wręczono album pamiętkowe, kwiaty, oraz 140 zł., (pieniądze te przeznaczył p. Szymański na fundusz im. prof. Radziwiłłowicza).

*

Kursanci wystosowali dwa pisma: do p. Ministra O. Sp. i p. Ministra W. R. i O. P.

Do

JWielmożnego Pana Ministra Opieki Społecznej

w miejscu

Wuznaniu doniosłego znaczenia idei trzeźwości, słuchacze X Kursu Alkohologji, składają niniejszem bardzo serdeczne podziękowanie za inicjatywę, organizację i umożliwienie wysłuchania tego Kursu.

Życząc jaknajszerszym masom naszego społeczeństwa przesłuchania takiego Kursu, jednocześnie oświadczamy, że, po odniesieniu tak ogromnych korzyści, zobowiązujemy się do propagowania zasad abstynenckich wśród współobywateli na naszych placówkach, co dokumentujemy swemi podpisami.

Warszawa, 7.XII. 35. (Około 200 podpisów).

Do

Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na ręce

J. Wielmożnego Pana Ministra Prof. Świętosławskiego

w miejscu

My, niżej podpisani, Słuchacze X Kursu Alkohologji, jako przedstawiciele wielu organizacyj i instytucyj społecznych z terenu całej Rzeczypospolitej, doceniając ogromne znaczenie akcji przeciwalkoholowej dla Polskiej młodzieży, która ma stanowić o przyszłości naszego Narodu

i Państwa, zwracamy się z gorącym apelem do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, o wywarcie wpływu na poszczególne Kuratorja szkolne, by umożliwiały nauczycielstwu odbycie Kursu alkohologji, traktując to jako jeden z koniecznych warunków pełnego przygotowania nauczycieli do jego zawodu.

Dopiero, gdy nauczycielstwo polskie zasili szeregi abstynenckie, będziemy spokojni o naszą przyszłość, wierząc, że wpojone w młodzież zasady abstynenckie utrwalą potęgę ojczyzny.

Podpisało 196 osób.

Warszawa, dn. 7 grudnia 1935 r.

M. Kl.

KRONIKA.

Harcerze i piwo. Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego nadesłało nam z prośbą o umieszczenie wyjaśnienia w sprawie notatki naszej w Kronice 10 num. „Trzeźwości“ p. t. „Harcerze i piwo“. Naczelnictwo donosi, że „piwo sprzedawane było na Zlocie w t. zw. „Dzielnicy Handlowej“ przez przedsiębiorców prywatnych, mających tam swoje stoiska dla gości zwiedzających, harcerze zaś piwa nie pili“.

„Wyjaśnienie“ potwierdza więc nasze twierdzenie — piwo na Zlocie było sprzedawane i to uważaliśmy i uważamy za niewłaściwe.

„*Walka o człowieka*“. Pod takim tytułem wyjdzie w tych dniach z druku w Krakowie, jako wydawnictwo Towarzystwa „Trzeźwość“ książka 12-stoarkuszowa, zawierająca kilkanaście odczytów literacko-publicystycznych *Kazimierza Kalinowskiego,* wygłoszonych na Kursie Alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny w Warszawie i następnie włączonych do programu Powszechnych Wykładów Uniwersytetu Jagiellońskiego, oraz kilka mów publicznych, które autor, jako prezes Towarzystwa „Trzeźwość“ wypowiedział ostatniemi czasy na kongresach i zjazdach polskich działaczy przeciwalkoholowych. Ponieważ po każdym wykładzie wielu słuchaczy zgłaszało się do prelegenta z zapytaniem, czy będzie to ogłoszone drukiem, przeto należy się spodziewać, że książka ta będzie miała zapewnione powodzenie.

W Krakowie staraniem „Trzeźwości“ odbędzie się Kurs Alkohologji w sali Kopernika Uniwersytetu Jagiellońskiego w dniach od 21 do 31 marca b. r. Oprócz miejscowych prelegentów wykładać będą również specjaliści zaproszeni z Warszawy. Ze względu na poziom wykładów Kurs przeznaczony będzie dla inteligencji. Udział w Kursie będzie zupełnie bezpłatny, by umożliwić korzystanie z niego osobom niezamożnym, zwłaszcza nauczycielstwu i seminarzystom, jako przyszłym wychowawcom młodzieży. Porozumiewać się wcześniej z organizatorem Kursu, prezesem Kalinowskim, można w godzinach od 15 do 16 w biurze „Trzeźwości“, ul. Garbarska 14, III p., lub przez telefon nr. 140.71.

Młoda Trzeźwość w Kaliszu. Koło nasze w Kaliszu prowadzi już akcję przeciwalkoholową od 10 lat. Akcja nasza promieniuje z Domu Młodzieży, który został w lipcu ub. r. poświęcony. Zebrania odbywamy systematycznie, co miesiąc, a dwa razy do roku urządzamy pokazowo-

propagandowe zebrania na szerszym terenie młodzieżowym na plenarnych zebraniach KSM Kalisza.

Koło nasze w ostatnim miesiącu uruchomiło bibljotekę abstynencką celem dostarczania materjału instrukcyjnego i propagandowego członkom Koła. Posiadamy własną świetlicę, z odpowiednio urządzonemi napisami propagandowemi, której bardzo chętnie udzielamy na zebrania innym organizacjom społecznym w celach propagandowych.

Dorocznym zwyczajem od szeregu lat z racji Tygodnia Trzeźwości urządzamy Wielki, bezpłatny, propagandowy wieczór abstynencki dla szerszej publiczności, w czasie którego wystawiamy potężnie działający na widza dramat p. t. „Knajpa" — Parviego. Koło nasze od szeregu lat wysyła na doroczne Kursy Alkohologji do Warszawy członków, którzy po ukończeniu pracują wśród młodzieży kaliskiej na terenie przeciwalkoholowym. Absolwentów powyższych Kursów mamy już 7-miu: p. Jadwiga Klimkówna, p. Kazimierz Spalony, p. Kazimiera Soszymska, p. Marja Garstkówna, p. Iza Lewińska, p. Zuzanna Graczykowska i Ks. Jerzy Bekier. Podkreślić należy, że zdołaliśmy sobie zarezerwować dla działu abstynenckiego kącik w Echu Kaliskich KSM., gdzie co miesiąc umieszczamy wiadomości abstynenckie i kronikę naszego Koła, niezależnie od tego dajemy od czasu do czasu wzmianki o ruchu „Trzeźwości" do prasy miejscowej. Koło nasze liczy 50 członków.

Projekty na rok bieżący: oprócz kontynuowania pracy dotychczasowej, uruchomienie kiosku abstynenckiego, przygotowanie stoiska propagandowego na wystawę Światowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie, oraz bardzo śmiały projekt rozpoczęcia przygotowań do stworzenia kolonji abstynenckiej (osiedle podmiejskie), jako widomego wyrazu idei trzeźwości w życiu rodzinnem.

X. J. B.

OD REDAKCJI.

Z numerem tym kończy się dziesiąty rok istnienia naszego miesięcznika; w sierpniu 1919 r. ukazał się numer pierwszy, w r. 1919 i 1920 wyszło kilka zeszytów — poczem nastąpiła w wydawnictwie dłuższa przerwa — miesięcznik wznowiony został w r. 1928 i od tego czasu ukazuje się stale. Mamy więc za sobą dziesięć lat pracy wydawniczej.

Uchwalając w r. 1919 wydawanie własnego pisma, Zarząd Gł. Tow. „Trzeźwość" powołał w tym celu specjalną komisję w składzie: pp. prokuratora S. N. Jakuba Glassa, księdza kapelana Władysława Korniłowicza, posłanki Marji Moczydłowskiej, dr. Rafała Radziwiłłowicza, Jana Szymańskiego i Stanisława Wyrzykowskiego.

Komisja jednomyślnie na Redaktora powołała p. Jana Szymańskiego.

W Nr. 1, w artykule od Redakcji czytamy:

„Obejmując kierownictwo pisma, prowadzić je będziemy w duchu ściśle bezpartyjnym, gdyż w walce z alkoholizmem — jak w walce z każdą inną klęską społeczną — chodzi o dobro powszechne narodu, któremu ta plaga zagraża w całości. Redakcja ma nadzieję, że wszyscy ludzie dobrej woli poprą jej usiłowania, zmierzające do zapewnienia narodowi polskiemu zdrowia, dobrobytu, moralności i siły ducha.

W piśmie naszem nie będziemy ograniczać się wyłącznie do omawiania sprawy zwalczania alkoholizmu, ale w miarę możności poruszać i zwalczać będziemy i inne braki i klęski naszego życia społecznego, pamiętając atoli stale, że alkoholizm jest złem najgorszem z tego powodu, że z niego właśnie biorą tak często początek nędza, choroby, zwyrodnienie, zbrodnie i wszelki upadek.

A teraz — w chwili cudownego zmartwychwstania Ojczyzny naszej — szczególniej ważną jest sprawa poprawy moralności. — Przed stu laty jeden z najzasłużeńszych mężów naszych powiedział następujące wiekopomne słowa, które powinny być obecnie prawdziwym drogowskazem: „*Poprawą moralności silnie przy odrodzeniu się naszym powinniśmy się zająć... czymże są bowiem najlepsze ustawy, czym ozdoby, pyszne gmachy, czym sama potęga, kiedy jad zepsucia toczyć będzie wnętrze politycznego ciała*".

W tymże numerze programowy artykuł: „O przyszłość narodu" umieścił p. Jakub Glass wielkich zasług i wiedzy obywatel, wybitny działacz przeciwalkoholowy, czytamy tam m. in.:

„Zamknięta jest w Polsce „próba grobu". Otwarta natomiast o wiele krytyczniejsza „próba życia". Jaką treścią konkretną mamy wypełnić ów cud nad cuda, ono państwo polskie „tak długo modłom naszym będące na celu", u którego kolebki stoimy? Każdy rozumie, że dla utrzymania i zagospodarowania państwa, nie posiadającego ustalonych granic, zagrożonego plebiscytem, otoczonego mnóstwem wrogów tak zewnętrznych jak i wewnętrznych potrzeba potężnych cnót obywatelskich, które zdobyć można jedynie cichą, mrówczą pracą w wielkiem skupieniu ducha. O jednej z tych cnót obywatelskich pragniemy w tej chwili słów kilka powiedzieć: o cnocie trzeźwości narodowej.

W dobie najgłębszego swego upadku za Sasów Polska była pijana. Po upadku kraju stołeczna Warszawa, niejako dla oszołomienia się, hulaszcze, pijackie, szalone pędziła życie. Cały wiek XIX, gnuśny wiek niewoli, przeżyliśmy pod znakiem pijaństwa. Czasu wielkiej wojny żyliśmy w wielkiem pijaństwie i rozpuście. Nie chcemy przez to powiedzieć, aby w Polsce miało być pod tym względem gorzej, niż gdzieindziej, zaznaczamy jednak, że powinno było być lepiej, niż gdziekolwiekbądź, jeżeli mieliśmy sami zrzucić z siebie pęta niewoli. Tymczasem w kieliszku zwykli byli u nas ludzie szukać zapomnienia. Dzisiaj, gdy po długich mrokach nocy świta nam blask jutrzenki, od nas już tylko zależy, aby w całej pełni zajaśniało nam słońce złote. Raz przecie zbudźmy się z letargu, bądźmy teraz „jednością silni, rozumni szałem". My, którzyśmy, otrząsnąwszy się z przesądów i przywilejów szlacheckich, przeszli za jednym rozmachem do najdemokratyczniejszego w świecie ustroju społecznego i utworzyli ciało prawodawcze istotnie na woli ludu oparte z pominięciem wszelkich różnic stanów, czy płci, postąpmy i w tym kierunku jeszcze krok naprzód. Odrzućmy wszelkie półśrodki, jak owo przez naukę potępione „umiarkowane picie", „wzlećmy nad poziomy" i u kolebki państwa polskiego połóżmy mocną podwalinę całkowitej trzeźwości, bezwzględnego wyrzeczenia się wszystkich napojów wyskokowych".

Ale odrazu na wstępie na drodze do urzeczywistnienia szlachetnych zamiarów otrzeźwienia Polski stanęła błędna polityka Skarbu Państwa,

który powziął zamiar oparcia w dużej mierze dochodów swych na wódce, projektując wprowadzenie *monopolu spirytusowego.*

W związku z tem p. Glass pisał dalej:

„Poszedł tu rząd polski śladem najgorszych tradycyj rządu rosyjskiego za czasów caratu... Rząd pragnie oprzeć finanse polskie na „pijanym budżecie“... Alkohol jest jedną z głównych przyczyn zwyrodnienia obyczajowego i fizycznego ludności, on to zapełnia szpitale, więzienia i domy dla obłąkanych, on skraca życie nasze, zwiększa ilość samobójstw, odbiera matkom zdolność karmienia dzieci, on ułatwia upadek kobiet i pcha je w otchłań prostytucji, on przez zmniejszoną odporność jest bezpośrednią przyczyną zarażania się chorobami wenerycznemi, on uboży ludność, ekonomicznie obniża poziom wymagań życia i prowadzi do zdziczenia obyczajowego. Jeśli więc u podstaw budżetu polskiego ma lec wódka, to tem samem Skarb opierać będzie swoje dochody nie na tem, co uczciwe i szlachetne, ale na czynniku ujemnym, niemoralnym“.

„Ale“, ciągnie dalej p. Glass: „rząd polski zapragnął uczynić państwo jeneralnym handlarzem wódki“, mimo, że „nic tak nie przyczynia się do dezorganizacji i proletaryzacji społeczeństwa, jak alkoholizm, natomiast nic bardziej nie sprzyja rzetelnej pracy twórczej, istotnemu równouprawnieniu stanów, zarazem uszlachetnieniu społeczeństwa i podniesieniu go na wyższy stopień kultury — jak trzeźwość“.

Widzimy więc, że niemal od pierwszych chwil istnienia Polski niepodległej rozpoczęła się walka zwolenników trzeźwości ze stronnikami wódki i monopolu.

„Siła moralna była największą i najlepszą obroną i ostoją w walce naszej z najazdem ta też jedynie siła może być trwałą podwaliną gmachu odrodzonej Rzeczypospolitej — nie może zaś być mowy o moralności narodu przy jednoczesnem panowaniu pijaństwa.

Zaszły obecnie ogromne zmiany: robotnicy uzyskali 8-io godzinny dzień pracy, Sejm uchwalił reformę rolną, zarobki są wysokie — baczmy, aby te zmiany i reformy korzyść narodowi i ojczyźnie przyniosły; *jeżeli pozostanie pijaństwo, wszystkie te nabytki zostaną zmarnowane, i przepite*, a wówczas Polska odrodzona może zginąć tak, jak upadła w końcu wieku XVIII“ — pisaliśmy w „Odezwie“, zamieszczonej w tymże 1-szym numerze „Trzeźwości“ z r. 1919.

*

Mija 17-ty rok od tego czasu.

Alkoholizm nie tylko nie został z życia naszego usunięty, ale odnosi walne tryumfy — upadła ustawa przeciwalkoholowa, poniechano nauczania przeciwalkoholowego w szkołach, wprowadzono monopol spirytusowy, zysk z wódki stanowi poważną pozycję budżetową.

Wielkie reformy społeczne i polityczne nie wytrzymały próby życia — załamywały się jedna po drugiej — piękne w teorji, w praktyce, oko w oko z życiem okazały się niejednokrotnie w naszych warunkach— mrzonkami...

„Zostały zmarnowane i przepite!“

Cóż się dzieje obecnie?

Alkohol uzyskał wszelkie prawa i przywileje. Nic go nie krępuje. Wolno mu wszystko. Ograniczenia zniesione i zdeptane.

Jakież są wyniki tej swawoli proalkoholowej?

Szereg badań poważnych i bezstronnych wykazuje, że alkoholizm i inne narkomanje coraz głębsze zapuszczają u nas korzenie, czego dowodzi np. m. in. wzrost w ostatnich dwuch latach spożycia wódki monopolowej, mimo istnienia na wielką skalę rozwiniętego tajnego gorzelnictwa i szmuglu alkoholu z zagranicy, oraz coraz bardziej pogłębiającego się kryzysu.

*

I dzieje się tak w kraju, który powinien być szczególnie troskliwie ubezpieczony przed straszliwem działaniem trucizny narkotycznej. Dlaczego tak piszemy?—Bo jesteśmy krajem katastrofalnie biednym i przerażająco zacofanym.

Alkohol w Polsce jest złem daleko niebezpieczniejszem, niż w innych krajach zamożniejszych, gdzie ludność lepiej się odżywia, lepiej mieszka, lepiej się ubiera — gdzie stopa życiowa, kulturalna jest wyższa i zasobniejsza.

I nie jest to czczy frazes, lub zwrot retoryczny, ale fakt, ale rzeczywistość najbardziej istotna, realna!...

Oto szereg dowodów-liczb i faktów:

Spożycie pieczywa w r. 1932 w porównaniu z rokiem 1928 zmniejszyło się u nas o 22,5%.

Spożycie cukru spadło w tymże czasie o 17%, a przecież i w r. 1928 przedstawiało się ono, w porównaniu z innymi krajami, bardzo niepomyślnie:

Australja	82 kg.	rocznie	Anglja	40 kg.	rocznie
Danja	47 „	„	Niemcy	22,9 „	„
U. S. A.	44 „	„	Polska	11,5 „	„

Zapotrzebowanie nafty zostało zredukowane o 28%.

Zwłaszcza fatalnie przedstawia się sytuacja na wsi, stanowiącej przeszło 70% ludności państwa.

Nic więc dziwnego, że np. budżet akademika w Krakowie, pochodzącego ze wsi, świadczy o strasznej nędzy: akademik taki wydaje miesięcznie 40 zł., a mianowicie na pożywienie 24 zł., na mieszkanie (nora we trzech) 12.50, różne (mydło, papier i t. p.) 3.50.

Albo porównanie spożycia jaj:

Rocznie zjada	kanadyjczyk	300 jaj
„ „	francuz	172 „
„ „	polak	72 „

Weźmy inną dziedzinę życia: radjo. Na 1000 mieszkańcóww przypada radjoabonentów: w Danji 148, w Anglji 137, w Niemczech 82, na Łotwie 29, w Polsce 10.

Ilość samochodów:

Kraje	*Na jeden samochód mieszkańców*
Stany Zjednoczone A. P.	5
Francja	22
Anglja	26
Niemcy	73
Finlandja	110
Czecho - Słowacja	134
Meksyk	157
Austrja	171
Estonja	372
Grecja	413
Rumunja	648
Turcja	750
Z. S. R. R.	1061
Litwa	1230
Jugosławja	1270
POLSKA	1275.

Wytwórczość przemysłowa w r. 1935 w porównaniu z 1928 w Rumunji wykazuje wzrost o 30%, w Polsce spadła o 35%.

Jednocześnie szkolnictwo powszechne jest w stanie upadku. Liczba dzieci nieuczęszczających do szkół wynosi około 800.000. Brak nauczycieli, brak izb szkolnych. W tych warunkach nauczanie kuleje; coraz silniej występuje groźne zjawisko analfabetyzmu powrotnego.

Jak wynika z pracy dr. Węgrzynowskiej, 65% dzieci niedomaga, 66% wieśniaczek cierpi na różne dolegliwości, związane z przedwczesnem przystąpieniem do pracy po porodzie.

Ostatnio gazety przyniosły wiadomości co do zawszenia dzieci. W Warszawie w szkołach powszechnych w roku szkolnym 1933/34 wykryto dzieci zawszonych 25.554, — cóż się w takim razie dzieje na wsi, na kresach wschodnich?

Palącej wagi zagadnienie mieszkaniowe przedstawia się u nas wprost katastrofalnie! Wyniki spisu mieszkań wydane w r. 1919 były opłakane. 80% mieszkań w stolicy zaliczyć należało do przeludnionych (Wiedeń 58%, Paryż 32%). Od tego czasu stan rzeczy nie uległ zasadniczej zmianie na lepsze. Skoro tak jest w stolicy — co się dzieje na prowincji?! — Według dr. Węgrzynowskiej na łóżko przypada na wsi 2,9 osób!

Ale wróćmy jeszcze do Warszawy. Na 24.832 domy mieszkalne było w stolicy podczas ostatniego spisu ludności 7.563 domy drewniane (30%), wodociągi posiadało tylko 15.403 domów, a kanalizację tylko 11.440 budynków! Na prawie 250.000 mieszkań posiadało ustęp w mieszkaniu tylko 82.118, czyli mniej, niż 1/3 mieszkań. I słusznie zauważa „Express Poranny", że są to liczby „ubliżające prestiżowi stolicy".

Według pracy A. Zdanowskiego „Warunki mieszkaniowe robotników w okresie kryzysu i bezrobocia", wydanej przez Instytut Gospodarstwa Społecznego na 668 mieszkań, zbadanych w 19 naszych miastach, 44,2% jest ciemnych, 52,6% wilgotnych, większość nie posiada wodociągu, kanalizacji, instalacyj elektrycznych i gazowych, t. j. elementarnych warunków higjeny. Wśród mieszkań jednoizbowych 48,7% mają

zaludnienie ponad 5 osób. Na jedno łóżko przypada w mieszkaniach robotniczych przeciętnie 2,3 osób. Życie w takich warunkach staje się straszne. „Ludzkie prawo do życia w powietrzu, słońcu, wygodnych, zdrowych lokalach zostało mieszkańcom lokali robotniczych odebrane".

Zagadnienie *braku pracy* jest teraz aktualne na całym świecie, — ale u nas, zwłaszcza na wsi, ma charakter katastrofalny. Według obliczeń p. B. Dederki na 100 ha. użytków rolnych przypada następująca liczba osób zawodowo czynnych w rolnictwie:

w Danji	15
w Szwajcarji	22
w Czechosłowacji	28
w Niemczech	33
w Polsce	48

Świadczy to o małej wydajności pracy i o zbędności wielu rąk roboczych. Według obliczeń p. Piekałkiewicza — wieś zatrudnia tylko 66% całkowitej podaży pracy — więc ⅓ siły roboczej pozostaje niezużyta, idzie na marne. Według obliczeń posła Poniatowskiego, Ministra Rolnictwa, w kwietniu b. r. było na wsi 5 miljonów zawodowo zdolnych, a całkowicie zbędnych ludzi, co wraz z ich rodzinami wynosi 8.800.000 ludzi! („Kurjer Poranny" z 4.IX. 35 r.).

Nic więc dziwnego, że warunki, w jakich obecnie wieś się znalazła, można określić, jako powrót do prymitywnej „gospodarki naturalnej" (słowa p. wicepremjera Kwiatkowskiego).

Wzięliśmy garść liczb bardzo rozmaitych — dają one jednak dość jednolity obraz stosunków naszych, wymagających poprawy na każdym kroku, na każdem polu.

Sądzimy, że w tych warunkach należało i należy ze wszystkich sił dążyć do kultywowania pierwiastków twórczych narodu, a nie tolerować sztucznego ich obniżania i zaprzepaszczania w potokach wódki legalnej, samogonnej i szmuglowanej...

Zauważy kto: przecie z samogonem i szmuglem prowadzi się walkę — tak — ale, o ile nie zwalcza się alkoholizmu u jego podstaw, nie ogranicza się go, nie utrudnia, lecz ułatwia jego spożycie, to przy kryzysie jest to prosta i nieunikniona droga do tysięcy i tysięcy kotłów z samogonem, do tysięcy i tysięcy przemytników alkoholu.

Wrażliwy zawsze aparat nerwowy człowieka w okresie kryzysowym, w okresie *głodu, wyczerpania, przemęczenia, niezrównoważenia*, jest szczególnie czuły, silniej reaguje, niż w okresie normy. Działanie alkoholu trafia więc w tych warunkach na grunt wysoce podatny— wskutek czego działanie to staje się szybsze i niebezpieczniejsze. — Stąd wzrost u nas liczby zachorowań na psychozy rozmaite wogóle i alkoholowe w szczególności (dr. E. Brzezicki, doc. U. Jag. art. w „I K .C.").

To samo zachodzi i ze zjawiskiem przestępczości tak ściśle złączonem ze stanem ekonomicznym ludzi i ich stanem psychicznym — tu znowu destrukcyjna rola alkoholizmu powszechnego jest wprost ogromna. Wzrost przestępczości w ostatnich latach bardzo poważny łączy się z alkoholizmem najściślej.

Przed kilkoma dniami pisma podały groźne liczby co do stanu cho-

rób wenerycznych w Polsce; w okresie od r. 1925 do 1933 włącznie liczba zachorowań na te choroby miała wzrosnąć o blisko 30%. W Warszawie na 10.000 mieszkańców zaobserwowano w r. 1925 — 59 chorych, a w r. 1933 — 83, co stanowi wzrost procentowy o 40%.

Alkohol — zły duch upadającej i rozkładającej się Polski szlacheckiej, zły duch Polski w niewoli — w Polsce odrodzonej coraz jawniej, coraz powszechniej zatruwa, osłabia i niszczy szerokie masy ludności ciemnej, biednej, wygłodzonej, schorowanej i zdezorjentowanej.

Ale jest on zarazem złym, najgorszym doradcą, wichrzycielem, siewcą wszelkiej anarchji: materjalnej i moralnej.

Ileż u nas niewyzyskanych źródeł dochodów, warsztatów pracy, możliwości twórczych marnieje i ginie wskutek wyłącznie tylko marnotrawienia sił mięśni i sił psychicznych w potokach alkoholu...

Marazm myśli, bierność i bezbarwność charakterów, brak inicjatywy, brak odwagi cywilnej, brak opinji publicznej i zainteresowań społecznych — wszystko to łączy się nierozerwalnie z powszechnym i zadawnionym nałogiem pijaństwa i jego skutkami w postaci zwyrodnień psychicznych w najrozmaitszej skali i odmianach...

I zdajemy sobie wyraźnie sprawę, że ciężki stan rzeczy u nas, zwłaszcza na wsi, nie jest zjawiskiem *nowem* — jest to ciężka tragedja *„dobrych“*, dawnych czasów, sięgających nawet do okresu *przedrozbiorowego.*

W ostatnich dniach — w chwili, gdy piszemy te słowa — mocno uderzył na alarm p. Bauer-Czarnomski („Kurjer Poranny“, z 1 i 5.I. 36 r.).

Marnuje się w Polsce wartość najwyższa, nieoceniona: *Człowiek.* Prawda znana, wyświechtana niemal, ale na którą nie zwraca się żadnej uwagi — bo gdyby się myślało i pamiętało o niej, niemożliwą rzeczą byłoby wydawanie ludności na łup niczem nieograniczonego alkoholizmu — dla rzekomych zysków (doraźnych)!

Człowiek, to cegiełka podstawowa wielkiej budowy społecznej, to ta niewidzialna, mikroskopijna komórka organizmu państwowego. I z tem właśnie najpierwszem, najważniejszem tworzywem organizmu zbiorowego lekkomyślnie igra się, karygodnie postępuje, zatruwając je jadem narkotycznym.

I co za niekonsekwencja!

Gdy broni się ludzi przed chorobami zakaźnemi, to jednocześnie toleruje się masowe powszechne zatruwanie ich jedną z najgorszych trucizn.

Czyż można wyobrazić sobie społeczeństwo, któreby zechciało swój byt materjalny opierać na zysku z nierządu, — a przecie dochody z alkoholu, to zysk z rozkładu samych podstaw więzi społecznych!

Przytoczyliśmy wyżej szereg danych, wskazujących na stan chorobowy naszego ciała zbiorowego i naszej duszy zbiorowej, na nasze ogromne braki materjalne. Wszystko wskazuje, że pod bardzo wieloma względami jesteśmy w położeniu ciężkiem, a nawet katastrofalnem, najgorzej wróżącem dla naszej przyszłości, ale wiemy i jasno sobie z tego

zdajemy sprawę, że jednocześnie posiada nasz naród ogromny zasób sił witalnych — życiowych, niezmożonego ducha i kolosalne możliwości rozwoju materjalnego — jednak dodatnie strony będą się mogły rozwijać tylko w warunkach normalnych, nie zatruwanych oparami trucizny alkoholowej. Dlatego też musi ustać kult alkoholu—kult bezmyśny i w stosunku do narodu i państwa zbrodniczy. Miejsce jego zajmie kult pracy, myśli i ideałów.

Wielkie plany pracy oświatowej na wsi i w mieście, wielkie zamiary budowania domów, fabryk, dróg, szlachetna chęć uobywatelenia szerokich mas ludowych, wszystko to rozpryskiwało się dotychczas, jak bańka mydlana o bierność i tępość mas, o które chodzi; bierność i tępość pochodzące z wódki, dającej owe iluzoryczne dochody.

Polacy odznaczali się zawsze umiejętnością *umierania* dla Ojczyzny — przy jednoczesnej, całkowitej nieumiejętności *życia* dla niej — i tu alkoholizm powszechny grał nie małą rolę; brak umiejętności *trzeźwego* spojrzenia w oczy rzeczywistości — to jedna z naszych wad narodowych — barwne szkiełka eurorji alkoholowej lekkomyślnie usposabiają wielu, bardzo wielu ludzi w Polsce!

Umysły płytkie, krótkowzroczne widzą tylko pieniądze, płynące obfitą falą z wódki, ale nie widzą i widzieć nie chcą ciężkich oparów krwi i zgnilizny, unoszących się nad tą rzeką dochodów z wódki. Oni, jak ów cezar rzymski, mówią: pecunia non olet — pieniądz nie śmierdzi — ale obraz życia naszego chwilami jest tak rozpaczliwy, że nie wolno nie zwracać uwagi na istotne destrukcyjne działanie alkoholu w życiu społeczeństwa.

Walka z alkoholizmem musi być prowadzona intensywnie, z całym nakładem sił, planowo, rzetelnie. Nie może być ona prowadzona na pokaz, na odczepne, ale z całym wysiłkiem całego społeczeństwa, wszystkich jego organów państwowych, samorządowych i społecznych.

Każdy, kto poważnie patrzy na życie, na jego przejawy i symptomy, potrafi, kojarząc fakty, świadczące o naszych brakach, z naszym alkoholizmem tradycyjnym i z naszemi wspaniałemi możliwościami, potrafi, powtarzamy, ocenić słuszność i głębię myśli przytoczonej na początku tych rozważań, a wypowiedzianej przez J. U. Niemcewicza:

„Poprawą moralności silnie przy odrodzeniu naszem powinniśmy się zająć... czymże są bowiem najlepsze ustawy, czym ozdoby, pyszne gmachy, czym sama potęga, kiedy jad zepsucia toczyć będzie wnętrze politycznego ciała".

Ozdoby i pyszne gmachy są, potęga i mocarstwowość jest, ale niezdrowie moralne też jest — więc brońmy się i ratujmy, póki czas!... I to w imię najżywszych i najwyższych interesów własnych — państwowych i ogólnoludzkich!

Jan Szymański.

6.I. 36 r.

*

Numer ten posiada charakter jubileuszowy, gdyż zamyka on okres 10 lat ukazywania się „Trzeźwości (1919 — 1920 i 1928 — 1935).

W r. 1936 będziemy wydawać pismo w tym samym zakresie i prowadzić nadal w duchu rzeczowości i bezpartyjności.

*

Spowodu braku miejsca zmuszeni jesteśmy odłożyć do następnego numeru ciąg pracy p. Hanny Nałęcz-Ostrowskiej Szymańskiej „Z dziejów obyczaju w Polsce", Kronikę obszerniejszą i szereg wiadomości bieżących.

W najbliższych numerach drukować będziemy m. in. prace p.p.: Ministra Dr. Chodźki, ks. Dr. Sopocki, Prok. S. N. Czerwińskiego, b. Prezyd. Masaryka, b. sędziego S. N. Glassa, Doc. Dr. Łuniewskiego i wielu innych.

*

Redakcja przesyła wszystkim przyjaciołom i zwolennikom Pisma najserdeczniejsze życzenia Noworoczne.

Druk ukończono 10.I. 36.

POLSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA, sp. z ogr. odp., Senatorska 17. Tel. 251.58.



Polska Druk. Nakładowa, Sp. z ogr. odp., Warszawa, Senatorska 17. Tel. 251-58.